

CENZURA SZALEJE NA WYSPACH

Ziemkiewicz: Nie chcieli mnie
wpuścić do Wielkiej Brytanii



TYGODNIK LISICKIEGO

120
stron

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 8/261 19-25 LUTEGO 2018

DO RZECZY

Semka o wojnie
o pomnik smoleński

DODATEK SPECJALNY
PIŁSUDSKI – OJCIEC
NIEPODLEGŁOŚCI



Co robi Beata Szydło?

Joanna Szczepkowska
przeprasza za dziadka

MŁOT NA KORUPCJĘ

Mariusz Kamiński,
twórca CBA,
dziś szef służb specjalnych,
gromi mafię

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 96,5 tys. egzemplarzy

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



**TYLKO
U NAS!**
**SENSACYJNY
WYWIAD
Z ŻOŁNIERZEM
WYKŁĘTYM!**

Piotr Zychowicz – **Wykłęci, historia prawdziwa**
Leszek Żebrowski **kontra** Oleg Łatyszczonok – **Spór o niezłomnych**
Sławomir Cenckiewicz – **Mazowiecki wierny Jaruzelskiemu**
Antony Polonsky – **Polska była rajem dla Żydów**
Patrik Pleskot – **Jak pijany milicjant zamordował dziecko**
Sławomir Koper – **Najpiękniejsze nogi II RP**
Mikołaj Iwanow – **Nowy trop w sprawie Katynia**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Jak Zachód staje się Wschodem

Gdybym nie znał dobrze Rafała A. Ziemkiewicza, uznałbym jego telefon, kiedy to powiedział mi, że jakaś brytyjska poseł oskarżyła go w „Guardianie” o rasizm i wezwała, by nie wpuszczać go na Wyspy, za ponury żart. A jednak. Tak, niejaka pani Rupa Huq, należąca do Partii Pracy, wezwała na łamach wspomnianej gazety do wydania zakazu wjazdu dla naszego publicysty. Oskarżyła go przy tym o negowanie Holokaustu, rasizm, islamofobię, neonazizm i ekstremizm. Co gorsza, jej atak okazał się skuteczny. Ziemkiewicz z wyjazdu zrezygnował, bo – skąd my to znamy? – po odwiedzinach policji i innych przedstawicieli odpowiednich służb z organizacji debaty wycofały się puby i kluby. Czyli typowy sowiecki zamordyzm: członek establishmentu (dawniej nomenklatury) rzuca niesprawdzone oskarżenie (dawniej o odchył ideologiczny), policja robi swoje (dawniej: wiecie, rozumiecie, tak nie można) i do spotkania nie dochodzi, ale demokracja liberalna trzyma się mocno (dawniej: demokracja socjalistyczna).

Na całą sprawę można spojrzeć z kilku punktów widzenia. Po pierwsze, w tekście pani Huq na pewno ujawnił się jej osobisty potencjał intelektualny. Nie owijając w bawelnię i czyniąc, jak to słusznie

mówiono, rzeczy długie krótkimi, pani poseł okazała się patentowaną idiotką. Połączenie skromnych możliwości analizowania, ignorancji, braku edukacji oraz pasji i zaangażowania na rzecz postępu przynosi owoce w postaci wygadywanych przy różnych okazjach bredni.

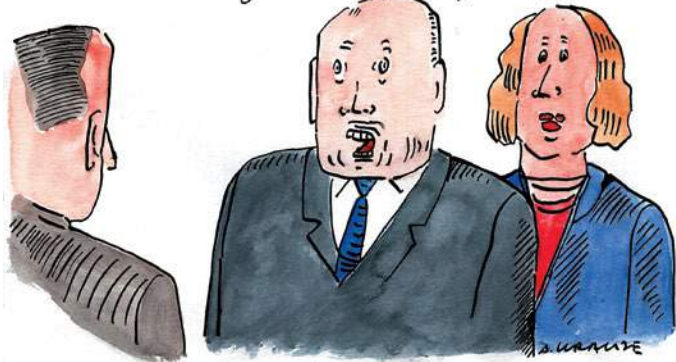
Po drugie, warto zastanowić się nad całą sprawą w szerszym kontekście. Otóż jeszcze nie tak dawno można było uznać, że zachodnie demokracje cieszą się pełną wolnością słowa. To właśnie Wielka Brytania była przecież kolebką swobody wypowiedzi. Tymczasem sytuacja, w której członek parlamentu wzywa do zamknięcia ust komuś, z kim się nie zgadza, staje się już nie wybrykiem, ale normą. Ani redaktorzy „Guardiana”, ani posłowie Partii Pracy najwyraźniej nie wstydzą się tego, co zrobiła ich koleżanka. Nie przychodzi im do głowy prosta myśl: niezależnie od tego, co wiemy lub czego nie wiemy na temat polskiego publicysty, wolność słowa jest wartością bezwzględną. Ludzie, którzy domagają się jej ograniczenia, chcą używać knebla i przemocy państwa, żeby zamykać komuś usta, powinni zatem z definicji spotykać się z publiczną infamią. Nic takiego się nie dzieje. To znaczy, że w świadomości co najmniej redaktorów „Guardiana” i politycznych

przyjaciół pani Huq oskarżenie kogoś o ekstremizm i islamofobię jest wystarczającym powodem do zamykania mu ust! W wielu zachodnich krajach Wielka Brytania jest jedynie skrajnym przypadkiem, narodził się nowy sojusz lewacko-muzułmański. Państwo jest wobec niego bezradne. W istocie ulega szantażowi: zamiast bronić zasady wolności słowa, państwo poświęca tę zasadę, składając wolność słowa na ołtarzu spokoju społecznego. Brak napięcia jest większą wartością niż wolność.

Jest jeszcze trzeci wniosek z tej całej awantury. Jak szczęśliwym państwem jest Polska i jak wielką swobodą cieszą się Polacy! Wielu z nas tego nie rozumie i nie docenia. Nie zdaje sobie sprawy, jaką wartością są swobodna wymiana myśli, polemiki ideowe, religijne, polityczne i obyczajowe. W wielu państwach zachodnich, za sprawą różnej maści feministek, ruchów LGBT, antyrasistów i antyfaszystów, trockistów i maoistów, prawdziwe spory ideowe są już niemal niemożliwe. Nie wolno publicznie twierdzić, że aborcja jest zbrodnią na nienarodzonej, związki homoseksualne są przeciw naturze, a islam propaguje przemoc. W ogóle coraz mniej wolno, a policja myśli panoszy się coraz bardziej.

Oskarżenie o antysemityzm, fašyzm czy rasizm praktycznie odbiera oponentowi głos w debacie. Traktuje się go jak trędowatego, a potęgą liberalnych mediów, które działają niczym walec wbijający do głów właściwy system odruchów i skojarzeń, robi swoje. Dlatego zawsze, kiedy słyszę o podobnej historii, dziękuję Bogu, że mieszkam w Polsce i że Polacy nie dali z siebie zrobić euroludków zgodnie z wzorcem, który u nas lansuje „Gazeta Wyborcza”. W Polsce głos Rafała A. Ziemkiewicza – czy się to komuś podoba, czy nie – jest ważną częścią dyskursu publicznego. I lewacy pałkarze nie są w stanie tego zmienić. ©©

*Prenumerujemy „Gazetę Wyborczą”
i dlatego nie jesteśmy antysemitami!*





TEMAT TYGODNIA

20 WOJCIECH WYBRANOWSKI
REWOLUCJONISTA W AKCJI
Mariusz Kamiński gromi mafię

KRAJ

26 ŁUKASZ ZBORALSKI
WIELKI POŚREDNIK
Prywatyzacja Ciechu SA jest jedną z wielu, przy których działał Jan Kulczyk

28 KAMILA BARANOWSKA
L JAK LOJALNOŚĆ

31 ŁUKASZ WARZECHA
GORDYJSKI WĘZEL REPRYWATYZACJI

34 PIOTR SEMKA
POMNIKI NA LINII FRONTU

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NOWA BITWA O ANGLIĘ

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
**MAŁGORZATA ROZENEK
– MIĘDZY GOSPOSIĄ A SEKSOMBĄ**

40 RADOŚŁAW WOJTAS
WNUCZKA SZCZEPKOWSKA

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
**O CHŁOPCU, KTÓRY NIE CHCIAŁ BYĆ
KRZYSIEM**
„Żegnaj, Christopher Robin”

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ANTONI KRAUZE 1940–2018

46 ANDRZEJ HORUBAŁA
DESIGN

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

74 GRZEGORZ KUCHARCZYK
WALKA O NIEPODLEGŁOŚĆ
Jeśli przegramy toczoną przeciw Polsce wojnę kulturową, to przegramy naszą niepodległość w najważniejszym wymiarze – duchowym

76 TOMASZ KWAŚNICKI
WOJNA O PRESTIŻ

79 SZEWACH WEISS
TYKAJĄCA BOMBA

HISTORIA

80 TOMASZ KAŻMIEROWSKI
GESTAPO BOYS I „POLSKIE OBOZY”?
Hitlerowcy z nową misją

84 PIOTR SEMKA
GOTYK W SŁUŻBIE WIELKICH NIEMIEC

ŚWIAT

88 ROZMOWA Z COREYEM LEWANDOWSKIM
**W POLSCE POWINNA SIĘ POJAWIĆ STAŁA
AMERYKAŃSKA OBECNOŚĆ WOJSKOWA**
Były szef kampanii prezydenckiej Donalda Trumpa: Trump niezwykle ceni Polskę

92 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
PRZEŁOMOWY PUNKT PONTYFIKATU?

EKONOMIA

94 JACEK PRZYBYLSKI
ZAKAZANE WALUTY?
Czy to koniec największej bańki XXI w.?

98 MACIEJ PIECZYŃSKI
NETFLIX, CZYLI GLOBALNY FENOMEN

100 ROZMOWA
Z PROF. ROBERTEM GWIAZDOWSKIM
KONSTYTUCJA BIZNESU NIEWIELE ZMIENI

SPORT

104 DODATEK: SKOKI NARCIARSKIE

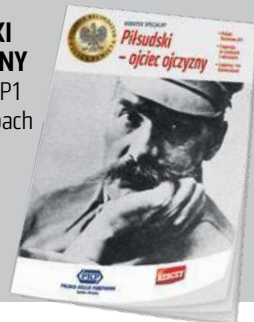
O ZDROWIU

110 KATARZYNA PINKOSZ
KRUCHA PSYCHE PRZED OSIEMNASTKĄ
Z dzieckiem u psychiatry

DODATEK SPECJALNY

**I–XX PIŁSUDSKI
– OJCIEC OJCZYZNY**

- Polski fenomen JP1
- Legenda w rzeźbach i obrazach
- Legiony i ich Komendant



FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ (8), WARZECHA (10), GMYZ, GOCIEK (18), POSPIESZAŁSKI (72), ZALEWSKI, WOLSKI (73), ZYCHOWICZ, KOPER (87), KOWALCZUK (91), GABRYEL, RYBIŃSKI (97), KOMUDA (112), TYRMAND (116), KATARYNA (118), ŁYSIAK (119)

stop. cafe

Kierunek
ORLEN



Prezentowane produkty i usługi dostępne są
na wybranych stacjach ORLEN.

KAWA na mieście?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...



ORLEN

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu list dyrektora radiowej Trójki oraz wsparcie apelu Rafała Ziemkiewicza. Inne tematy na naszej stronie internetowej.

Trójka gra po polsku – odpowiedź Janowi Pospieszalskiemu

„W radiowej Trójce dominują zagraniczne przeboje, w prime timie, czyli w porze największej słuchalności, grane są prawie wyłącznie anglosaskie kawałki, a polska muzyka upychana jest w nocy, co więcej, Trójka, bez żenady przyznając się do tego, zrobiła nawet specjalny dwugodzinny blok bez muzyki anglosaskiej w środku nocy, by tam upychać muzykę rodzimą”.

Przyznam, że zdecydowanie łatwiej jest znosić nieprawdziwe zarzuty ze strony „Gazety Wyborczej” czy „Newsweeka”, bardziej przykre jest to, gdy w felietonistycznym ferworze robi to osoba tak w Trójce szanowana jak Jan Pospieszalski. Niestety, w gruncie rzeczy wszystkie stwierdzenia Jana mają tyle samo wspólnego z prawdą co przekazy wyżej wymienionych autorów.

Po pierwsze, Trójka nie może omijać zapisów o wymaganym czasie prezentacji polskich utworów, wypychając je z prime time'u na gorsze godziny, bo według artykułu 15 Ustawy o radiofonii i telewizji na muzykę graną przez stacje radiowe ma przypadać co najmniej 33 proc. polskiej muzyki, z czego 60 proc. we wspomnianym prime timie. Choćby w styczniu br. Trójka grała w sumie 35,12 proc. polskiej muzyki, z czego aż 69 proc. w prime timie. [...] To jednak nie koniec. Obliczenie nie uwzględnia rodzimej muzyki instrumentalnej. Nie dość tego, w porze najlepszej słuchalności słuchacz Trójki, inaczej niż u rynkowej konkurencji, znajdzie długie wywiady z polskimi artystami, audycje przez nich

prowadzone, programy poświęcone polskim debiutom. Wszystko to we wspomnianym najlepszym czasie. Do tego dochodzą organizowane w Trójce koncerty. Spójrzmy na jeszcze jeden element ważny dla Trójki i jej słuchacza [...] – „Listę przebojów” (notowanie z 9 lutego br.). Na pierwszych trzydzieści utworów piętnaście jest polskich, a do tego dochodzi śpiewający po polsku „Czarną dziurę” Jaromír Nohavica.

Audycja Michała Owczarka „Strefa rock'n'rolla wolna od angola”, podana przez Jana Pospieszalskiego jako przykład „omijania” uregulowań dotyczących ilości polskiej muzyki, jest chwytną figurą w felietonie, ale nijak się ma do rzeczywistości. Ta audycja nadawana jest faktycznie między godziną drugą a czwartą w nocy, ale nie prezentuje muzyki polskiej w ogóle, a taką, która pochodzi z mniej znanych muzycznie stron świata.

Szkoda, że Jan Pospieszalski nie zdecydował się i tego zweryfikować, zanim wyraził krzywdzące Trójkę opinie.

Wiktor Świetlik
dyrektor Programu 3 Polskiego Radia

Prawda o Jedwabnem

W pełni popieram Rafała Ziemkiewicza i jego apel o dokończenie ekshumacji oraz przeprowadzenie szczegółowego, nieskrępowanego śledztwa w Jedwabnem. Wielkim błędem było wstrzymanie badań w roku 2001 wskutek absurdalnie brzmiącego apelu rabina Warszawy i Łodzi Michaela Schudricha, który powiedział: „Szacunek dla kości naszych ofiar jest dla nas ważniejszy niż wiedza, kto zginął i jak, kto zabił i jak”. Wskutek tego wciąż nie dysponujemy należyłą wiedzą o zbrodni z 10 lipca 1941 r. Brak ten jest wygodnym pretekstem dla Jana Tomasza Grossa i jego zwolenników.

Rafał Nowak



ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Gosić (Bruksela), Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lencki, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmieł, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torzański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzynski, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wojski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmieł** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedziółko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Witold Rozbicki/REPORTER; oprac. graf. MIDAS**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż):
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 96,5 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Z głębokim żalem informujemy, że 14 lutego 2018 roku zmarł w wieku 78 lat



Antoni Krauze

wybitny twórca filmowy

Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy współczucia
Przyjaciele z „Do Rzeczy”



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czekając na Mrs Mosbacher

W Warszawie żartują, że skoro tylko Paul W. Jones, ambasador USA w Polsce, spotkał się z Grzegorzem Schetyną, to Biały Dom oznajmił, że nad Wisłę przybędzie jego nowy przedstawiciel. To oczywiście żłośliwość. Powrót Jonesa za ocean był postanowiony już od pewnego czasu.

Nowym ambasadorem będzie Georgette Mosbacher, szefowa założonej przez siebie firmy Georgette Mosbacher Enterprise, która zajmuje się doradztwem biznesowym. Pierwsze pieniądze zarobiła w końcu lat 80. w przemyśle kosmetyków, a potem pięła się w biznesowej hierarchii coraz wyżej.

Była jedną z paru najważniejszych osób zbierających pieniądze na kampanię Donalda Trumpa. W organizacji kampanii republikanów zaczęła pomagać jeszcze w latach 90. Sfinansowała kampanię Johna McCaina do Senatu w 1998 r. i potem wszystkie kolejne ważne kampanie republikanów w nowym stuleciu.

W Ameryce osoby, które zasłużyły się w specjalności zwanej fundraising, zawsze mogą potem liczyć na ważne

placówki dyplomatyczne. Na szczycie listy marzeń są Paryż i Londyn. Przyjazd Mosbacher do Polski może oznaczać, że Trump uznaje Warszawę za ważny punkt obserwacyjny. Tym bardziej że przyszła ambasador nie jest nowicjuszem w świecie polityki zagranicznej. Poprzedni prezydent, Barack Obama, zaprosił ją do rady doradczej do spraw dyplomacji publicznej. Mosbacher jest w zarządach ważnego think tanku Atlantic Council i Międzynarodowego Instytutu Studiów Strategicznych.

Jej CV, pełne honorowych funkcji w establishmentie republikanów, pozwala podejrzewać, że Georgette Mosbacher nie jest osobą, która musi długo czekać na połączenie z gospodarzem Białego Domu. I że Trump chce mieć tu osobę, która będzie mówiła mu, jak jest, a nie patrzyła na Polskę oczyma „New York Timesa” z jego ponurymi stories o końcu demokracji. Po latach dominacji w sprawach Europy Środkowej dyplomatów z korporacji Hillary Clinton to miła odmiana.

Nowy prezydent USA miał po wyborach dopiero ok.

pięciu-sześciu nowych ambasadatorów. Warto podkreślić, że nominacja pani Mosbacher następuje w sytuacji, gdy nie ma jeszcze nowego ambasadora USA w Berlinie. Jego powołanie jest zapowiadane od trzech miesięcy, a placówką kieruje chargé d'affaires Kent Longdon.

Nowa polska dyplomacja musi się jeszcze wiele uczyć. Świat amerykańskich republikanów spod znaku Trumpa to zagadka nie tylko dla nas, lecz także dla znacznie bardziej doświadczonych starych dyplomatycznych wyg z Niemiec czy Francji.

PiS ma za sobą niedawną, bolesną lekcję – niezrozumienia na czas, jak ściśle jest sprzężona polityka USA i Izraela. Jednak lepiej poznawać nowe światy, niż tkwić w epoce Obamy, kiedy wiedza wielu speców z Departamentu Stanu zatrzymała się na tym, co opowiedział im o polskiej polityce ambasador Ryszard Schnepf. Na początek radzę uważnie przeczytać książki o tym, jak nie dać się zjeść w świecie biznesu, np. „It Takes Money, Honey”. Będzie od czego zacząć konwersację przy pierwszym spotkaniu... ©



FOT. MATEUSZ WIODARZNYK/FORUM

MORAWIECKI U MERKEL

Współpraca gospodarcza, polityka obronna, sprawy mniejszości narodowych oraz kwestia pamięci historycznej były tematami piątkowych rozmów premiera Mateusza Morawieckiego i kanclerz Angeli Merkel w Berlinie. Szef polskiego rządu odniósł się też do planów budowy gazociągu Nord Stream 2. – Nie zgadzam się, że jest to dywersyfikacja. To jest gaz z tego samego źródła, tylko inną drogą. W tym temacie ważne było to, co pani kanclerz powiedziała, że nie wyobraża sobie, żeby gaz przestał płynąć przez Ukrainę – podkreślił Mateusz Morawiecki. (jap) ©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Najtrudniej to zrobić

Trudno mi policzyć, ile razy cytowałem biblijne wskazanie – „Nie nalewa się młodego wina do starych bukłaków”. Chyba za każdym razem, kiedy zmieniała się w Polsce władza. Za każdym razem z tym samym skutkiem, to znaczy – żadnym. Każda kolejna mościła się w istniejącym systemie i jeśli nawet zapowiadała jakąś „reformę centrum”, to gdy tylko

Wiceministrów jest w polskim rządzie ok. 100 (!), ale formalnie dostają tylko po 6 tys. zł pensji

zyskiwała możliwość zrealizowania swych obietnic, szybko o nich zapominała. Jakoś tak wszystko okazywało się wygodne – i brak „jednolitej interpretacji skarbowej”, i horrendalna liczba ministrów, i „gabinety polityczne”...

Częścią systemowego absurdu, z którym nikt nie ma odwagi skończyć, jest też utrzymywanie fikcji niskich płac urzędników państwowych. Wiceministrów jest w polskim rządzie ok. 100 (!), ale formalnie dostają tylko po 6 tys. zł pensji. Ale że za 6 tys. wzięłby taką pracę, jak mówiła pani Bieńkowska, tylko złodziej albo idiota, więc oczywiście trzeba im zapewnić jakieś „boki”. Jednym ze sposobów jest fikcyjne zatrudnienie w różnych radach nadzorczych i zarządach.

Inną metodą, o której, jak co sezon, zrobiło się głośno w ubiegłym tygodniu, są „nagrody”. Informacja o tym, że rząd czy Kancelaria Prezydenta wypłaciły swoim pracownikom tyle a tyle setek tysięcy złotych „nagród”, oczywiście wkurza ludzi. Bo co też ten czy ów minister zrobił nadzwyczajnego, by go nagradzać?! Dlatego każda opozycja usiłuje zrobić z tego

sprawę, choć gdy sama rządziła, oczywiście wypłacała sobie też te „nagrody”. W istocie bowiem nie są to nagrody (dlatego używam cudzysłowu), tylko integralna część wynagrodzenia, wypłacana co kwartał czy co rok dla picu, dla udawania, że rządzący mają pensyjki bliskie średniej krajowej. Ot, sztuczka, podobna wypłacaniu zarobków poselskich nie jako pensji, tylko jako „diet”, co pozwala ich nie wliczać do podstawy opodatkowania.

Sprawa jest oczywista i prosta – zredukować administrację o dwie trzecie, reszcie dać zarobki godne wymaganych kwalifikacji. Wtedy nie będzie regularnie powtarzanych lamentów i oskarżeń o „nagrody”, fuchy czy niepłacenie podatków, a i jakość rządzenia mocno się poprawi. Wystarczy do tego tylko odrobina, naprawdę odrobina odwagi.

Tylko że to jest właśnie to, czego kolejnym rządcom brakuje. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Narracyjny kanał

Polska przegrywa. Sromotnie, poddając się bez walki. I to wcale nie na igrzyskach w Pjongczangu, gdzie sportowcy z orzełkiem na piersi przynajmniej próbują walczyć. Sromotnie przegrywamy jedną z poważniejszych, toczących się w dzisiejszej Europie wojen. Wojnę informacyjną. Świetnie wytknął to w ubiegłym tygodniu serwis Polityka w Sieci, przy okazji zatrzymania Władysława Frasyniuka; zdarzenia, które wzmogło moralnie i niestety narracyjnie zachodnich dziennikarzy niechętnych Polsce. Autorzy serwisu zauważyli, że ani jeden urzędnik reprezentujący państwo

polskie nie podjął w mediach i komunikatorach społecznościowych polemiki z pracownikami zagranicznych mediów snujących opowieść o Polsce jako państwie bezprawia. Takie obrazki, podlane na Zachodzie propagandowym sosem, budują fałszywy wizerunek kraju antywołnościowego.

Wydawało się, że politycy i eksperci dobrej zmiany zdają sobie sprawę z tego, jak ważna jest własna narracja. Miała powstać anglojęzyczna – jak zapowiadał Jacek Kurski – telewizja Poland 24 i fundacja broniąca dobrego imienia Polski. Kanał telewizyjny wpadł w kanał i nigdy nie powstał, funda-

cja zaś na razie znana jest głównie z obrony posad swoich prezesów.

Awizerunek Polski i bezpieczeństwo Polaków bardzo mocno powiązane z tym, jak jesteśmy postrzegani w świecie? Brak skutecznych reakcji na wiele medialnych kampanii przeciw Polsce, w tym najgłośniejszej, pomawiającej nas o kolaborację z niemieckimi nazistami, wskazuje, że politycy tak gabinetu Szydło, jak Morawieckiego lekce to sobie ważą. Dwa lata przygotowań mechanizmów obronnych, ba – promujących Polskę – można skwitować słowami klasyka poprzedniej ekipy: ch... dupa i kamieni kupa. ©©



FOT. ADAM BIELECKI/FACEBOOK

ORDERY DLA POLSKICH HIMALAISTÓW?

Francuzka Élisabeth Revol (na zdjęciu w środku) zawdzięcza im życie. Francuscy internauci zbierają więc podpisy pod petycją o przyznanie Orderów Legii Honorowej bohaterskim Polakom: Adamowi Bieleckiemu (pierwszy z prawej), Jarosławowi Botorowi, Piotrowi Tomali, Denisowi Urubko (pierwszy z lewej) i Krzysztofowi Wielickiemu, kierownikowi polskiej wyprawy na K2. „Akcja ratownicza na Nanga Parbat jest sukcesem bez precedensu w najwyższych górach świata” – podkreślił Piotr Paćkowski, autor petycji do senatora Ładysława Poniatowskiego. (jap) ©

BIAŁY PROSZEK W AMBASADACH

Rosyjskie agencje informacyjne ujawniły, że w ostatnich dniach do kilkunastu ambasad w Moskwie trafić miały listy z podejrzanym proszkiem. Takie przesyłki miało otrzymać co najmniej 13 placówek, m.in. przedstawicielstwa Francji, Rumunii, Holandii, Bułgarii, Czech, Węgier oraz Arabii Saudyjskiej. Taka koperta trafiła również do ambasady Rzeczypospolitej Polskiej. Przedstawiciele polskiej dyplomacji nie chcieli tych informacji komentować. Tłumaczyli

to względami bezpieczeństwa. Wiadomo, że na listach z proszkiem znajdowało się imię i nazwisko deputowanego Dumi Państwowej Siergieja Żeleźniaka. Ten deputowany, zasiadający w komisji spraw zagranicznych, objęty jest sankcjami Unii Europejskiej i USA.

Po wstępnych analizach chemicznych okazało się, że biały proszek to środek używany do zwalczania insektów. Dokładne wyniki badań znane będą w tym tygodniu. W sprawie wszczęto śledztwo. (luz) ©

KONDOLENCJE

Robertowi Pstrokońskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają

współpracownicy z tygodnika „Do Rzeczy”

Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o odejściu



Antoniego Krauzego

reżysera i scenarzysty,
wybitnego i wszechstronnego artysty kina.

Jako autor filmów fabularnych, dokumentalnych
i krótkometrażowych był wnikliwym obserwatorem
polskiego życia społecznego.

Obdarzony szczególną wrażliwością moralną i literacką,
odważnie podejmował trudne tematy
historyczne i współczesne.

W pamięci widzów trwale zapisał się niepowtarzalny
styl jego obrazów, gorzko i ironicznie ukazujących realia
czasów komunizmu i głęboko krytycznych
wobec zaniechań minionego ćwierćwiecza.

Do końca pozostał wierny prawdzie i wartościom, które
przyświecały wielkiemu ruchowi Solidarności.

Rodzinie, bliskim i przyjaciółom Zmarłego
składam wyrazy głębokiego współczucia.

Andrzej Duda

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

KONDOLENCJE

Z głębokim smutkiem przyjąłem
wiadomość o śmierci



Antoniego Krauze

jednego z najwybitniejszych polskich reżyserów
i scenarzystów, wielokrotnie nagradzanego
za swoją twórczość w kraju, jak i za granicą,
odznaczonego Krzyżem Komandorskim Orderu
Odrodzenia Polski za „wybitne zasługi w pracy
artystycznej i twórczej”.

Żegnamy wyjątkowego artystę, który dla wielu
stał się autorytetem i przyjacielem.

Człowieka wielkiej odwagi,
który do końca służył prawdzie.

Rodzinie, Przyjaciółom, Najbliższym
składam wyrazy głębokiego współczucia.

Mateusz Morawiecki

Premier Rzeczypospolitej Polskiej



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Co wymyślą „eksperci”

Z komisji kodyfikacyjnej, przygotowującej nowy Kodeks pracy, płyną coraz bardziej zadziwiające informacje. Na przykład ta dotycząca „rozbicia monopolu” związków zawodowych, czyli wprowadzenia instytucji delegatów pracowniczych. W praktyce oznaczałoby to nie tyle rozbicie monopolu ZZ, ile raczej zainstalowanie quasi-związku zawodowego niemal w każdej firmie (tylko w mikrofirmach powołanie delegata będzie zależać od właściciela). Jeśli do tego

cywilnoprawnych i żeby w ogóle drastycznie ograniczyć możliwość korzystania z tychże. Ciekawe, jak pomysłodawcy wyobrażają sobie funkcjonowanie w tej sytuacji wolnych zawodów. Chyba że chcą zmusić każdego ich przedstawiciela do założenia firmy, a tym samym oskładkowania się na ZUS.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej zareagowało na falę krytycznych komentarzy komunikatem, że to tylko „propozycje ekspertów”. Jeśli w komisji kodyfikacyjnej zasiadają „eksperci”, którzy tworzą takie propozycje, to aż strach pomyśleć, jaki będzie finalny rezultat ich radosnej burzy mózgów.

Owszem, prawo pracy, niezliczoną liczbę razy nowelizowane, a pierwotnie uchwalone w 1974 r., wymaga zmian. Ale z pewnością nie w kierunku, który wydaje się dominować w komisji. „Chcemy elastyczności, ale w ramach umów o pracę” – deklarują jej członkowie. To mniej więcej tak, jakby powiedzieć, że chcemy silniejszej armii w ramach rozbrojenia albo zmniejszenia korupcji poprzez ograniczenie przejrzystości procedur urzędniczych. To po prostu wewnętrzna sprzeczność.

Ilekoż zdarza się, że do jakiejś reformy zasiada grono natchnionych mędrców, którzy sami nigdy nie parali się daną dziedziną w praktyce, skutki bywają opłakane. Tym razem może być podobnie. ©©

„Chcemy elastyczności, ale w ramach umów o pracę” – deklarują członkowie komisji kodyfikacyjnej przygotowującej nowy Kodeks pracy

dodamy ochronę przed zwolnieniem, którą mieliby mieć delegaci na wzór związkowców, czy obowiązek dzielenia się z załogą informacjami o stanie finansowym firmy – mamy przepis na paraliż i katastrofę. Nietrudno sobie wyobrazić, jak pracownicy uznają, że dobry wynik finansowy to argument, żeby podnieść wynagrodzenia – zamiast przeznaczyć pieniądze na inwestycje – i wejść z właścicielem w konflikt.

Jeszcze groźniejszy jest pomysł, żeby zabronić etatowym pracownikom dorabiania na umowach



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Najkrótszy thriller III RP

Dwudniowa kariera Ewy Bugały w Orlenie, jak wiele znamienitych wydarzeń w dzisiejszej Polsce, rozpoczęła się i zakończyła na Twitterze. Wszystko – niczym w dobrze zapowiadającym się thrillerze, który jednak rozczarował końcówką – można streścić w czterech wpisach. Zaczęło się oficjalnie, od „nowego wyzwania po 6 latach pracy w TVP” oraz podziękowań „dla wszystkich wspierających życziwych”.

Napięcie rosło, ponieważ życziwych jednak nie było zbyt wielu. „Działania mające na celu podważenie moich kompetencji i wizerunku spotkają się z odpowiednią reakcją naszych prawników” – pogroziła nowa rzecznik energetycznego giganta.

Minęło kilka chwil, emocje opadły i już z nieco innej pozycji usłyszeliśmy, co następuje: „Mój poprzedni wpis rzeczywiście mógł zabrzmieć zbyt mocno”. Jeśli zaś chodzi o kompetencje, „potwierdził je moja praca”. Ewa Bugała poprosiła również o „szansę i czas, żeby mogła się [na pracy] skupić. Do usłyszenia niebawem” – dodała.

Nie były to tweety rzucone na wiatr. Już następnego dnia doczekaliśmy się smutnego zakończenia. „Spotkała mnie bezprecedensowa, brutalna fala hejtu i niesprawiedliwych ataków” i właśnie z tego tytułu redaktor/dyrektor zrezygnowała ze stanowiska „bez wszelkich przysługujących jej odpraw”. A przecież zrezygnować nie musiała.

Z nieoczekiwaną odsieczą pospieszył człowiek zasłużony dla obronności kraju. „Już to mówiłem, dziś powtórzę: bardzo duże są siły w Polsce, które nie pozwolą młodemu pokoleniu «bez pleców» pracować uczciwie na rzecz Ojczyzny” – napisał Bartłomiej Misiewicz. Na końcu dodał (a może właściwie pogroził), że „warto tych krzykaczy zapamiętać”.

W tym najkrótszym dramacie politycznym III RP w roli głosu rozsądku wystąpił Sebastian Kaleta. „Bartek, myślisz się. Wielu młodych ludzi pracuje ciężko «bez pleców» w różnych instytucjach na rzecz Ojczyzny. Te «siły» być może chcą, aby to młode pokolenie było kojarzone ze złymi przykładami i zniechęciło się do ciężkiej pracy. Ciekawe, jakie przykłady biorą na warsztat?” – zapytał prawnik, ale Bartłomiej Misiewicz zamilkł. Może go sobie właśnie zapamiętał? ©©

Oddychaj powietrzem

Zadbaj o jego jakość
z ogrzewaniem od TAURONA





Relacje polsko-amerykańskie

Była to pierwsza tego typu inicjatywa od lat, łącząca w sobie tematykę polityczną oraz biznesową, która skupiła ponad 300 osób.

Jak podkreślił obecny w Miami minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński, najważniejszą konkluzją szczytu było przejście z „rozmów politycznych i militarnych” do „wzmocnienia współpracy na płaszczyźnie gospodarczej”. Właśnie tak ideę PALS określił Michał M. Lisiecki, organizator i pomysłodawca szczytu.

– Mamy w tej dziedzinie wiele deklaracji, które teraz trzeba wprowadzić w życie – stwierdził prezes PMPG Polskie Media. – To niewątpliwie skończy się kontraktami. Każdy kontrakt to najpierw dobra rozmowa i dobra relacja między ludźmi – zapewniał Lisiecki podczas konferencji prasowej pierwszego dnia szczytu.



*Marcin Makowski
z Miami*

Pod względem liczby uczestników i skali przedsięwzięcia Polsko-Amerykański Szczyt Przywództwa (Polish-American Leadership Summit, PALS) to imponujące wydarzenie w relacjach gospodarczych pomiędzy Polską i Ameryką. Odbył się w lutym w Miami na Florydzie

Temu celowi, czyli skróceniu dystansu i lepszemu poznaniu się uczestników, sprzyjała formuła RTMx (Round Table Mixer), zgodnie z którą 9 lutego poprowadzono dziewięć sesji debat i wykładów. Polega ona na dyskusji przy okrągłych stołach, które uczestnicy muszą zmieniać wraz z kolejnymi panelami, przy okazji poznając możliwie jak największą liczbę

zaproszonych gości. W hotelu Marriott w centrum biznesowej dzielnicy Miami odbyły się również trzy panele wieczorne dotyczące zagadnień bezpieczeństwa energetycznego Polski oraz polsko-amerykańskiego rynku kapitałowego. Brali w nich udział przedstawiciele największych spółek energetycznych kraju, od Grupy LOTOS, przez Grupę TAURON do KGHM.



Prof. dr Zdzisław P. Wesołowski i prezes
PMPG Polskie Media Michał M. Lisiecki



Howard Bromberg,
Lockheed Martin
Corporation

nabierają rozpędu

Z kolei w dwóch panelowych sesjach dyskusyjnych udział wzięli m.in.: prof. Jan Marek Chodakiewicz, James Ray (starszy doradca w amerykańskim Departamencie Transportu), Andrij Deszczycia (ukraiński ambasador nadzwyczajny w Polsce), senator Anna Maria Anders oraz David Kramer, były wysoki urzędnik Departamentu Stanu.

Wśród zaproszonych gości znaleźli się m.in.: minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński, sekretarz stanu w kancelarii premiera Mikołaj Wild oraz prezes Polskiego Funduszu Rozwoju Paweł Borys. Obecni byli również parlamentarzyści oraz wicemarszałek Senatu Adam Bielan.

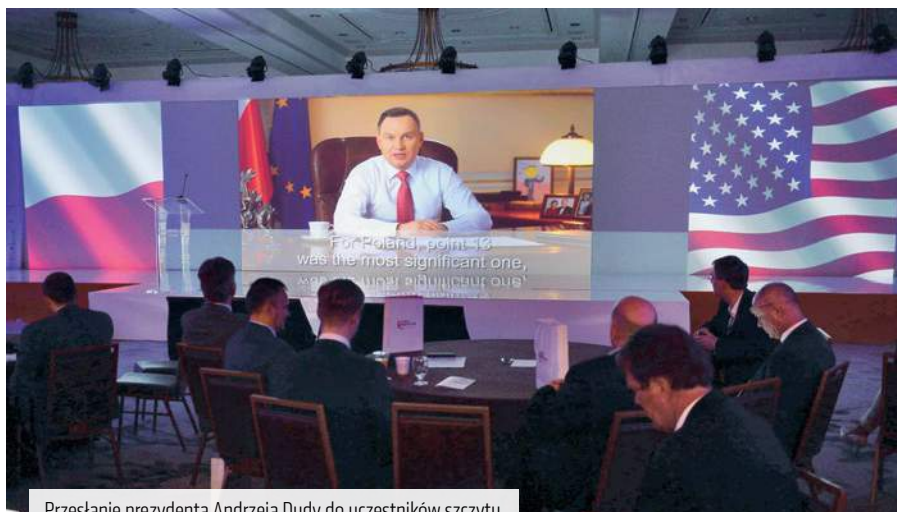
W przemówieniu skierowanym do uczestników PALS prezydent Andrzej Duda przypomniał zasługi Amerykanów

w odzyskaniu polskiej niepodległości, której setną rocznicę obchodzimy w tym roku. – Ta bardzo cenna inicjatywa dopełnia kalendarz polsko-amerykańskich kontaktów politycznych o równie istotny wymiar gospodarczy – podkreślił prezydent, który objął honorowy patronat nad konferencją. Andrzej Duda dodawał, że kontakty między krajami przekładają się na konkretne liczby, a wymiana handlowa zwiększyła się o 20 proc. w stosunku do roku 2016 i przekroczyła 10 mld dol.

Pierwszy dzień obrad Polsko-Amerykańskiego Szczytu Przywództwa zakończyło rozdanie wyróżnień, czyli specjalnie utworzonej z tej okazji nagrody Orły, które zostały przyznane byłemu szefowi kampanii Donalda Trumpa Coreyowi Lewandowskiemu, senator Annie Marii

Anders, Jonny'emu Danielsowi z fundacji From The Depths oraz lady Blance Rosensiel, założycielce i prezes American Institute of Polish Culture.

10 lutego, czyli drugi dzień PALS, poświęcono dwóm równoległym wydarzeniom – wieczornej kolacji w hotelu Eden Rock w Miami Beach oraz 46. edycji dorocznego Polsko-Amerykańskiego Balu, odbywającego się pod hasłem: „100 Years of Poland's Independence and Centuries of Polish-American Relations”. Dla uczestników szczytu z zamkniętym wykładem wystąpił szef think tanku Geopolitical Futures – George Friedman. W swoim przemówieniu odniósł się m.in. do często poruszanego w Miami tematu nowelizacji ustawy o IPN. – Uważajcie, co i jak mówicie. Zaczynacie być zauważani na świecie, **13**



Przesłanie prezydenta Andrzeja Dudy do uczestników szczytu

■ wasi wrogowie będą was atakować, używając argumentu faszystizmu, ale nie jesteście faszystami. Jesteście narodowymi romantykami. Nie dawajcie im niepotrzebnie broni do ręki – przekonywał Friedman.

Ostatni dzień szczytu podzielony został na roboczy lunch w hotelu Eden Roc w Miami oraz wyjazd grupy VIP-ów do rezydencji prezydenta Donalda Trumpa, czyli słynnego klubu w Mar-a-Lago w Palm Beach. Podczas trzygodzinnego pobytu w tzw. zimowym Białym Domu polska delegacja zwiedziła posiadłość i poznała jej historię, opowiedzianą przez wieloletniego menedżera obiektu. Uczestniczyła również w obiedzie oraz prywatnej sesji dyskusyjnej z George'em Friedmanem.

W honorowej radzie programowej Polsko-Amerykańskiego Szczytu Przywództwa: Polska Strefa Inwestycji zasiadło blisko 100 osób z Polski i USA, m.in. Rafał Antczak (wiceprezes PKO BP), Ian Brzezinski (ekspert ds. polityki zagranicznej i obronności), Rita Cosby (dziennikarka), Jonny Daniels (prezes fundacji From The Depths), Jadwiga Emilewicz (wiceminister rozwoju), George Friedman (przewodniczący i założyciel Geopolitical Futures), Marta Gajęcka (wiceprezes spółki PGE Energia Odnawialna), Maciej Golubiewski (konsul generalny RP w Nowym Jorku), Tadeusz Kościński (wiceminister rozwoju) oraz prof. Piotr Moncarz (Uniwersytet Stanforda).



Corey Lewandowski i Zygmunt Staszewski wśród uczestników PALS

Partnerami strategicznymi Polsko-Amerykańskiego Szczytu Przywództwa: Polska Strefa Inwestycji, Grupa LOTOS oraz KGHM Polska Miedź. Partnerami wydarzenia są TAURON, ENEA, PHN oraz Supra Brokers. Partnerami programowymi i merytorycznymi #PALS są Fundacja im. Kazimierza Pułaskiego oraz Polska Agencja Inwestycji i Handlu (Grupa PFR). Wydarzenie jest również objęte patronatem The American Institute of Polish Culture. Patronat medialny nad konferencją objęły Telewizja Polska, TV Polonia, tygodniki „Wprost” i „Do Rzeczy”, miesięcznik „Historia Do Rzeczy”, serwisy Wprost.pl i DoRzeczy.pl, telewizja Inwestorzy.tv oraz polonijny „Nowy Dziennik”. Organizatorem wydarzenia są PMPG Polskie Media, Round Table Mixer (RTMx) oraz Europejskie Centrum Innowacyjnej Myśli Publicznej.



Matthew Tyrmand i senator Anna Maria Anders



Ian Brzezinski FOT. RADOŚLAW NAWROCKI (7)

Dziękujemy Partnerom za pomoc przy organizacji konferencji

We thank all our Partners for the help in organizing the conference

ORGANIZED BY

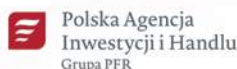


THE HONORARY PATRONAGE
OF THE PRESIDENT
OF THE REPUBLIC OF POLAND
ANDRZEJ DUDA

OVER THE #PALS CONFERENCE
ON FEB 9TH, 2018



PROGRAM PARTNERS



PATRONAGE

The American Institute
of Polish Culture Inc.

STRATEGIC PARTNERS



GOLD PARTNERS



BRONZE PARTNERS



CONTRIBUTORS



MEDIA PARTNERS



LOGISTICS PARTNER



NAGA POGODA

Nie dalej jak tydzień temu pisaliśmy o siostrach Godlewskich i o tym, że są tak obciachowe, iż karierę w polskim show-biznesie mają gwarantowaną, a już siostry odnotowują pierwsze realne sukcesy. Małgorzata i Esmeralda dostały propozycję zostania prezenterkami pogody w jednej ze stacji telewizyjnych. To nie będzie jednak taka zwykła prognoza pogody, bo siostry mają ją zapowiadać nagie od pasa w górę. Stacja 4fun Dance wypuściła już zwiastun reklamujący nowe gwiazdy. Godlewskie wyśpiewują na nim pogodę do piosenki „To nie ja byłam Ewą” z repertuaru Edyty Górniak. „My pogodę śpiewamy, wasze dni rozchmurzamy, nie wiesz dziś, czy wyjść, zostać tu, w melanz wbić, jesteśmy po to, by śpiewać ci” – wyją siostry. Gdy patrzycie na siostry Godlewskie, też macie wrażenie, że to nie może być prawda i ktoś robi sobie z nas wszystkich jaja? A co, jeśli się okaże, że jednak nie?

AMBITNA JAK GĄSKA

Aktor Jacek Rozenek, bardziej znany jako były mąż obecnej żony Radka Majdana, ma nową narzeczoną! Zaprezentował ją na ścianie podczas jednej z imprez, co oznacza, że sprawa jest poważna. Dziewczyna nazywa się Roksana Gąska, pochodzi spod Ostrołęki i jest dużo od Rozenka młodsza. Toteż tygodnik „Na Żywo” wysłał swojego człowieka do rodzinnej miejscowości Roxy, by popytać, jak jej sąsiedzi widzą ten związek. Okazuje się, że wszyscy trzymają kciuki za Roxy i jej karierę u boku Rozenka. – Jak zejść śniegi, czekamy, że przyjedzie do nas z panem Jackiem – mówi jedna z sąsiadek. Inna życzliwie dodaje: – Roksana i jej siostry są śliczne jak z obrazka. Oglądali się za nimi chłopcy nawet z sąsiednich wsi. Wszystkie te Gąski takie ambitne. Klaudia była nawet w finale Miss Mazowsza. A Roksanka zawsze chciała zająć daleko, więc nikogo nie dziwi, że udało jej się wybić – mówi. Pozować na ścianie z byłym mężem Małgorzaty Rozenek. Czy można zająć wyżej?

SZKODA TAKICH GENÓW

Ostatnie tygodnie zdecydowanie należały do Kaza i Isabel. Wszystko przez kultowy już filmik, na którym Kaz z powagą godną byłego premiera Najjaśniejszej siedzi goły na kiblu i zrezygnowany udziela złotych rad nagrywającej go Isabel. Za każdym razem, kiedy myślimy, że Isabel i Kaz nie są już w stanie zaskoczyć niczym bardziej

żenującym, oni otwierają oczy nam, niedowiar-kom. Nas jednak zaintrygowała jeszcze jedna informacja. Otóż Isabel oznajmiła na swoim Facebooku, że nie zamierza mieć dzieci, bo czuje się już na to za stara. Oburzyła się w ogóle, że ktoś zadał jej takie pytanie.

– Późne macierzyństwo? Wolę pytania dziennikarzy o książkę/książki, jednak na pytanie zadane mi ostatnio odnośnie posiadania własnego potomstwa odpowiedziałam, bo temat pośrednio poruszyłam w mojej ostatniej książce. Niemniej wzdręgnęłam się, biorąc pod uwagę moje problemy z płodnością, brak mężczyzny, a teraz przede wszystkim długotrwały problem z ręką, czyniący mnie osobą niepełnosprawną i zależną od pomocy drugiej osoby. To wszystko sprawia, że to pytanie dziennikarki – wedle mojej skromnej opinii – było nie do końca na miejscu. Oczywiście są inne alternatywne możliwości zajścia w ciążę, adopcja, jednak ja ich nie rozważam – stwierdziła. Mam nadzieję, że Isabel przemyśli jeszcze sprawę potomstwa. To byłaby ogromna strata dla świata, gdyby takie geny poszły na zmarnowanie!

BOŻENKA CHUDA, CZYLI NUDA

Agnieszka Kaczorowska, znana bardziej jako Bożenka z „Klanu”, chwali się nową, szczuplejszą sylwetką, co w show-biznesie nie jest bez znaczenia. Zwłaszcza że Kaczorowska jest także tancerką. Teraz chwali się, że zrzuciła aż 8 kg! – To była kwestia zdrowych posiłków i mniejszych porcji – zdradza w magazynie „Flesz”. – Pra-

cowałam także nad emocjami i akceptacją siebie. Zauważyłam, że jeśli mam kłopoty, to jem więcej. Dlatego dziś staram się jeść tylko wtedy, gdy czuję głód, i tylko tyle, by go zaspokoić – tłumaczy. Czyli jak Bożenka tyje, to znaczy, że coś się dzieje, a jak chuda, to nuda. To wyznaczenie znacząco ułatwi pracę redakcjom plotkarskich mediów. ©



FOT. PAVLE CROVADA



FOT. TRICORSEAST NEWS

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, bardzo podoba nam się pomysł zniesienia ustawy przemocy ekonomicznej. To pomysł dogłębnie równościowy i antydyskryminacyjny, zwłaszcza jeśli chodzi o ratowanie waginoosób spod męskiej dominacji lub od męskiego pasożytnictwa.

utrzymywać takiego fallusopasożyta.

Martwi nas jednak, iż do tej pory nikt nie podniósł kwestii przemocy ekonomicznej w związkach poliamorycznych oraz w parach LGBTQWERTY. Of kors wiemy, iż w takich związkach przemoc nie zachodzi w żadnej

nie jest przemocą, iż po prostu tak, a kto ma wątpliwości, ten powinien poważnie się nad sobą zastanowić: czy na pewno jest taki tolerancyjny, jak mu się wydawało.

Aw ogóle to straszna siara w chooy, iż polscy sportowcy zabrali ze sobą na igrzyska do Korei księdza. Teraz każdy sportowiec z innego kraju pomyśli sobie, iż w tym kraju ksiądz jest na obowiązkowym etacie w każdym związku sportowym i sportowcy z tego kraju nie mogą się bez niego ruszyć za granicę.

Nie po to organizatorzy przygotowali tysiące prezerwatyw, iżby teraz ksiądz z tego kraju wprowadzał zakłopotanie w małym ośrodku olimpijskim. Zresztą boimy się, iżby potajemnie polska delegacja tych prezerwatyw nie przekłująca ani nie podkładała w ich miejsce świętych obrazków z Kaczafim :(

Mamy nadzieję, iż mogłaby się tym zająć Komisja Europejska i MKOl, bo przeciesz tak poza tym takim księdzem mogliby się poczuć urażeni sportowcy katolickoujemni bądź wiarosceptyczni!!! Gdzie tolerancja dla cudzych poglądów? :(

Wwalentynki to już myśleliśmy, iż zaczną się te internowania, że zaczną wywozić opozycję do tajnych rządowych ośrodków w okolicach Jarosławia, sprawdziliśmy nawet, czy w naszym emergency pack na wypadek internowania mamy wszystkie niezbędne artykuły pierwszej potrzeby, zainscenizowaliśmy testowe selfie z zatrzymania...

...a oni tego Frasyniuka szybko wypuścili do domu. ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

Ostatnia narada przed ostateczną kapitulacją w bunkrze pod siedzibą stowarzyszenia sędziów „lustitów”



Z jednej bowiem strony przemoc ekonomiczną mamy wówczas, kiedy to fallusoosoba zarabia więcej niż kohabitująca z nim waginoosoba – iż czyni to ich pożycie zbliżone do patriarchatu, w którym to „facet” utrzymuje swoją „kobietę”. Z kolei kiedy to waginoosoba zarabia więcej niż fallusoosoba, jest to beka, iż „facet” jest takim frajerem, że „kobieta zarabia więcej niż on, a co więcej – waginoosoba jest wówczas uciśniona, iż nie może się realizować, tylko musi

postaci, ale chodzi o to, iżby nam to ktoś wytłumaczył, tak abyśmy nie mieli wątpliwości, co należy myśleć.

Tak na szybko rozkminiamy to w ten sposób: w związkach poliamorycznych na skłotach nie zarabia nikt, iż zakłada się jakąś spółdzielnię albo ruch miejski i bierze kasę od miasta – wówczas to ono jest podmiotem przemocy ekonomicznej, iż daje za mało dotacji.

Natomiast w związkach LGBTQWERTY różnica dochodów

Z rynku pracy. Trwa intensywne poszukiwanie nowego zarządu Polskiej Fundacji Narodowej. Żli ludzie opowiadają zabawną rzecz – podobno kilku mocnych kandydatów odmówiło przyjęcia roboty, bo zdają sobie sprawę, że to fucha nadzorowana bezpośrednio przez Kaczora Dyktatora. Dlaczego uważamy, że to zabawne? Szanowni państwo, a czy jest dziś w Polsce coś, czego nie nadzoruje bezpośrednio Kaczor Dyktator?

Na dowód prawdziwości powyższego twierdzenia mamy opowieść złych wiewiórek (wiadomo że złych, bo z Nowogrodzkiej), które wyśmiewają teorię o zmianie szefostwa Orlenu w ramach porządków prowadzonych przez nadpremiera Mateusza. Mówią, że zmiany zażył sobie osobiście Kaczor Dyktator.

Apropos zmian. Szykują się w kancelarii premiera. Będą dotyczyły spraw najważniejszych, to znaczy PR i polityki informacyjnej rządu. Nowa komórka będzie takim innym, konkurencyjnym Centrum Informacyjnym Rządu. Jak tylko komórka nabierze ostatecznego kształtu, powiemy wam, kogo w niej zamknęto.

Kolejna zabawna historia, à propos rozmaitych komórek i zespołów w rządzie. My: „Dziennik” napisał, że będzie w rządzie także nowy specjalny zespół szybkiego reagowania na kryzysy, takie jak ten z Izraelem. Ważna Wiewiórka: jak to, przecież już jest taki od dawna! My: jak to, gdzie, kto nim kieruje? Ważna Wiewiórka: no jak to kto, Michał Dworczyk!

Długo zastanawialiśmy się nad sensem tej wypowiedzi. Chyba już wiemy. Michał Dworczyk został Wojtkiem Kolarskim kancelarii nadpremiera Mateusza. Już wyjaśniamy, na czym polega pełnienie funkcji „Wojtek Kolarski”. Otóż, kiedy coś trzeba zrobić, ale A) nikt nie chce; B) nie wiadomo, kto ma to zrobić; C) wymaga to kupy roboty – wskazuje się kogoś, kto jest zbyt miły, by odmówić. I on wtedy musi to wszystko robić. U prezydenta Andrzeja Sebastiana jest to Wojtek Kolarski, a u nadpremiera Mateusza – najwyraźniej Michał Dworczyk.

Tymczasem w PiS. Srebrny Lis Dyplomacji przeszedł do kolejnej fazy orbitowania bez cukru. Jak pamiętacie, chwalił się ostatnio, że jego MSZ był cacy, a ten nowy wszystko psuje. Teraz Waszczu wyraża rozczarowanie polityką ustępstw wobec Unii Europejskiej i ogłasza „Ja miałem inne instrukcje”. Mamy pewne podejrzenia, że Waszczu w ogóle wszystko miał inne.

Pamiętacie Rycha? Znaczy Richarda Henry’ego? Taki białowłosy, w okularach, był kiedyś wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego. Dotarli do nas na jego temat wstrętne plotki. Otóż nie wszyscy w PiS są w żalobie po degradacji Rycha. Niektórzy bąkają, że nie najlepiej dawał sobie radę z prowadzeniem obrad. Uważamy takie wypowiedzi za haniebne i poważnie zastanawiamy się nad ich porównaniem do szmalcownictwa.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Mamy nowe ulubione słowo. Brzmi ono „relatywnie”. Rysiek ogłosił bowiem, że PiS ma relatywnie wysokie poparcie

Po dłuższej przerwie odnalazł się inny Ryszard. Czyli Rysiek. Znaczy Petru. Skorzystał z jednej znanej mu formy potwierdzania własnego istnienia, czyli wywiadu. Mamy dzięki temu nowe ulubione słowo. Brzmi ono „relatywnie”. Rysiek ogłosił bowiem, że PiS ma relatywnie wysokie poparcie. Sprawdziliśmy. Ostatnio było niemal dziesięć razy wyższe od poparcia dla Nowoczesnej Kropki. Zastanawiamy się więc, co mogłoby oznaczać sformułowanie „Rysiek Petru jest relatywnie wysoki”.

Nie każdy chce być sopistą. Mówiliśmy, że to nieszczęśliwa nazwa. Z okazji przekształcenia Biura Ochrony Rządu w Służbę Ochrony Państwa dziwnie wielu borowików stwierdziło, że ma inny pomysł na życie i odchodzi z roboty. Martwi nas to, ale tylko relatywnie. Skoro zwalniają, to będą przyjmować.

Niestety, nie będą przyjmować do straży marszałkowskiej. Wielki sen marszałka Kuchty-Kuchcińskiego o przekształceniu tej formacji w super Secret Service się nie spełni i nie będzie ona mogła konkurować z SOP w ochronie najważniejszych osób poza parlamentem. Szkoda, bo to oznaczałoby jakieś sto nowych miejsc pracy. A przecież rząd obiecywał, że będzie tworzył miejsca pracy.

Rozmawialiśmy ostatnio z wielkim wróżbitą. Nazywa się Marek Sawicki, jest z peezelu. Chcieliśmy w związku z tym zwrócić uwagę na dwie jego przepowiednie. Pierwsza: ostrej zimy już nie będzie. Mówił to

jako praktykujący rolnik. Druga: to Platforma się rozpadnie, a nie Nowoczesna. Mówił to jako praktykujący polityk. Nawet jeżeli jego przepowiednie spełnią się tylko w 50 proc., tak czy inaczej, będziemy zadowoleni.

Marzec. Niebezpieczna dla Polaków pora. Nie tylko Peło chce wtedy ogłosić swoich kandydatów na prezydentów miast. Zrobi to także PiS. Wiewiórki ćwierkają, że już po Jakim, i że jednak o Warszawę powalczy doktor marszałek Stanisław Karczewski.

Z kolei wiewiórki od kukistów twierdzą, że z Korwinem Krulem to bzdura. To znaczy mówią, że może i Korwin Krul powracający z europarlamentu będzie walczył o fotel po Hance Kamieniczak-Waltz, ale kukiści nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Bardzo zaciekało nas uzasadnienie tej niechęci: „Bo Korwin jest drugim obok Kaczyńskiego politykiem, który ukradł polską prawicę”.

Tymczasem we Wrocławiu. W mieście pojawiły się wielgachne billboardy promujące europejski dorobek europosła Ujazdowskiego Kazimierza Michała. Oczywiście nie mają one nic wspólnego z faktem, że Ujazdowski chce kandydować na prezydenta Wrocławia jako niezależna trzecia siła, to znaczy przybrany syn i następca Rafała Dutkiewicza. Odrzucamy takie sugestie ze wzgardą.

Tymczasem w Katowicach. Tu też pojawił się kandydat na prezydenta, ale nie miasta, tylko kraju. Nie obeszło się bez akcentów głęboko humorystycznych, bo organizatorem spotkania Roberta Biedronia z aktywem śląskim była Demokratyczna Unia Regionalistów Śląskich, czyli taka kanapa polityczna związana z redakcją miesięcznika „Ślunski Cajtung”. Oprócz szybkiego uruchomienia pisma „Ślunski Cajtung” oczekujemy więc od Biedronia założenia Ruchu Autonomii Śląska.

Tymczasem w Poznaniu. Wiewiórki ćwierkają, że Nowoczesna Kropka nie wystawi swojego kandydata

Opinia Francji krytykująca polskie prawo chroniące prawdę historyczną jakoś zupełnie mi Vichy...



na prezydenta, bo Aska Schmidt dalej nie chce, a Katarzyna Kierzek-Koperska kiepsko wypada w sondażach. Będzie więc trzeba poprzeć wraz z Peło urzędującego Jacka Jaśkowiaka. Zabawniejsze są plotki, jakoby lokalni kukiści chcieli poprzeć przeciw Jaśkowiakowi niejakiego Pucka. To kandydat iście antyestablishmentowy. Był nie tylko w PO, ale i w Unii Wolności. No i pracował dla Grobelnego. Prawdziwy antysystemowiec.

Z życia wyższych sfer: Nowa miotła, która sunie przez państwowe spółki, do tego stopnia przerażała jednego z prezesów, że przez dwa tygodnie ukrywał, że jest na legalnym urlopie na nartach w Austrii. Codziennie limuzyna z zaciemnianymi szybami udawała się pod dom prezesa. Wracała do firmy do podziemnego garażu. Kierowca uruchamiał pustą windę w trybie zarządu. W porze lunchu winda zjeżdżała do garażu. Następnie jechała do ulubionej restauracji prezesa, gdzie oczekiwała godzinę. Potem wracała do firmy, a wieczorem odwoziła prezesa do domu. I tak przez dwa tygodnie. Wszystko po to, by nikt nie powiedział, że prezes nie pracuje. True story.

Ów prezes na narty pojechał prywatnym samochodem, ale na wszelki wypadek miał w kieszeni powrotny bilet lotniczy tzw. open. Co oznaczało, że gdyby dobiegły do niego niepokojące sygnały, był w stanie w trzy godziny dolecieć do Polski i pojawić się w firmie. Opowiadamy tę historię, by raz na zawsze skończyć z krzywdzącymi opiniami, że praca na państwowym jest mało emocjonująca. ©©





Rewolucjonista w



Wojciech Wybranowski

Gdy Mariusz Kamiński stworzył CBA i zabrał się do zwalczania korupcji, próbowano się go pozbyć z życia publicznego. Dzisiaj akcje Biura pokazują, że to nie takich ludzi należało się pozbywać

Co się dzieje z CBA? Jakiś zastój – żartowali na Twitterze niektórzy dziennikarze śledczy, gdy pierwszy tydzień lutego nie przyniósł sensacyjnych informacji o zatrzymaniach i nowych śledztwach. Okazało się, że to

tylko cisza przed burzą. Na początku ubiegłego tygodnia funkcjonariusze Biura wkroczyli do mieszkania Pawła T., byłego wiceministra skarbu w rządzie Donalda Tuska, i pięciu innych osób, w tym urzędników resortu. Zatrzymano

ich wszystkich pod zarzutem korupcji i nieprawidłowości urzędniczych przy sprzedaży w 2014 r. akcji firmy Ciech SA spółce KI Chemisty kontrolowanej przez rodzinę Jana Kulczyka. Jak wynika z nieoficjalnych informacji, straty wynikające ze sprzedaży akcji Ciechu poznańskiemu biznesmenowi po zaniżonej wartości mogły wynieść ok. 110 mln zł.

– Mam duży dystans do takich informacji. Nie uważam, że trzeba ukrywać coś z poprzednich lat, nie znam tej sprawy, ale wygląda ona na polityczne zamówienie. Widać tu polityczne zlecenie, a nie chęć wyjaśnienia tej sprawy – komentował tę sprawę Grzegorz Schetyna, lider PO.

FOT. ANDRZEJ STAWIŃSKI/REPORTER

akcji

koniec grudnia w związku ze śledztwem w sprawie korupcji weszli do mieszkania Stanisława Gawłowskiego, byłego wiceministra środowiska w rządzie PO-PSL, albo gdy zatrzymali w głośnym śledztwie dotyczącym łapówkarstwa byłego senatora PO Józefa Piniora lub gdy przyszli po Grzegorza Koguta (syna senatora PiS Stanisława Koguta) i jego czterech współników podejrzanych o działania korupcyjne. Sam senator Kogut też w śledztwie CBA miał zostać zatrzymany, ale koledzy senatorowie nie wyrazili zgody na odebranie mu immunitetu.

Jednak sprawy dotyczące osób o głośnych nazwiskach to tylko niewielki wycinek aktywności CBA. Jak wynika z opracowania „Mapa korupcji. Zwalczanie przestępczości korupcyjnej” tylko w 2016 r. w Krajowym Centrum Informacji Kryminalnych zarejestrowano 25 968 zawiadomień o przestępstwach o charakterze korupcyjnym. Policja, CBA i ABW oraz inne służby wszczęły wtedy blisko 2 tys. postępowań w takich sprawach, skazano ponad 2,6 tys. osób. Samo CBA w 2016 r. zarejestrowało 276 przestępstw korupcyjnych i ujawniło korzyści majątkowe pochodzące z korupcji o wartości ponad 25 mln zł, zabezpieczyło także mienie o wartości 29 mln zł.

Czego dotyczyły największe sprawy prowadzone przez CBA od zmiany władzy jesienią 2015 r.? To przede wszystkim ponad 68 śledztw w aferze reprivatyzacyjnej w Warszawie. Biuro ma na swoim koncie zatrzymanie m.in. Macieja i Maksymiliana M. oraz mecenasa Roberta N. – czyli czołowych graczy na warszawskim rynku handlu roszczeniami spadkowymi, a także Jakuba R., byłego urzędnika stołecznego ratusza.

– Wkroczyliśmy na kolejne pole związane z reprivatyzacją. Od kilku tygodni pracujemy nad wątkiem reaktywacji przedwojennych firm i odzyskiwania na tej podstawie wielomilionowych odszkodowań za wyłudzone mienie. Pierwsze czynności już zostały wykonane: nasi ludzie w połowie grudnia weszli do 20 mieszkań oraz firm w kilku miastach Polski i zabezpieczyli dokumenty dotyczące reaktywacji 40 przedwojennych spółek – mówi nam jeden z funkcjonariuszy CBA.

Biuro prowadziło także m.in. śledztwa dotyczące wyłudzeń VAT, w trakcie których zatrzymano już kilkadziesiąt osób. W styczniu tego roku funkcjonariusze Biura zatrzymali pięć osób, które powołując się na wpływy wśród

polityków, chcieli wyłudzić 6 mln zł za koncesje i załatwienie rządowych kontraktów przy budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego, a także prezesów spółki Laboratorium MSF podejrzanych o wyłudzenie ponad 2 mln zł od Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości. W największej akcji w historii CBA, którą „Do Rzeczy” opisało jako pierwsze, w listopadzie 2017 r. zatrzymano 74 osoby. Miały zdaniem śledczych wyłudzić 1,74 mld zł kredytów z SK Bank w Wołominie.

Jak powstała służba, która jako pierwsza w Polsce pokazała, że z korupcją można skutecznie walczyć?

POSPRZĄTAĆ W POLSCE

Sejm III kadencji. Rządy AWS. Szałeje korupcja. Policja i Urząd Ochrony Państwa są w walce z przekupnymi urzędnikami praktycznie bezradne. Poseł Ludwik Dorn podczas jednego z wywiadów rzucił pomysł powołania specjalnej instytucji, której trzon stanowiliby ludzie uznawani za elitę elit w służbach, przeświecleni, niepodatni na korupcyjne pokusy. Koncepcji nawet nie próbowano wówczas zrealizować.

Pomysł wraca w 2005 r., gdy wybory parlamentarne wygrywa PiS. Zasiadający wtedy w poselskich ławach tej partii Mariusz Kamiński, pełnomocnik rządu ds. opracowania programu zwalczania nadużyć w instytucjach publicznych, zgłasza projekt powołania Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Ruszają prace nad ustawą, a równocześnie – w kulisach – prace nad powołaniem nowej instytucji. W maju 2006 r. Sejm zdecydowaną większością głosów zgadza się na utworzenie nowej służby, a jej pierwszym szefem zostaje Kamiński. Zastępcami są ludzie, z którymi przyjaźnił się jeszcze od czasów Ligi Republikańskiej: Maciej Wąsik – mający odpowiadać za administrację – i Ernest Bejda – odpowiadający za kwestie prawne.

– Najtrudniej było zebrać niezłą ekipę ludzi uczciwych, zdeterminowanych, by posprzątać w Polsce. Mieliśmy pomysł, ustawa o CBA była w tworzeniu, w czym też czynnie uczestniczył Władysław Stasiak – wspomina Maciej Wąsik. – Staliśmy się ściąganiem najlepszych z policji i z ABW, często braliśmy fachowców, których z różnych powodów nie doceniano, którym blokowano kariery i takich, którzy znali się na gospodarce, a skład uzupełnialiśmy absolwentami studiów.

– Podobnie jak cała Polska widziałem, jak wyglądały rządy Platformy. Rozliczamy teraz te osiem lat i ma to charakter publiczny, podobnie jak rozliczanie rządów PiS. Od tego jest CBA – ripostuje Maciej Wąsik, sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych w rozmowie z „Do Rzeczy”.

Centralne Biuro Antykorupcyjne utworzone przez Mariusza Kamińskiego, dziś ministra koordynatora służb specjalnych, po blisko 12 latach od rozpoczęcia działalności wciąż budzi olbrzymie emocje. Najwięcej wtedy, gdy funkcjonariusze Biura pukają do mieszkań osób publicznie znanych, np. jak wtedy, gdy pod



Mariusz Kamiński w nowo utworzonym CBA na zastępców wziął Ernesta Bejdę (z lewej) i Macieja Wąsika (z prawej) FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

■ Tajemnicą poliszynela jest to, że kandydatów do CBA prześwietlano m.in. za pomocą badań wariograficznych. Przez to według naszych źródeł miało odpaść kilku cieszących się dotąd niezłą opinią policjantów Centralnego Biura Śledczego. 24 lipca 2006 r. nowa służba zaczęła działać.

– Wiesz, co dla mnie było największym zaskoczeniem, gdy przeszedłem z policji do CBA? Normalność. W policji każdą kartkę oglądaliśmy cztery razy, zapisywaliśmy z obu stron, a gdy okazało się, że w wydruku są błędy, jeszcze wykorzystywaliśmy ją do notatek. W Biurze okazało się, że nie ma tych problemów, że da się normalnie funkcjonować – opowiada nam jeden z funkcjonariuszy.

– Kupa młodych zapaleńców, ale chyba udało się uniknąć takiego wywyższania: „starzy policjanci” kontra nowicjusze. Uderzające, że nie było tego komisarzowego sznytu, picia w robocie – wtrąca się inny z byłych policjantów, obecnie w CBA.

Do pierwszej akcji Biura doszło w grudniu 2006 r. Funkcjonariusze weszli wówczas do mieszkań podejrzanego o wiele przestępstw gospodarczych wpływowego biznesmena Wiesława B. (prezesa spółki Kama Foods SA) i jego współpracownika Roberta M. Oba postawiono zarzuty działania na szkodę firmy, która miała na tym stracić ponad 140 mln zł. Wiesław B. zmarł w 2014 r. przed zakończeniem postępowania, Robert M. został skazany na dwa

lata więzienia w zawieszeniu i 3 mln zł grzywny.

GENETYCZNY ANTYKOMUNISTA

W prywatnych rozmowach z politykami opozycji często daje się słyszeć zdanie, że „CBA byłoby OK, gdyby nie stał za nim Kamiński”. Jednocześnie część z jego krytyków niechętnie przyznaje, że gdyby nie upór Kamińskiego, taka służba być może nigdy by nie powstała.

– Mariusz ma pewną „skazę”. Po pierwsze, albo ma wycięty gen fizycznego strachu, albo ma go w takiej atrofii, że jest niezauważalny, a żeby stworzyć taką służbę, trzeba by człowieka, który się nie lęka. Po drugie, jest stuprocentowo uczciwy – opowiada nam znany publicysta, bliski znajomy Kamińskiego jeszcze z czasów podziemia antykomunistycznego.

W środowisku dawnych działaczy NZS słynne jest zdjęcie z lutego 1988 r. Widać na nim drobnego, chuderławego chłopaczka w okularach, stawiającego czoła patrolowi ZOMO, który właśnie wtargnął na teren Uniwersytetu Warszawskiego. Mariusz Kamiński, wówczas student historii UW i działacz NZS, wspólnie z kolegami doprowadził do tego, że milicjanci zostali usunięci z terenu uczelni.

– Mario ma wycucie do ludzi. W pewnym momencie, przed 1989 r., przyczepił się do nas, jak się później okazało, „plaster z SB”. Młody, udający radykalnego, namawiający nas na różne akcje, przynoszący materiały typu Semtex. Ewidentny prowokator. Mariusz

od razu go wyczuł i zerwaliśmy z nim jakiegokolwiek kontakty – wspomina Andrzej Papierz, konsul generalny RP w Stambule, były działacz NZS.

Gdy rozmawiamy z dawnymi działaczami NZS na UW, to opowieści o spektakularnych akcjach, w których istotną rolę odegrał właśnie późniejszy założyciel CBA, nie brakuje. Słyszymy np. o tej z lipca 1986 r., kiedy to w stolicy odbywał się zjazd PZPR, a zbuntowana młodzież chciała pokazać, że jest przeciw. Umówiła się więc na staromiejskim Barbakanie, udając wycieczkę turystyczną. Nagle Kamiński wyciągnął wielką flagę Solidarności, a cała 20-osobowa grupa działaczy NZS zaczęła, ku radości wiwatujących ludzi, skandować: „Solidarność żyje!”. Rozbiegli się, zanim na miejscu pojawiła się esbecja.

– W czasie wojny były śpiewane w tramwajach piosenki o Niemcach, a myśmy za komuny potrafili przejechać autobusem po Krakowskim Przedmieściu, śpiewając antykomunistyczne piosenki. W ponurych czasach końcówki lat 80. – śmieje się Danuta Bolikowska, fotograf podziemnego NZS. – Mariusz potrafił wydzierać się na cały autobus: „NZS, NZS!” albo „Solidarność, Solidarność!”. Potem z okna tego autobusu, fru... jakieś ulotki na ulicę i „wypad” z pojazdu. Jak widziałam, z jakim on zaangażowaniem tak śpiewa i krzyczy, nie bojąc się nikogo w tym zapchanym autobusie, pomyślałam sobie: to jest urodzony rewolucjonista – dodaje.

Po 1989 r. Mariusz Kamiński skutecznie starał się o pracę w Urzędzie Ochrony Państwa, później krótko pracował w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego i Głównym Urzędzie Ceu. W 1993 r. wrócił do aktywności politycznej, współzakładając stowarzyszenie Liga Republikańska domagające się dekomunizacji.

– Mieliśmy poczucie, jako dawni działacze NZS, że nie dokończyliśmy naszych spraw, że przy Okrągłym Stole zostaliśmy oszukani, że wrócili do władzy ludzie wywodzący się z systemu komunistycznego, których w życiu publicznym być nie powinno. Liga Republikańska stała się więc środowiskiem protestu młodych ludzi, mam wrażenie, że wówczas największym w Polsce – mówi Andrzej Papierz.

Liga zaśpiewała głośnymi antykomunistycznymi akcjami i happeningami, m.in. rozklejanymi w całej Polsce plakatami

z wizerunkiem ówczesnego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego stylizowanego na wampira i z podpisem: „Kwasuła – czerwony wampir”, okolicznościowymi akcjami „Morderca mieszka obok ciebie”, w których do wiadomości publicznej podawano nazwiska i adresy unikających sądów komunistycznych zbrodniarzy, kontrdemonstracjami pierwszomajowymi i marszami w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego 13 grudnia. Upamiętniała też ofiary komunistycznego totalitaryzmu. Działacze Ligi i NZS obrzucili jajkami postkomunistycznego ministra edukacji Jerzego Wiatra. Niektórzy próbują przypisać też Kamińskiemu „zamach nabiłowy” na Kwaśniewskiego w Paryżu, ale to akurat była wyłącznie akcja RAAK. Ludzie Kamińskiego, zwłaszcza Grzegorz Wąsowski – dziś szef fundacji Pamiętamy – jako pierwsi w Polsce upomnieli się o pamięć i cześć żołnierzy wyklętych.

Jeszcze w Lidze Republikańskiej miał się objawić współpracownikom dość trudny, jak mówią, charakter Kamińskiego. Niektórzy twierdzą, że ma on skłonności do autokratycznego podejmowania decyzji, kontrolowania innych.

– Robiliśmy bardzo dużo konkretnych celowych akcji wymierzonych w absurdy SLD-owskich rządów. Wspominam Mariusza bardzo dobrze. To, co robił w tamtych czasach, robił we wspólnym celu, na pewno nie można go posądzać o koniunkturalizm – wspomina Marcin Kornaga, były szef krakowskiej Ligi Republikańskiej, często ustawiającej się wtedy w wewnętrznej opozycji do Kamińskiego. – Zachowywał się bardzo przyzwoicie. Miał – co prawda – pewne cechy charakterologiczne, trudne do przeskoczenia, co generowało konflikt, ale z perspektywy czasu mam dobre wspomnienia – dodaje.

W 1997 r. Kamiński został posłem z list AWS, co spowodowało konflikt w Lidze Republikańskiej i ostatecznie doprowadziło do rozpadu organizacji. Jako poseł AWS zaczął tropić nieprawidłowości i polityczną korupcję. Domagał się wtedy m.in. powołania specjalnej komisji śledczej do zbadania działań Aleksandra Kwaśniewskiego w okresie, gdy ten kierował Komitetem ds. Młodzieży i Kultury Fizycznej. W Sejmie nie udało się takiej komisji powołać. Politykom AWS zabrakło także woli, by przepchnąć przez głosowania przygotowaną przez

Kamińskiego i Ligę Republikańską ustawę dekomunizacyjną.

POSTRACH WŁADZY

Stworzona w 2006 r. przez Kamińskiego służba też zajęła się Kwaśniewskim. Chodziło o dom w Kazimierzu, który – jak podejrzewało CBA – mógł zostać przez Kwaśniewskich kupiony na tzw. słupa. CBA wykorzystując techniki operacyjne, w tym prowokację (m.in. kontrolowany zakup), zebrało dowody, które miały potwierdzać, że faktyczną właścicielką willi była Jolanta Kwaśniewska. Śledztwo w tej sprawie wszczęto w 2007 r., ale krótko po odwołaniu Kamińskiego z funkcji szefa CBA – w lutym 2010 r. – prokuratura umorzyła je, uznając, że przestępstwa nie było.

– Działania prokuratury stały się, delikatnie mówiąc, zaskakujące. Prokurator Iwona Palka, powołana przez ministra Cwiakalskiego na szefa katowickiej apelacji, nie zgodziła się na zatrzymanie, a następnie podważyła materiały operacyjne – opowiada nam jeden z ludzi CBA zaangażowanych w to śledztwo.

W grudniu 2016 r. Prokuratura Regionalna w Katowicach wznowiła postępowanie w sprawie „willi Kwaśniewskich”. Dlaczego? Weryfikacja akt miała wykazać, że postępowanie umorzono, nie przeprowadzając wszystkich czynności dowodowych.

Ludzie Kamińskiego z impetem weszli też w świat sportowej korupcji. Dzięki działaniom CBA zatrzymano ponad sto osób – sędziów piłkarskich i zawodników – którzy ustawiali wyniki meczów. „Ofiarą” antykorupcyjnych działań Biura stał się nawet minister sportu w rządzie PiS Tomasz Lipiec. Postępowanie wykazało, że miał wziąć łapówkę za powołanie swojego znajomego na dyrektorskie stanowisko w Centralnym Ośrodku Sportu w Warszawie. W czerwcu 2013 r. Lipiec został prawomocnie skazany na dwa lata i trzy miesiące więzienia.

CBA prowadziło również głośną sprawę Mirosława G., znanego kardiochirurga, szefa kliniki kardiochirurgii w warszawskim Szpitalu MSWiA. CBA zatrzymało go 12 lutego 2007 r. pod zarzutem korupcji i przestępstw, które miały zagrozić życiu jego pacjentów. W toku postępowań sądowych G. został uniewinniony od zarzutów zabójstwa i mobbingu, ale dowody w sprawie korupcji zebrane przez CBA okazały się mocne. W styczniu 2013 r. Sąd Rejonowy



W 2007 r. CBA zatrzymało kardiochirurga Mirosława G. Sześć lat później sąd skazał go za przyjęcie ponad 17,5 tys. zł od pacjentów FOT. CBA/REPORTER

dla Warszawy-Mokotowa skazał doktora na rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata i grzywnę za przyjęcie ponad 17,5 tys. zł od pacjentów.

Inne głośne śledztwo Biura dotyczyło sprawy afery gruntowej. Według śledczych bliscy współpracownicy ówczesnego wicepremiera Andrzeja Leppera – Piotr Ryba i Andrzej K. – mieli w imieniu swoim i jego domagać się łapówek w zamian za pomoc w odrobinieniu gruntów na Mazurach. Ostatecznie po całym korowodzie procesów sąd uznał zarówno Rybę, jak i K. za winnych przestępstwa. Afera gruntowa przyczyniła się do rozpadu koalicji PiS-Samoobrona-LPR i upadku rządu.

Centralne Biuro Antykorupcyjne od samego początku było krytykowane przez lewicowo-liberalne media bliskie Platformie Obywatelskiej i polityków tej partii. Ataki nasiliły się w październiku 2007 r., gdy funkcjonariusze Biura zatrzymali ówczesną posłankę PO Beatę Sawicką przyjmującą w zamian za pomoc w ustawieniu przetargu na Helu 50 tys. zł łapówki od działającego „pod przykryciem” agenta CBA Tomasza Kaczmarka. W maju 2012 r. warszawski sąd okręgowy skazał ją na trzy lata więzienia. Rok później sędzia SA w Warszawie Paweł Rysiński uniewinnił ją do postankę. Stwierdził, że co prawda Sawicka wzięła łapówkę, ale odpowiada za to tylko moralnie, bo – jak argumentował – działania CBA wobec niej były nieuzasadnione i nielegalne.

Wiele wskazuje jednak, że machinę, która miała wybić kły CBA i usunąć



■ Kamińskiego z życia publicznego, uruchomiono na dobre dopiero po wybuchu kolejnej afery – głośnego śledztwa CBA ujawniającego potężne nieprawidłowości w działaniach członków rządu Donalda Tuska.

ROZSTANIA I POWROTY

W październiku 2009 r. Cezary Gmyz na łamach „Rz” ujawnił, że funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego, kierowanego wówczas przez Mariusza Kamińskiego, zdobyli dowody (m.in. nagrania), z których wynikało, iż pełniący wówczas obowiązki szefa klubu PO Zbigniew Chlebowski, a także minister sportu w rządzie Donalda Tuska – Mirosław Drzewiecki – oraz ich bliscy współpracownicy w trakcie prac nad ustawą hazardową mieli zabezpieczać interesy biznesmenów tej branży: Ryszarda Sobiesiaka i Jana Koska.

– Ujawniliśmy premierowi aferę w momencie, kiedy ustawa hazardowa miała trafić na posiedzenie rządu. Udo- wodniliśmy, że gdyby została przyjęta, Polska traciłaby ok. 500 mln zł rocznie. W momencie, gdy Kamiński przekazał informacje Donaldowi Tuskowi i jego współpracownikom, zaczęły się problemy. Okazało się, że jest przeciek, że osoby zamieszane w sprawę mają informacje ze śledztwa – opowiada nam osoba z dawnego kierownictwa CBA. – Nagle figuranci zaczęli mówić kodem, okazało się też, że zmienili telefony, numery kart, w kilku rozmowach między wierszami dało się wyczuć, że wiedzą, iż mogą być

rozpracowywani – dodaje.

Ostatecznie główne śledztwo w sprawie afery hazardowej zostało umorzone w kwietniu 2011 r. Prokuratura nie dopatrzyła się znamion przestępstwa.

A już po ujawnieniu przez „Rz” kulisów afery hazardowej nagle przyspieszyło prowadzone od 2007 r. śledztwo w sprawie rzekomego popełnienia przez kierownictwo CBA przestępstwa – fałszerstwa dokumentów wykorzystywanych w czynnościach operacyjnych w tzw. aferze gruntowej.

– Wiemy, że były naciski, by stawiać nam zarzuty. Edward Zalewski, wówczas prokurator krajowy, na początku sierpnia 2009 r., kiedy Tusk wiedział już o aferze hazardowej, zrobił w Prokuraturze Krajowej spotkanie prokuratorów, na którym zapadły decyzje o postawieniu zarzutów Mariuszowi Kamińskiemu. W mojej ocenie było to potrzebne Tuskowi, by mógł odwołać Kamińskiego – uważa Maciej Wąsik.

Ówczesny szef CBA 6 października 2009 r. usłyszał zarzuty przekroczenia uprawnień i popełnienia przestępstw przeciwko wiarygodności dokumentów. Kilka dni później premier Tusk odwołał go ze stanowiska.

Wątpliwości, które wskazują, że sprawa mogła mieć charakter polityczny, jest sporo. Latem 2010 r., kilka dni przed drugą turą wyborów prezydenckich, prowadzący postępowanie w tej sprawie prok. Robert Kiliański przekazał dziennikarzom informacje, że śledztwo przeciw Kamińskiemu jest już ukończone, a akt

oskarżenia trafi do sądu. Szybko okazało się jednak, że śledztwo jest daleko w polu, nie wykonano podstawowych czynności i będzie musiało potrwać jeszcze wiele miesięcy.

Co więcej – czynności przeciw Kamińskiemu i jego współpracownikom nadzorowała prok. Anna Habało, wówczas szefowa rzeszowskiej okręgówki. Jak się niedawno okazało, Habało była istotnym elementem tzw. układu podkarpackiego, rozpracowywanego przez CBA. W 2016 r. została, na polecenie prokuratury, zatrzymana i usłyszała zarzuty korupcji oraz płatnej protekcji. Miała m.in. pomagać lokalnemu przedsiębiorcy w uniknięciu wysokiego podatku, za co miała otrzymać kilkadziesiąt tysięcy złotych łapówki. W grudniu w Tarnowie zaczął się jej proces.

Akt oskarżenia przeciw Kamińskiemu trafił do sądu we wrześniu 2010 r., a przygotował go prok. Bogusław Olewiński, w PRL zarejestrowany jako konfident SB o pseudonimie Marian. W sądach zapadły dwa orzeczenia. 20 czerwca 2012 r. warszawski Sąd Rejonowy Warszawa-Śródmieście umorzył postępowanie, stwierdzając, że funkcjonariusze CBA nie popełnili przestępstwa. To nie powinno dziwić, wszak dwa lata później warszawski sąd, uznając Piotra Rybę i Andrzeja K. za winnych w aferze gruntowej, wskazał, że działania CBA były uzasadnione i zgodne z prawem. Prokuratura złożyła jednak odwołanie. W marcu 2015 r. sędzia Wojciech Łączewski uznał Kamińskiego za winnego przekroczenia uprawnień i nieprawomocnie skazał go na karę trzech lat pozbawienia wolności oraz 10 lat zakazu pełnienia funkcji publicznych. Wyrok trzech lat więzienia usłyszał wówczas także Maciej Wąsik.

Sprawa wywołała burzę. Gdyby wyrok wszedł w życie, usuwałby definitywnie zasłużonego w walce z korupcją Kamińskiego z życia publicznego. W 2015 r. prezydent Andrzej Duda ułaskawił Kamińskiego i Wąsika. Mariusz Kamiński został ministrem koordynatorem służb specjalnych, Wąsik jego zastępcą. Szefem CBA został tym razem inny z dawnych współpracowników Kamińskiego – Ernest Bejda.

– Jaki był stan CBA po naszym powrocie? Jak zatrzymanego pociąg, który stoi w polu i niszczy. Ludzie wystraszeni, z przetrąconymi kręgosłupami, bez zgody na ofensywne działania. To wszystko trzeba było uporządkować – konkluduje Wąsik.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



BRAMY ŚWIATŁOŚCI - NAPISAŁAM.

Można się dziwić, czemu postanowiłam pisać o aniołach, skoro w obiegowej opinii są to skromne i płochliwe istoty ubrane w niemodne nocne koszule, zajęte nieustannymi pieniami, lub, od czasu, do czasu, przeprowadzeniem przez kładkę pary uroczych dzieciątek. Ten obraz jednak szerokim łukiem mija się z prawdą. Anioły to bestie. Jednym słowem – potwory. Przerażające, potężne istoty, których moc i wygląd odbiera ducha najodważniejszym ludziom. Pierwsze słowa, jakimi anioł zwraca się do człowieka brzmią zazwyczaj: „Nie lękaj się!”, ale rzadko odnoszą pożądany skutek. Nawet mędrcy, prorocy i Boży wybrańcy odczuwali respekt przed skrzydlatymi posłańcami Pana. Stosunkowo niewiele aniołów ma postać podobną do ludzkiej. Znaczna część z nich to zdumiewające stworzenia o czterech lub sześciu parach skrzydeł, pokrytych niezliczoną liczbą oczu, płonących ciałach, kilku twarzach i głosie grzmącym niczym lwi ryk.

Skąd o tym wiem? Oczywiście, z tekstów źródłowych. Pism spisywanych przez wieki przez doktorów Kościoła, papieży, mistyków, alchemików

a także magów, zajmujących się ciemną stroną swojej sztuki. Tak, w magii, zwłaszcza czarnej, aniołowie okazują się często niezastąpionymi mistrzami lub, przynajmniej, gorliwymi pomocnikami.

INSPIRACJE - MIEWAM.

Jeśli chodzi o pisarstwo, to dość szerokie i różnorodne. Na moim stylu i języku literackim największe piętno odcisnęła doskonała, dwudziestowieczna klasyka amerykańska i iberoamerykańska.

W życiu prywatnym najbardziej inspirują mnie upalne, bezchmurne dni spędzane nad ciepłym morzem, na nieśpiesznych spacerach po starych, zabytkowych starówkach z obowiązkowymi przystankami w lokalnych knajpkach z widokiem.

WARSZTAT - SZLIFUJĘ.

Od lat. Starannie, ostrożnie i cierpliwie jak zegarmistrz, jubiler a może rzemieślnik odlewający kunstzowne cuda z dmuchanego szkła. Właśnie takie powinno być słowo w książce. Krucho. Kolorowe. Zaskakujące. Opalizujące mnóstwem odcieni i barw.

SZTUKA - UPRAWIAM.

No, uprawiałam. Kiedyś. Skończyłam nawet Liceum Plastyczne w Warszawie i dość długo sądziłam, że moje życie zawodowe będzie w jakiś sposób związane z plastyką. Ale nie było.

Pisanie, życie z pisania zawsze było moim największym marzeniem. Teraz je realizuję. I to jest bezcenne.

Ale zamiłowanie do sztuki, do obrazu, rzeźby, instalacji na zawsze we mnie zostało. Kiedyś obsesyjnie chciałam jak najszybciej zobaczyć wszystkie wielkie, natchnione dzieła, których reprodukcje robiły na mnie wrażenie, jakby ktoś miał je zaraz ukraść i spalić. Godzinami biegałam po muzeach, żeby napatrzeć się Brueghla, Boscha, Caravaggia, Van Gogha, Celnika Rousseau, Van Eycka, Braci Limburg czy Lucasa Cranacha Starszego. Pamiętam te wielkie oczarowania, magię przebywania obok prawdziwego przedmiotu sztuki. I rozczarowania. Też całkiem spore. Przypominam sobie jak pędziłam szalonym biegiem przez ogrody Wersalu, żeby koniecznie zobaczyć Petit Trianon. A trzeba było spokojnie posiedzieć na ławce. Ponieważ ujrzałam nieduży, dość zaniedbany budynek, który przypominał,

hmm... tak jakby trochę szalet miejski.

Teraz już tak się nie spieszę. Mam swoje małe, ulubione, zapomniane skarby. Taki prywatny album pamiątek z podróży i fascynacji.

RELIGIA - WYZNAJĘ.

Choć to zdecydowanie prywatna sprawa.

Ponieważ skończyłam archeologię, pisząc fantastykę często i chętnie sięgam do mitologii różnych kultur. Od angelologii i mitów judeochrześcijańskich, przez mitologię jakucką, wierzenia Czarnej Afryki, aż do legend i mitów japońskich. Od czasów licealnych szczególnie fascynuje mnie szamanizm, który nie jest w sumie religią, a jedynie systemem objaśniającym funkcjonowanie świata. Składa się z trzech podstawowych elementów, trójpodziału kosmosu na Świat Górny, Środkowy i Dolny, kosmicznej osi podtrzymującej wszystkie światy, którą może być gigantyczne drzewo lub góra oraz lotu duszy, jakiego doświadcza szaman opuszczając własne ciało i podróżując do Nieba, Zaświatów lub Krainy Demonów. Według pewnych teorii i przesłanek archeologicznych, w okresie rozwiniętego Paleolitu szamanizm prawdopodobnie obejmował wszystkie kontynenty i żyjące wówczas ludy, niezależnie od wyznawanych przez nie religii. Jak do tego doszło? Dlaczego akurat ten system? Czyżby w taki sposób ludzki umysł postrzegał jakąś nadrzędną, prawdziwą, choć ukrytą rzeczywistość? Te pytania nurtują mnie od lat i stanowią doskonałą inspiracją do pracy literackiej.

PLANY - SNUJĘ.

Chcę skończyć Bramy Światłości, a potem powrócić do Takeshiego i zamknąć także tę dużą powieść. Kusi mnie powrót do świata Grillbaru Galaktyka. Mam już nawet pomysły na dwie nowe części „Antykwariat Andromeda” i „Operacja Kasjopeja”. Jest też historia rozgrywająca się w Polsce, w czasie II Wojny Światowej. No i nowiutki, bardzo kuszący świat Rozpadliny, czyli dość klasyczna science fiction. Rozmyślałam też czasem o dawnym projekcie napisania dość mrocznej fantasty. Ale marzą mi się także dwie książki rozgrywające się w czasach starożytnych. Jedna dotyczy Rzymu pod rządami Klaudiusza, a druga sięga jeszcze głębiej w historię, do czasów hetyckich.

Tej historii nie da się wytłumaczyć bez przypomnienia, jak Jan Kulczyk został bogatym przedsiębiorcą. Bo właśnie jako wielki biznesmen był dobierany przez polityków na partnera ogromnych transakcji sprzedaży narodowego majątku. A więc jak doszedł do olbrzymich pieniędzy? W sposób, który może marzyć się każdemu – pierwszy milion dostał od swojego ojca Henryka, który za PRL dorobił się fortuny, prowadząc biznes pomiędzy ojczyzną a Niemcami. Jak to było możliwe, że komunistyczne władze pozwalały jednemu człowiekowi prowadzić tak olbrzymie interesy, i to na styku dwóch krajów, nigdy nie zostało dobrze opisane. To rozdział, który jeszcze czeka na swoją książkę. Kulczyk senior z synem założyli w PRL jedną z pierwszych firm polonijnych. Wokół tych firm kręcili się wówczas ludzie, którzy po przełomie 1989 r. zostaną ważnymi biznesmenami czy politykami. W stanie wojennym Jan Kulczyk został prezesem izby skupiającej firmy polonijne.

Wydawałoby się, że milion od taty to już ogromna pomoc w rozwoju biznesowej kariery w tamtych czasach w Polsce. Jednak ta kwota okazała się żałośnie małym spadkiem w porównaniu z tym, jakie pieniądze Jan Kulczyk zarobił dzięki rządowi w 1991 r. Wówczas Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zamówiło bez przetargu ponad 3 tys. volkswagenów dla policji i Urzędu Ochrony Państwa. Kulczyk był pierwszym przedstawicielem niemieckiego giganta motoryzacyjnego w Polsce. Dostarczył samochody, a rząd zapłacił 150 mln zł. Transakcja miała też jednak drugie dno – dzięki zamówieniu rząd Hanny Suchockiej (koleżanki Kulczyka ze studiów) chciał przekonać Niemców do inwestycji w bankrutującą polską firmę produkującą samochody rolnicze. To się udało i do dziś pod Poznaniem działa ogromna fabryka VW.

Potem Jan Kulczyk zajął się promowaniem polskiego biznesu i opowiadaniem o tym, że rodzimy kapitał powinien zostać w polskich rękach. Jego wizją miało być wpuszczanie do interesu zagranicznego kapitału, ale zachowywanie kontroli. Tyle że po prywatyzacjach z jego udziałem działa się akurat zupełnie odwrotnie.

PIWO I AUTOSTRADA

Zaledwie dwa lata po samochodowym biznesie Kulczyk wkracza w erę prywa-

Wielki pośrednik



Łukasz Zboralski

Prywatyzacja Ciechu SA nie jest jedyną, przy której działał Jan Kulczyk. Brał udział w sprzedaży wielu polskich firm. Jak się one skończyły?



FOT. TOMASZ GOLA/SE/EAST NEWS

tyzacji. Rząd sprzedaje Browary Wielkopolskie. Starać się o ich zakup mogą tylko krajowi przedsiębiorcy. Do przetargu staje firma Kulczyka – Euro Agro Centrum – i w 1993 r. kupuje 40 proc. akcji browaru. Szybko potem następuje podwyższenie kapitału, rząd nie kupuje nowych akcji, a Kulczyk zyskuje pełnię władzy w browarach. Już po trzech latach okazuje się, że polskie władze nie ochroniły tym przetargiem piwnego biznesu przed zagranicznymi inwestorami. Firma Kulczyka wpuszcza do browarów jako udziałowca SAB, wielkiego gracza z RPA. Potem wspólnie z nimi przejmuje jeszcze Browary Tyskie i tworzy Kompanię Piwowarską kontrolującą dużą część rynku piwa nad Wisłą. Sprzedaż polskiego majątku dopełnia się w 2002 r., gdy firma z RPA łączy się z amerykańskim gigantem i powstaje SABMiller. Kulczyk oddaje polskie browary za akcje wielkiego koncernu. On ma z tego prawie 2 mld dol. w akcjach, ale browary nie są już polskie – po zaledwie dziewięciu latach od przetargu, w którym premiowano rodzimy biznes.

W tym samym roku, w którym Jan Kulczyk kupuje Browary Wielkopolskie, powstaje spółka Autostrada Wielkopolska. W 1997 r. firma dostaje koncesję na budowę autostrady A2 i czerpanie z niej zysków przez 40 lat. I znów rząd robi wiele, by zadziałał biznes Kulczyka – daje gwarancje państwowe na pożyczkę AW SA sięgającą 270 mln euro. Przedsiębiorca za jednym zamachem dostaje więc możliwość zrobienia biznesu (koncesja) oraz finanse na jego realizację (pożyczka z gwarancją). Żaden rząd do tej pory nie zdecydował się na ujawnienie zapisów umowy koncesyjnej – czyli tego, na co tak dokładnie państwo w imieniu obywateli umówiło się z Kulczykiem (tak samo tajna pozostaje umowa koncesyjna na autostradę A4). Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro zarządził jednak teraz śledztwo, które ma zbadać okoliczności podpisania tej umowy.

TRANSAKCYJNY MIDAS

Prywatyzacja w latach 90. była pięknym czasem dla Kulczyka. Czegokolwiek dotknął, zamieniało się w złoto – jego złoto. Tak było np. z tworzeniem polskiej grupy bankowo-ubezpieczeniowej. Kulczyk, który już inwestował w Wartę, kupił wystawione przez rząd na sprzedaż akcje Powszechnego Banku Kredytowego. Ostatecznie pod koniec lat 90. akcje PBK trafiły do Austriaków,

a do doktora Jana trafiło kilkadziesiąt milionów złotych.

Schemat był już więc nie tylko opracowany, lecz także dobrze przetestowany, gdy w Polsce pojawił się pomysł na sprywatyzowanie państwowego giganta i monopolisty, Telekomunikacji Polskiej. Zainteresowani byli tym Francuzi. W pierwszym przetargu jednak oceniono ich ofertę jako niesatysfakcjonującą. I po raz kolejny władzy zamarzyło się, by oprócz inwestora z zagranicy w tej transakcji wzięło udział jakieś polskie przedsiębiorstwo. France Télécom pojęło to w lot i jako partnera do prywatyzacji dobrało... Jana Kulczyka. Rozpoczęta za rządów SLD największa prywatyzacja w Europie Środkowo-Wschodniej zakończyła się za rządów AWS. Rząd w 2000 r. sprzedał 35 proc. akcji, a Kulczyk Holding objął z tego pakietu ponad 13 proc. – wszystko po to, by Francuzi nie przejęli kontroli nad firmą. Patriotyczne barwy biznesu blakną w zaledwie pięć lat. Kulczyk sprzedaje FT swoje udziały, Francuzi przejmują też spłaty kredytów na nie zaciągnięte. Polska traci wpływ w TP SA (w 2010 r. państwo sprzeda Francuzom resztę firmy), doktor Jan zyskuje – co najmniej 40 mln euro.

WIĘKSZY APETYT, MNIJSZE MOŻLIWOŚCI

Kulczyk, który w zasadzie wyspecjalizował się w zarabianiu na pośredniczeniu między firmami a rządami, miał z czasem na tym polu coraz trudniej. Wciąż marzyło mu się odtwarzanie intratnego schematu, ale na kolejnych polach. Marzył o energetyce. Jednak nie pozwolono mu kupić Enei. Snuł plany o pośrednictwie w budowaniu sektora energetycznego między Polską a Ukrainą. Jako mniejszościowy udziałowiec Orlenu snuł też plany uczynienia z tej firmy międzynarodowego koncernu. Wtedy wybuchła afera Orlengate i – zamiast wpływać na łączenie polskiego giganta paliwowego z koncernami z zagranicy – biznesmen musiał się stawiać na przesłuchania przed powołaną w 2004 r. komisją śledczą w Sejmie. Wówczas chyba zaczął rozumieć, że coś się skończyło, a może nawet zaczął się obawiać – rozpoczął wyprzedzać polskich części biznesu, sam przeniósł się za granicę. Twierdził, że bał się o swoje bezpieczeństwo.

Jak pokazały ujawnione przez „Do Rzeczy” taśmy z podsłuchami, wpływy doktora Jana były wciąż ogromne. Z za-

pisu rozmów miliardera z rzecznikiem rządu PO-PSL Pawłem Grasiem wynikało, że Kulczyk oferował interwencję w sprawie atakującego rząd dziennika „Fakt” u wdowy po niemieckim właścicielu koncernu Axel Springer. Sześć tygodni po tej rozmowie Grzegorz Jankowski przestał być redaktorem naczelnym tabloidu.

Rok przed śmiercią – w 2014 r. – Kulczykowi udało się jednak zrobić jeszcze jeden wielki prywatyzacyjny interes w kraju. Jego K1 Chemisty kupiło od państwa chemicznego giganta, Ciech, po bardzo korzystnym kursie. Rok później Telewizja Republika ujawniła taśmy z afery podsłuchowej, na której zapisały się rozmowy dotyczące tej transakcji, które Kulczyk prowadził z byłym działaczem PO Piotrem Wawrzynowiczem, szefem NIK Krzysztofem Kwiatkowskim i byłym ministrem spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim. Temu ostatniemu zwierzał się z chęci przejścia ukraińskiej energetyki. Z Wawrzynowiczem rozmawiał o Ciechu. „Dwie niezależne forpoczty badały Włodka [prawdopodobnie chodzi o Włodzimierza Karpińskiego, ówczesnego ministra skarbu – przyp. red.], czy on nie spęka przy podejmowaniu decyzji. Posłałem Stasiu Gawłowskiego, to jest sekretarz w Ministerstwie Ochrony Środowiska, i Kaziu Plocke, sekretarz w Ministerstwie Rolnictwa, to jest jego kumpel. No i tam, przy wódeczce gdzieś, chodzili, go pytali, ale czy ten Włodek, który jest j...ny w Platformie, nie spęka, żeby Jankowi sprzedać Ciech. I powiedział, że absolutnie nie spęka, że to jest w ogóle transakcja taka, jak powinna być. Nic takiego się nie dzieje” – mówi na nagraniu Wawrzynowicz. W rozmowie z szefem NIK też pojawił się wątek Ciechu. Kwiatkowski wspomina, że rozmawiał o sprzedaży firmy z ministrem Karpińskim. „On mówi: »Sam byłem ciekaw reakcji, bo dał mi zieloną rękę, ale mówi: no zobaczymy, jak to pójdzie«, więc...” – relacjonował Kwiatkowski.

Śledztwo CBA w sprawie prywatyzacji Ciechu trwa od kilku lat. Śledczy uważają, że firmę sprzedano po zaniżonej cenie. Według nieoficjalnych informacji Skarb Państwa miał na tym stracić nawet 110 mln zł. W ubiegłym tygodniu portal Telewizji Polskiej ujawnił, że zatrzymano sześć osób, w tym m.in. byłego wiceministra Skarbu Państwa Pawła T. i urzędników resortu.

L jak lojalność



Kamila Baranowska

Beata Szydło, wchodząc do rządu Mateusza Morawieckiego, przyjęła wygodną dla siebie rolę recenzenta. Będzie obserwować, oceniać i cierpliwie czekać na swoje kolejne polityczne pięć minut. A cierpliwość to jedna z jej mocniejszych stron

Kiedy się okazało, że Beata Szydło wchodzi do rządu swojego następcy Mateusza Morawieckiego w randze wicepremiera, wielu zastanawiało się, po co i dlaczego. Pojawiały się nawet głosy, że to upokarzające być podwładną swojego do niedawna podwładnego. Spodziewano się, że była premier odnajdzie się raczej w jakiejś funkcji parlamentarnej – marszałka Sejmu, może wicemarszałka...

– Beata Szydło wołała jednak pozostać w rządzie i mieć oko na to, co robi jej następca. Oczywiście, że miała różne propozycje, ale to, co wybrała, było z jej punktu widzenia najbardziej racjonalne i politycznie dla niej najlepsze – mówi nam jeden z polityków obozu dobrej zmiany. Tłumaczy też, że Szydło dobrze ten ruch przemyślała. Chodziło o to, gdzie będzie miała najmocniejszą pozycję i gdzie będzie mogła ją nadal konsekwentnie budować. Ponieważ to, co się jej udało przez ostatnie dwa lata, czyli pozyskanie zaufania i sympatii szerokiej rzeszy wyborców prawicy, stanowi dziś jej największy polityczny kapitał. Jej i całej partii, dlatego jest dziś w PiS jedną z ważniejszych twarzy.

– W rządzie Morawieckiego Beata będzie pilnować linii, którą rządowi dobrej zmiany wytyczył jej gabinet. Pilnować to znaczy wytykać Morawieckiemu wszelkie od niej odstępstwa – wskazuje jeden z naszych rozmówców z rządu. A linia rządu Szydło była zwrócona ku wyborcom i ich oczekiwaniom. Szydło w niemal każdym swoim wystąpieniu publicznym, począwszy od kampanii wyborczej 2015 r., powoływała się na wolę suwerena i wychodzenie naprzeciw Polakom. W tej roli była i jest zresztą najbardziej wiarygodna. To jej przewaga nad Morawieckim, dlatego najtwardszy elektorat PiS był najmniej

zachwycony zmianami w rządzie. I to do tych wyborców zwracał się Jarosław Kaczyński podczas ostatniej miesięcznicy smoleńskiej, mówiąc: – Nasza droga do naprawy Rzeczypospolitej, do dobrej zmiany, czasem ze względu na okoliczności jest kręta. Ale to, o co was proszę, to zaufanie. Ufajcie, że idziemy w dobrym kierunku, dojdziemy do celu, że będziemy mieli godną i prawdziwą Polskę.

Było to tuż po dymisji Antoniego Macierewicza, ale słowa prezesa dobrze odpowiadały także na rozczarowanie wyborców związane z wymianą Szydło.

ZAWÓR BEZPIECZEŃSTWA

– Beata jest teraz w dość komfortowej sytuacji, nie ciąży już na niej presja związana z odpowiedzialnością za decyzje, a jednocześnie może mówić o tym, co zrobiłaby w danej sytuacji, gdyby to ona była premierem. Dla Morawieckiego to niezbyt wygodny układ – wskazuje jeden z ministrów. Dokładnie tak było w momencie, gdy Kornel Morawiecki, ojciec nowego szefa rządu, zapytany w wywiadzie o kwestię przyjęcia uchodźców powiedział, że „te siedem tysięcy na 40-milionowy kraj, na które zgodził się poprzedni rząd, nie powinno być problemem”. Media i politycy opozycji natychmiast zaczęli się zastanawiać, jak w tej sytuacji zachowa się i co powie Mateusz Morawiecki. Rząd komunikacyjnie nie rozegrał tej sprawy najlepiej, bo na wypowiedź premiera trzeba było czekać blisko tydzień. W tym czasie w mediach trwały spekulacje, czy przypadkiem nowy rząd Morawieckiego nie zweryfikuje polityki migracyjnej w imię polepszenia relacji z Unią Europejską. Nieoczekiwanie głos zabrała Beata Szydło. „Polityka migracyjna UE zakończyła się fiaskiem. Nie rozwiązała problemów, naraziła Europę na potężny kryzys, nie zahamowała fali nielegalnej migracji. Mój rząd pokazał UE, że pomagając na miejscu, chodzi o pomoc ludziom, a nie uspokojenie sumień nierozważnych polityków” – napisała na Twitterze. Po paru dniach milczenia w podobnym tonie wypowiedział się także nowy premier. – Nie będziemy przyjmować uchodźców z Bliskiego Wschodu i z północnej Afryki – zadeklarował w TVP.

Takich reakcji i komentarzy byłby premier możemy się teraz spodziewać coraz częściej. – W sytuacji, gdy Morawiecki może chcieć przypodobać się

bardziej umiarkowanym wyborcom i pokazać lepszą, bardziej nowoczesną oraz akceptowalną twarz PiS, Szydło będzie odwoływać się do tradycyjnego wyborcy prawicy, takiego, który to wiele razy usłyszał, że jest moherem i ciemnogrodem, a mimo to trwał przez lata przy PiS. Morawiecki dla takich osób nigdy nie będzie punktem odniesienia, a Szydło tak. I to jest jej siła – wykląda nam jeden z polityków PiS.

Nic dziwnego, że Szydło zabrała głos także przy okazji kolejnego finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Wiedząc, że sympatycy PiS nie przepadają za Owsiakiem, napisała na Twitterze: „Akcje charytatywne są po to, by pomagać potrzebującym, a nie dla nierozumnej promocji tych, którzy je organizują. Każda pomoc bezinteresowna, płynąca z serca, jest bezcenna. Pomagajmy z pokorą, w poszanowaniu dla tych, którzy na tę pomoc czekają. Wielki szacunek dla pomagających”. – Takie teksty Beaty Szydło stawiają Morawieckiego w niezręcznej sytuacji, musi wciąż uważać, by nie być mniej twardym od Beaty. Zwłaszcza że prezes też obserwuje i wyciąga wnioski – słyszymy. Dla prezesa obecność Szydło w rządzie jest jednym z zaworów bezpieczeństwa, by Morawiecki wespół z Gowinem nie poszli zbyt daleko w kierunku realizacji swoich liberalnych pomysłów. Szydło ma stać na straży interesów zwykłego człowieka, po to powołano Komitet Społeczny, którym ma pokierować. – Gdy słyszę o pomysłach, by np. wprowadzić opłaty za wjazd samochodem do centrum miasta, to wiem, że Beata jako premier nigdy by na coś takiego nie poszła, bo wie, że uderzyłoby to w mniej zamożnych ludzi – słyszymy z okolic Nowogrodzkiej.

Była premier dba także o to, by jej głos był słyszalny przy okazji najważniejszych wydarzeń. Gdy na linii Izrael – Polska wybuchł spór wokół nowelizacji ustawy o IPN, udzieliła dwóch wywiadów telewizyjnych: dla TVN24 i TVP Info. – Dobrze, żebyśmy mówili o tej wspólnej historii. Nie można jednak zgadzać się na to, żeby dłużej sęczyło się kłamstwo na temat udziału Polski w czasie II wojny światowej – stwierdziła kategorycznie w TVN24.

Także tu widać, że Beata Szydło nie tylko chce być cały czas obecna w bieżącej polityce, lecz także występować w roli twardego i bezkompromisowego

polityka, który zawsze broni tego, co z punktu widzenia prawicowego wyborcy słuszne – bez względu na to, czy rzecz dotyczy programu „500+” czy polityki międzynarodowej.

ZWYCZAJNA JAK WYBORCA PiS

Beata Szydło zyskała popularność właśnie dlatego, że w oczach „zwykłych ludzi” jest taka jak oni – zwyczajna. Zresztą sama jeszcze, zanim została kandydatką na premiera, mówiła w wywiadach, iż „wie, że jest nijaka”. Nijaka, ale – jak dodawała – skuteczna w tym, co robi.

Na polityczny szczyt dotarła dzięki splotowi wielu różnych wydarzeń, na które często nie miała wpływu, ale także dzięki pracowitości i politycznej lojalności. Polityka nie była jej pierwszym życiowym wyborem. Skończyła etnografię na UJ w Krakowie i pracowała kolejno w Muzeum Historycznym w Krakowie, a później w Centrum Kultury w Libiążu i ośrodku kultury w Brzeszczach. W 1998 r. została tam burmistrzem. Tamta przygoda z samorządem zaprowadziła ją w 2005 r. do Sejmu. Miała startować z list Platformy, ale że w regionie była już wówczas dość popularna, miał się jej obawiać bliski współpracownik Donalda Tuska – Paweł Graś. Ostatecznie do Sejmu wystartowała z listy PiS, na którą wciągnął ją (podobnie zresztą jak Andrzeja Dudę) Zbigniew Ziobro, ówczesny szef małopolskich struktur PiS. W wywiadach mówiła później, że „Pan Bóg ją wtedy uchronił od wejścia do Platformy”. Po pierwszej kadencji mało kto ją zapamiętał, bo nie wyróżniała się niczym szczególnym, była członkiem komisji finansów publicznych. Wypłynęła w 2010 r. Po tym, jak w Smoleńsku zginęły Aleksandra Natalli-Swiat (z którą Szydło się przyjaźniła) i Grażyna Gęsicka, posłanki odpowiedzialne za gospodarczy program PiS, partia potrzebowała kogoś, kto przejmie nadzór nad tym tematem. Na to miejsce weszła Szydło. Wkrótce, tuż po odejściu z partii Joanny Kluzik-Rostkowskiej, została wiceprezesem PiS. Politycy PiS byli mocno zaskoczeni wyborem prezesa Kaczyńskiego, ale ten wiedział, co robi. Szydło odwdzięczyła mu się wieloletnią lojalnością. Nigdy politycznie nie zawiodła.

– W klubie pierwszą szansę dostałam od śp. Przemka Gosiewskiego, który mnie wyłuskał, świetny człowiek

i organizator. Z Jarosławem Kaczyńskim poznawaliśmy się powoli. Przełomowy na pewno był rok 2010. Wtedy zaczęła się dla mnie ta wielka polityka, zostałam wiceprezesem partii i członkiem komitetu politycznego, stąd też relacje z prezesem stały się bliższe – wspominała w jednym z wywiadów. Takie też pozostają do dziś.

POLITYCZNE TESTOWANIE

Dzisiaj na jej polityczny kapitał składa się, obok popularności wśród wyborców, także to, że w trudnej dla siebie sytuacji politycznej zdała egzamin z lojalności. Jarosław Kaczyński potrafi docenić takich polityków. Nie od wczoraj wiadomo, że prezes lubi co jakiś czas sprawdzać współpracowników, nawet tych najbardziej zaufanych. Lubi ich trochę „przećzołgać” tylko po to, by móc zobaczyć, jak się wtedy zachowują.

Na polityczny kapitał Szydło składa się dziś, obok popularności wśród wyborców, także zdany egzamin z lojalności

Szydło zachowała się wzorowo, choć cała telenowela pt. „Rekonstrukcja rządu” i jej finał były dla niej wyjątkowo nieprzyjemne, a na koniec także upokarzające.

Z naszych informacji wynika, że podobnie jak większość polityków PiS niemal do ostatniej chwili była przekonana, iż jeśli ktokolwiek zastąpi ją na fotelu premiera, to będzie to Jarosław Kaczyński. Fakt, że prezes wyznaczył Morawieckiego, był więc i dla niej nie lada szokiem.

– Do Beaty dotarło wtedy także, że to, co przez ostatnie dwa lata robił i mówił Morawiecki, często wbrew niej, nie było jego samowolką, lecz miał zielone światło od prezesa. Nie było jej łatwo tego przyjąć, ale zachowała się z wielką klasą i nie dała po sobie poznać nawet przez chwilę, że czuje się jakkolwiek urażona. Mało który polityk by tak potrafił, bo większość z nas ma mocno przerośnięte ego – przyznaje jeden z członków rządu.

Inny nasz rozmówca dodaje: – Szydło przez ostatnie dwa lata była atakowana z każdej strony: przez nieprzychylnie PiS

media, opozycję, Komisję Europejską, Komisję Wenecką, straszona Trybunałem Stanu i Bóg wie czym jeszcze, a mimo to dawała radę.

To dla Kaczyńskiego jasny sygnał, że warto mieć ją w rezerwie, bo takich ludzi u swego boku – sprawdzonych w boju i pewnych – wcale nie ma wielu.

Dlatego, gdy w grudniu 2017 r., podczas uroczystości zaprzysiężenia Morawieckiego i jego, wtedy jeszcze nowego-starego, gabinetu składał wszystkim po kolei gratulacje, przy Beacie Szydło zatrzymał się na dłużej. Były uśmiechy, uściski i serdeczności. Wyglądało to tak, jakby swoimi gestami lider PiS próbował zademonstrować, że zmiana premiera nie wynikała z utraty zaufania do Szydło i jego stosunek do niej się nie zmienił. I tak zostało to odczytane w partii. Następnego dnia, gdy w Sejmie podczas exposé Morawiecki dziękował swojej poprzedniczce, posłowie PiS z Kaczyńskim na czele wstali i długo bili jej brawo.

Zasługi Beaty Szydło prezes podkreślił raz jeszcze w niedawnym liście, który rozesłał do członków partii. „W polityce personalnej kierujemy się zasadą, którą można określić jako »ekonomia sił«. Oznacza to, że obsada poszczególnych stanowisk zależy od oceny możliwości poszczególnych osób w danych okolicznościach i czasie. Odwołanie ze stanowiska wcale nie musi oznaczać krytycznej oceny efektów jego pełnienia, co więcej, może być to decyzja podjęta mimo bardzo wysokiej oceny sposobu wykonania związanych z daną funkcją zadań. Tak było w przypadku zmiany na stanowisku premiera: Beata Szydło znakomicie wypełniła swoje zadania. Jednak w tych okolicznościach, wobec zmiany sytuacji i konieczności dokonania politycznego manewru, za jeszcze efektywniejsze uznaliśmy powołanie na stanowisko prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego” – czytamy.

W ubiegłotygodniowym wywiadzie dla „Do Rzeczy” Jarosław Kaczyński stwierdził, że do wyborów w 2019 r. PiS pójdzie z Mateuszem Morawieckim jako kandydatem na premiera. Jeśli – jak to ujął – „jakiś grom z jasnego nieba nie spadnie”. W polityce takie gromy z jasnego nieba spadają nader często. I często potrafią całkowicie zmienić polityczną rzeczywistość. O czym doskonale wiedzą i Jarosław Kaczyński, i Beata Szydło.



Łukasz Warzecha

Wszystko wskazuje na to, że ustawy reprivatyzacyjnej znowu nie będzie. I może nie będzie jej w Polsce już nigdy, bo im dalej od 1989 r., tym trudniej się z tym problemem zmierzyć. Teraz poległ na nim Patryk Jaki, firmujący projekt, który utknął na etapie Stałego Komitetu Rady Ministrów

Niewiele jest kwestii, w których ścięłoby się tak wiele punktów widzenia. Po pierwsze – sprawy reprivatyzacyjne już załatwione za pośrednictwem sądów przy braku ustawy reprivatyzacyjnej; po drugie – w ramach tego doraźnego załatwiania, pseudoreprivatyzacja w Warszawie, czyli to, czym zajmuje się komisja kierowana przez wiceministra Patryka Jakiego; po trzecie – niezłatwione i zasadne roszczenia prawdziwych spadkobierców (bo już coraz rzadziej właścicieli); po czwarte – potencjalne interesy zagranicznych graczy; po piąte – interes lokatorów, których umieszczono w nieruchomościach przejętych bezprawnie przez państwo; po szóste – interes publiczny, bo przecież państwo w wielu przypadkach zainwestowało w odebrane właścicielom, nierzadko zrujnowane po wojnie, nieruchomości wielkie pieniądze, zaś możliwości budżetu, gdy idzie o rekompensaty, są ograniczone.

SKUTKI BANDYCKIEGO PRAWA

W dodatku nie mówimy o skutkach jednej decyzji komunistycznego reżimu, lecz wielu aktów prawnych. Najbardziej znany to dekret Bieruta, czyli prawo, na mocy którego od 26 października 1945 r. całość gruntów na obszarze Warszawy, na których stało od 20 do 40 tys. prywatnych nieruchomości – przeszło w ręce państwa. Praktycznie rzecz biorąc, wbrew samemu dekretowi, oznaczało to również przejmowanie nieruchomości. Artykuł 1 dekretu mówił: „W celu umożliwienia racjonalnego przeprowadzenia odbudowy stolicy i dalszej jej rozbudowy zgodnie z potrzebami Narodu, w szczególności zaś szybkiego dysponowania terenami i właściwego ich wykorzystania, wszelkie grunty na obszarze m.st. Warszawy przechodzą z dniem wejścia w życie niniejszego dekretu na własność gminy m.st. Warszawy”.

Dekret Bieruta był prawem bandyckim, ponieważ – po pierwsze – tworzył

absurdalną konstrukcję prawną (państwo przejmuje grunt, ale teoretycznie nie stojącą na nim nieruchomość), a po drugie – przejęcie gruntu nie oznaczało dla właścicieli żadnych odszkodowań. Podobno za dekretem stali architekci z Biura Odbudowy Stolicy, pamiętający przedwojenne problemy Stefana Starzyńskiego związane z prywatną własnością gruntów. Sytuacja powojennej Warszawy była rzeczywiście skrajnie trudna, jednak jako rozwiązanie wybrano model totalitarny, z gruntu wrogą własności prywatnej.

ków rolnych. W zamian byłym właścicielem przyznawano pensję urzędniczą. Na podstawie dekretu zabrano ponad 9,7 tys. majątków ziemskich, prawie 3,5 mln ha – przy czym nierzadko z naruszeniem prawa, często bowiem sięgano po majątki o powierzchni mniejszej niż ustalona w dekreście. Dotarcie dziś do świadectw i dokumentów, dowodzących bezprawności takiej nacjonalizacji, bywa ogromnie trudne. Między chłopów rozparcelowano 1,2 mln ha. Ofiarą dekretu padły niezliczone perełki dawnej szlacheckiej architektury – dworki. Szkód dopełnił dekret ze stycznia 1945 r. o przejęciu niektórych nieruchomości ziemskich na cele reformy rolnej i osadnictwa.

Trzecia kwestia to nacjonalizacja przedsiębiorstw na podstawie ustawy ze stycznia 1946 r. Sięgnięto po branże uznane za strategiczne (np. elektrownie), ale też po każde przedsiębiorstwo, które na jednej zmianie mogło zatrudnić od 50 osób – z małymi wyłączeniami. Chociaż

Gordyjski węzeł reprivatyzacji

Druga rzecz to dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego – czyli faktycznie sowieckiej agentury, która przejęła rządy w Polsce – z 6 września 1944 r. Dekret odebrał własność właścicielom lub współwłaścicielom majątków o łącznej powierzchni ponad 100 ha lub 50 ha użyt-

po II wojnie światowej nacjonalizowano przemysł w wielu krajach (np. we Francji zakłady Renault, a w Wielkiej Brytanii część kopalń), to jednak w Polsce zakres nacjonalizacji był bez porównania większy. W teorii właścicielom przysługiwały odszkodowania, w praktyce większość

■ nigdy ich nie zobaczyła. Co znów daje podstawę do roszczeń.

Zresztą ustaw i dekretów, nacjonalizujących różne elementy prywatnej własności (np. apteki, tzw. dobra martwej ręki, własność Kościoła, lasy, ruchomości o wartości historycznej), było w komunistycznej Polsce o wiele więcej. W wielu przypadkach byli właściciele lub spadkobiercy mogą próbować domagać się odszkodowań lub zwrotów przed sądem, dowodząc albo bezprawności samej podstawy prawnej, albo tego, że nacjonalizacji dokonano ze złamaniem ówczesnie obowiązującego prawa.

Nacjonalizacja uderzała też siłą rzeczy w obywateli innych państw. Dlatego Polska zawarła z 13 krajami dwustronne umowy indemnizacyjne (Belgia i Luksemburg zostały ujęte w jednej umowie). W zamian za ryczałt wypłacony przez Polskę tym państwom (np. w przypadku Wielkiej Brytanii było to 5,4 mln funtów, Szwecji – 116 mln koron, a Grecji – 230 tys. dol.) ich obywatele, gdyby chcieli dochodzić swoich praw, czyniliby to w stosunku do swoich władz, a nie do obywateli lub państwa polskiego. Co ważne, Polska zawarła w roku 1960 taką umowę z USA. To istotne zwłaszcza w sytuacji, gdy wokół ustawy amerykańskiego Senatu S 447 zrobiło się spore zamieszanie. III RP jest prawnym kontynuatorem PRL, więc porozumienie, w którego ramach wypłaciliśmy Stanom Zjednoczonym 40 mln dol., pozostaje w mocy.

Zresztą nagłośniona zwłaszcza przez środowiska narodowe ustawa S 447 jest w gruncie rzeczy bezżębna. Nie mówi wprost o Polsce ani o Żydach i ich mieniu. Stwarza jedynie możliwość wsparcia przez administrację wysiłków na rzecz restytucji mienia, podejmowanych przez pozarządowe struktury. Nie daje amerykańskiemu rządowi żadnych formalnych instrumentów, choć oczywiście nie wyklucza nieformalnych nacisków.

WIELE WĄTPLIWOŚCI

Próby przecięcia gordyjskiego węzła reprywatyzacji podejmowano w III RP ponad 20 razy. Wszystkie projekty ostatecznie przepadały. Najbliższy celu był rząd Jerzego Buzka, ale wobec uchwalenia w 1999 r. przez Sejm ustawy weto postawił prezydent Aleksander Kwaśniewski. Tamten projekt – inaczej niż propozycja Patryka Jakiego – zakładał w większości przypadków zwrot znacjonalizowanej własności w naturze,



a więc przy mniejszych kosztach dla państwa, choć bez wątpienia z ogromnymi problemami prawnymi i społecznymi. Wyjątki miały obejmować nieruchomości nabyte już przez osoby trzecie, przy założeniu dobrej wiary, oraz te o szczególnej wartości kulturalnej i historycznej. To wykluczyłoby na przykład starania o odzyskanie Wilanowa. Tam, gdzie zwrot w naturze nie był możliwy, ustawa przewidywała odszkodowanie w bonach reprywatyzacyjnych. Uwaga jednak: i w przypadku odszkodowań, i zwrotów w naturze do byłych właścicieli lub spadkobierców miała trafić tylko połowa przedmiotu roszczeń lub jego wartości. Zatem również rząd Buzka wyszedł z założenia, że zwrot całości nie jest możliwy.

Projekt Jakiego stawia jednak jeszcze dalej idące ograniczenia. I tu dochodzimy do fundamentalnego pytania, jak wyważyć nierzadko sprzeczne interesy i zasady: pogwałcane notorycznie przez komunistów prawo własności i krzywdy byłych właścicieli, doznane podczas niemieckiej okupacji, a jeszcze powiększone po „wyzwoleniu”, stabilność finansową państwa i interesy lokatorów. Projekt Jakiego wydaje się mocno przechylony ku ograniczeniu praw byłych właścicieli.

Po pierwsze – zakłada całkowity zakaz zwrotów w naturze. Już to budzi poważne wątpliwości. Dlaczego wpisywać do ustawy taką ogólną zasadę, skoro w wielu przypadkach prawowici spadkobiercy mogliby i chcieliby przywrócić blask własności należącej kiedyś do ich przodków? Dlaczego zrujnowane albo źle wykorzystywane nieruchomości nie miałyby trafić w prywatne ręce – już nie handlarzy roszczeń, ale potomków posiadaczy, dla których zresztą często mają wartość nie tylko materialną? Można sobie wyobrazić różne rodzaje zastrzeżeń, dotyczących sytuacji lokatorów albo zamortyzowania pieniędzy, włożonych przez państwo w odbudowę i utrzymanie nieruchomości, lecz zakaz zwrotów w naturze wydaje się wylewaniem dziecka z kąpielą.

Po drugie – projekt jednym przepisem wykluczył z zakresu ustawy całe środowisko ziemiańskie, czyli osoby, które utraciły majątki na podstawie dekretu PKWN z września 1944 r. W dodatku – co zostało odczytane jako ogromna niezręczność – wykluczenie to znalazło się w tym samym jej artykule, który mówi o wyłączeniu spod działania ustawy „zdrajców Narodu” czy „wrogich elementów” (to sformułowania zacyto-



bardzo niska, podczas gdy ich rynkowa wartość dzisiaj jest w wielu przypadkach o wiele wyższa. W praktyce mogłoby to oznaczać, że prawowici spadkobiercy niezwykle cennych gruntów i nieruchomości otrzymywaliby promil ich obecnej wartości. Droga sądowa – przy braku systemowego rozwiązania – może im dać znacznie większe korzyści, ponieważ pozwala odzyskać konkretną nieruchomości. Wciąż jest to możliwe także w Warszawie, mimo że od września 2016 r. obowiązuje „mała” ustawa reprywatyzacyjna, ograniczająca możliwość manipulacji roszczeniami w specyficznych warszawskich warunkach, stworzonych przez dekret Bieruta.

Po czwarte – w świetle projektu ustawy Jakiego z rekompensat wykluczeni byliby też ci, którzy w dniu przejścia nieruchomości nie posiadali obywatelstwa polskiego – nie tylko ci, których objęły wspomniane wyżej ustawy indemnizacyjne, wymienione w projekcie ustawy. To również budzi wątpliwości. Nie tylko dlatego, że wielu komentatorów odczytuje to jako zapis wymierzony wprost w roszczenia zagranicznych środowisk żydowskich. Dotyczyłoby to również między innymi osób, które utraciły polskie obywatelstwo na mocy dekretu z 1946 r. o wyłączeniu ze społeczeństwa osób narodowości niemieckiej, ale też tych, którzy znaleźli się w wyniku burz wojennych na terytorium Związku Sowieckiego, gdzie przymusowo nadawano Polakom sowieckie obywatelstwo, a polskiego nigdy nie odzyskali.

Jakby tego było mało, jako warunek uprawnienia do odszkodowania wymienia się konieczność posiadania miejsca zamieszkania w Polsce w dniu przejścia nieruchomości, co automatycznie wykluczałoby ogromną grupę Polaków, którzy w chwili, gdy wchodzili w życie nacjonalizujące ich własność przepisy, przebywali na Zachodzie, gdzie rzuciła ich wojna. Jeśli wziąć pod uwagę choćby fakt, że

Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie zostały rozformowane w 1947 r., czyli dwa lata po wejściu w życie dekretu Bieruta, takie rozwiązanie ustawowe wydaje się skrajnie niesprawiedliwe.

A MOŻE BEZ ZADOŚCUCZYNIENIA?

Tak czy owak, wygląda na to, że próba podjęta przez Patryka Jakiego – mimo wszystkich jej wad, wprowadzająca w końcu systemowe rozwiązanie problemu – będzie kolejną nieudaną. Może ostatnią. Szef Stałego Komitetu Rady Ministrów poinformował w ubiegłym tygodniu, że odesłał ustawę do Ministerstwa Sprawiedliwości. Prawdopodobnie zdecydowały pieniądze. Nawet przy bardzo ograniczonych rekompensatach koszt wejścia regulacji w życie szacowano ostrożnie na maksymalnie 20 mld zł. W rozmowie z portalem wPolityce.pl minister Sasin pytał: „Czy współczesne polskie państwo i współcześni Polacy, powinni płacić za skutki wydarzeń historycznych, które miały miejsce wiele dziesięcioleci temu? [...] Czy współcześni Polacy, którzy w większości urodzili się już po tamtych wydarzeniach mają ponosić ciężar zadośćuczynienia osobom, które wówczas straciły majątki? To jest zasadnicze pytanie polityczne i filozoficzne, czy dzisiaj nie powinniśmy tych pieniędzy przekazać na inne cele, które z punktu widzenia państwa są niezbędne”.

Wydaje się, że w tym sporze Jacek Sasin bardziej wyraża ducha obecnych rządów niż Patryk Jaki, którego heroiczny wysiłek warto docenić. Jaki mimo wszystko dostrzegł potrzebę wynagrodzenia dziejowej krzywdy byłym właścicielom – nawet jeśli tylko niektórym i w bardzo ograniczonym zakresie. Sasin ma wątpliwości, czy w ogóle cokolwiek im się należy. Wszak spadkobiercy kamieniczników, właścicieli firm czy posiadaczy ziemskich to nie „zwykli Polacy”, ale – z punktu widzenia PiS – kreuzsi i bogacze. A przynajmniej takimi mogliby się stać, odzyskując własność przodków.

Tym, którzy mają dokumenty i determinację, pozostają sądy. To jednak droga tylko dla wybranych. A przecież jakaś forma wynagrodzenia krzywdy, która wynika z bandyckiego nastawienia komunistów do własności prywatnej, musi być elementem przywracania w Polsce właściwych znaczeń pojęć takich jak prawo, własność, sprawiedliwość. Nadzieja na to, realistycznie patrząc, jest dziś jednak niewielka.

Patryk Jaki dostrzegł potrzebę wynagrodzenia dziejowej krzywdy byłym właścicielom – nawet jeśli tylko w bardzo ograniczonym zakresie. Jacek Sasin ma wątpliwości, czy w ogóle cokolwiek im się należy

wane z odpowiednich regulacji okresu komunistycznego).

Na początku lutego Polskie Towarzystwo Ziemiańskie – reprezentujące przecież ludzi o poglądach w większości konserwatywnych – krytycznie odniosło się do projektu. „Naszym celem nie jest negocjowanie wysokości rekompensat, lecz zasygnalizowanie problemu kardynalnej i zdumiewającej niesprawiedliwości ukrytej w proponowanym tekście ustawy” – napisali przedstawiciele PTZ w otwartym liście. „Sytuacja jest dla nas zupełnie niezrozumiała, zarówno z moralnego, jak i prawnego punktu widzenia. Nasze apele o dialog i porozumienie pozostają bez odpowiedzi Ministerstwa Sprawiedliwości”. Przedstawiciele PTZ deklarują też, że nie zamierzali i nie zamierzają kierować jakichkolwiek roszczeń wobec nieruchomości nabytych przez osoby trzecie.

Po trzecie – wątpliwości budzi wysokość odszkodowań. Miałoby to być do 20 proc. wartości nieruchomości w chwili nacjonalizacji w gotówce lub do 25 proc. w obligacjach skarbowych. Problem w tym, że wartość wielu nieruchomości w momencie nacjonalizacji, ze względu na ich powojenny stan, była

Prace budowlane w zachodniej części pl. Józefa Piłsudskiego w Warszawie pierwsi zauważyli reporterzy TVN. Nikogo nie zaskoczyły. Wszyscy mieli w pamięci deklarację Jarosława Kaczyńskiego z sierpnia 2017 r., że pomnik smoleński i pomnik prezydenta Lecha Kaczyńskiego powstaną do 10 kwietnia 2018 r.

Pod koniec ubiegłego roku minister infrastruktury zobowiązał wojewodę mazowieckiego do wystąpienia do stołecznego ZDM o przekazanie w zarząd pl. Piłsudskiego. Argumentem była waga tego miejsca jako miejsca organizowania uroczystości państwowych. Dziennikarz TVN pytał wówczas wojewodę, czy w decyzji tej może chodzić o pomniki. Odpowiedź była znamienista: – W tym okresie napięć ta sprawa jest trudna. Są pewne rzeczy, których nie można odkładać na przyszłość. Oczywiście w tej przestrzeni będą powstawać pomniki. W których miejscach? Nie wiem. Ale na pewno będą. W tej przestrzeni gdzie te pomniki muszą się znaleźć – odpowiedział wojewoda Zdzisław Sipiera.

Teraz wiadomo już, że wojewoda wyraził w ekspresowym tempie zgodę na budowę dwóch pomników – monumentu smoleńskiego projektu Jerzego Kaliny i cokołu pod pomnik Lecha Kaczyńskiego przed budynkiem Garnizonu Warszawa, na południowym krańcu placu.

Reakcją opozycji była prawdziwa furia. Formalnie działaniom ministra i wojewody zarzucono brak konsultacji z urbanistami i Wojewódzką Radą Ochrony Zabytków. Używany język zdradzał jednak raczej polityczne emocje. „Tryb przyjęcia przez wojewodę mazowieckiego decyzji o budowie pomnika na pl. Piłsudskiego przypomina praktyki okupantów i najeźdźców” – ogłosili warszawscy działacze Nowoczesnej.

Henryk Wujec, aktywista KOD, stwierdził: – Pomnik smoleński na pl. Piłsudskiego to jest gwałt na świadomości, na naszym umiłowaniu tego placu jako symbolu patriotyzmu.

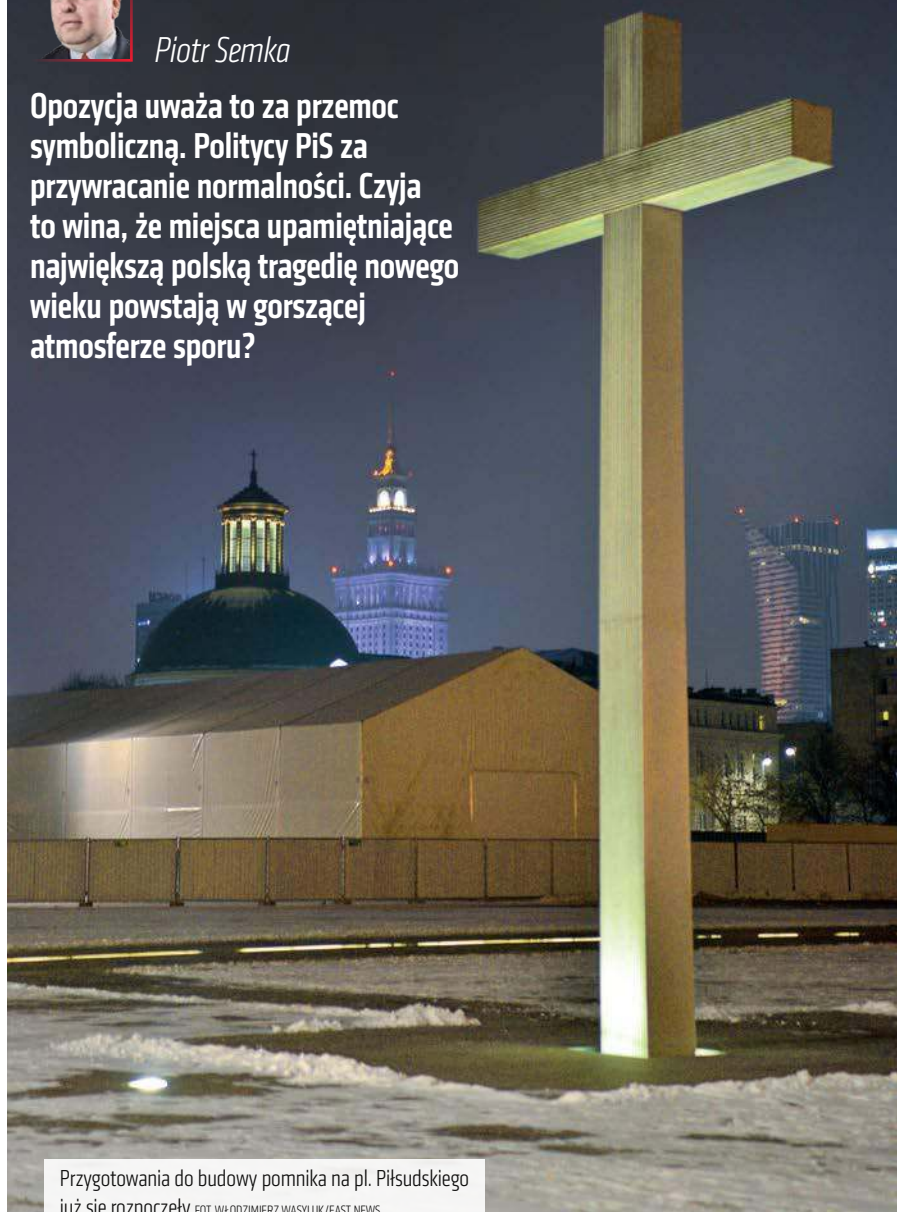
Lider Platformy Grzegorz Schetyna ogłosił, że inicjatywa jest polityczną prowokacją. – Jeżeli coś się robi poza zgodą i akceptacją mieszkańców Warszawy, to trzeba się liczyć z konsekwencjami – zapowiedział. Tę aluzję rozwinął inny polityk PO, Rafał Grubiński: – My na pewno ten pomnik rozbierzemy – powiedział i wyjaśnił, że Platforma nie będzie go burzyć, lecz przeniesie w inne miejsce. – Przegracie za rok, wtedy tego pomnika tam nie będzie – rzucił pod adresem radnych PiS Jarosław

Pomniki na linii frontu



Piotr Semka

Opozycja uważa to za przemoc symboliczną. Politycy PiS za przywracanie normalności. Czyja to wina, że miejsca upamiętniające największą polską tragedię nowego wieku powstają w gorszącej atmosferze sporu?



Przygotowania do budowy pomnika na pl. Piłsudskiego już się rozpoczęły. FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/EAST NEWS

Szostakowski, szef klubu radnych PO w Radzie Warszawy.

DLACZEGO TU?

Dlaczego „obóz smoleński” buduje pomnik na pl. Piłsudskiego, a nie na Krakowskim Przedmieściu, co latami postulowało wielu polityków tej partii? Zdecydowała ponoć kwestia własności ziemi – na co uczulili polityków Prawa i Sprawiedliwości prawnicy. Dlaczego więc pomnik nie powstaje przed Pałacem Prezydenckim, na co zgodę z pewnością wydałby Andrzej Duda? Jak mówi jeden z polityków PiS – teren przed pałacem bez usunięcia pomnika Poniatowskiego nie pozostawia miejsca na monument w odpowiedniej skali. A przeniesienie pomnika księcia wywołałoby protesty. Z kolei pomnik przed innym wskazywanym miejscem – placem przed seminaryjnym kościołem Wniebowstąpienia NMP – zasłaniałby jego zabytkową fasadę.

PiS zdecydował się więc na pl. Piłsudskiego, ale musiał go najpierw przejąć przez ministra infrastruktury, bez ogłaszania zamiaru budowy pomników. I to wywołało zarzuty nieuczciwej gry. Rada Warszawy, głosami PO, przyjęła stanowisko, w którym nie wyraża zgody na budowę pomnika smoleńskiego na pl. Piłsudskiego.

STARE PRZEKLEŃSTWO

Powtarza się więc tradycyjny scenariusz, który przyjmuje partia Jarosława Kaczyńskiego – rozwiązuje problem zabetonowany od lat przez PO poprzez szybkie działanie wykorzystujące przewagę polityczną. A opozycja, broniąc status quo ante, protestuje, twierdząc, że łamane są dobre obyczaje i stosowana jest polityka faktów dokonanych.

Tym zarzutem można byłoby przyznać pewną rację, gdyby nie pamięć o praktyce rządu PO po katastrofie w Smoleńsku i polityce Hanny Gronkiewicz-Waltz w Warszawie. Przez pewien czas wydawało się, że Platforma waha się, czy nie potraktować upamiętnienia ofiar tragedii, wśród których byli też ich własni politycy, jako części własnej tradycji. O wszystkim przesądziła jednak decyzja Bronisława Komorowskiego o usunięciu krzyża sprzed Pałacu Prezydenckiego. Później, po wybudowaniu pomnika ku czci ofiar na Powązkach, przyjęto doktrynę: „jeden pomnik smoleński wystarczy”. Na fali tych nastrojów odrzucono pomysł pomnika świąteł wspierany przez Martę Kaczyńską.

Prezydent Warszawy podpierała się też opiniami miejskiego konserwatora zabytków, Ewy Nekandy-Trepki, uznających Krakowskie Przedmieście „konserwatorskim układem zamkniętym”, w którym nie może być żadnych zmian. Zakrawało to na kpiny, gdy jednocześnie ten sam miejski konserwator wydawał zgodę na nowoczesną kamienicę przy kolumnie Zygmunta i szklane piętro Hotelu Europejskiego.

Na krótko przed wyborami prezydenckimi w 2015 r. prezydent Bronisław Komorowski spotkał się z częścią rodzin smoleńskich i zaproponował budowę pomnika ku czci ofiar na terenie obecnej pętli autobusowej na rogu ulic Focha i Trembaciej. Tak dziwaczną lokację monumentu odrzuciła nie tylko większość rodzin smoleńskich, lecz także polityk lewicy Barbara Nowacka, córka ofiary katastrofy Izabeli Jarugi-Nowackiej.

Sprawa mogła ruszyć z miejsca dopiero po wyborach i zmianie rządu. Początkowo w PiS snuto pomysły, by sprzeciwić ratusza obejść drogą specjalnej ustawy sejmowej o powstaniu pomników. Prawnicy wskazywali jednak, że nie rozwiąże to kwestii praw własności miasta do gruntów pod pomnikami. Wtedy wymyślono kruczek z przejęciem przez wojewodę nadzoru nad pl. Piłsudskiego.

Sprawa pomnika smoleńskiego w Warszawie to klasyczny przykład metody politycznej Platformy. Tam, gdzie posiada się władzę – odmawiać współpracy, a potem oburzać się na politykę faktów dokonanych PiS. Odmawiać dialogu, a potem krzyczeć wniebogłosy z powodu braku dialogu.

Podobną politykę stosowano przy okazji afery związanej z koncepcją głównej wystawy w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Najpierw wyznaczony przez PO szef muzeum Paweł Machcewicz stworzył budzący kontrowersje projekt założeń wystawy, a potem odmawiał dyskusji z krytykami, głosząc, że rozmowy nie mają sensu, póki ekspozycja nie zostanie otwarta. A gdy już powstała, obstawał, że nic nie można zmienić, bo to koncepcja autorska. Gdy PiS po odmowie jakiegokolwiek dialogu doprowadził w końcu do zmiany na stanowisku szefa placówki, Machcewicz skrytykował zmiany i przedstawił siebie jako ofiarę.

W wypadku pomników smoleńskich jest tak samo. PO nie chciała pomników w centrum Warszawy i skwapliwie wykorzystywała władzę Gronkiewicz-Waltz. Jedna sonda wśród stosunkowo niewielkiej grupy warszawiaków miała dowodzić, że

mieszkańcy nie chcą pomnika. Pomijano, że Warszawa jako stolica państwa musi liczyć się z emocjami wszystkich Polaków, a nie tylko tych w niej mieszkających.

PO swoim oporem pchnęła PiS do szukania nadzwyczajnych rozwiązań, a gdy je znalazła i pomniki wreszcie mogą powstać, zapowiada, że w ramach obrony zasad pomniki zburzy. Ta metoda stawiania przeciwnika przed faktami dokonanymi faktycznie jest sposobem dbania o własny monopol na politykę pamięci.

Na te tych sprostowań znamienny jest sposób, w jaki kandydat na wiceprezydenta Warszawy Paweł Rabiej próbuje uciec od oceny polityki PO.

Komentując plany budowy dwóch pomników, potępił ich ustawianie, choć podkreślił, że ma „dużo zastrzeżeń co do postawy władz Warszawy, zwłaszcza tuż po katastrofie”. Zauważył, że źle się stało, iż wtedy właśnie pomnik nie powstał. – Od początku mówiłem, że on jest potrzebny, nawet często wbrew opinii członków swojej własnej partii czy też naszych sympatyków – mówił Rabiej. Wzywa społeczny komitet budowy pomnika do rozmów z władzami miasta. To, że przez osiem lat HGW miała czas na takie rozmowy i nic się nie działo, jakoś mu umyka.

MOŻNA BYŁO INACZEJ

Czy Platforma była skazana na taktykę twardego sprzeciwu? Niekoniecznie. Pokazuje to postawa polityk lewicy Barbary Nowackiej. Wypowiadając się niedawno w Superstacji, wskazała, że nie ma powodu, by ofiary katastrofy smoleńskiej nie miały pomnika w centralnym punkcie Warszawy. – Nie ma u nas tradycji pytania, czy chcemy mieć pomniki, czy nie, ale wiemy, że symbolicznie ten pomnik powinien być dawno powstać – uznała. – Godne upamiętnienie ofiar wydaje mi się potrzebne, nawet jeśli elity warszawskie kręcą na to nosem.

Powie ktoś, że na stanowisko liderki lewicy ma wpływ to, iż w Smoleńsku zginęła jej matka. Jednak dwaj politycy PO, Arkadiusz Rybicki i Sebastian Karpiniuk, którzy zginęli w katastrofie, też byli ponoć przyjaciółmi czołówki PO. A jednak nikt z pierwszych szeregów tej partii nie wpłynął na zmiękczenie stanowiska prezydent stolicy w sprawie pomników.

Metoda: „Walczymy o wszystko, a jak nam zabiorą, krzyczymy o dyktaturze” tkwi głęboko w mentalności totalnej opozycji. I na jej zmianę, o dziwo, nie wpływają wyniki sondaży poparcia.



Rupa Huq, była dziennikarka „Guardiana”, jako parlamentarzystka domagała się zakazu wjazdu do Wielkiej Brytanii prezydenta USA. Teraz chce zakazu dla Rafała A. Ziemkiewicza, przypisując mu „faszyzm” FOT. AP/EAST NEWS

Nowa bitwa o Anglię



Rafał A. Ziemkiewicz

Polacy przyłączający się do opluwania własnego kraju osiągnęli sukces – w Wielkiej Brytanii znany dziennikarz może zostać obwołany faszystą, a spotkania z nim uniemożliwione

Propagandowa nagonka lewicowych zachodnich mediów na „katolicką, nacjonalistyczną” Polskę – inspirowana w dużym stopniu z samej Polski, przez ośrodki, które wyborcy odsunęli dwa lata temu od wpływów – przynosi gorzkie owoce. Niepostrzeżenie narosła w zachodniej Europie nienawiść do Polaków. Nie tylko do „prawicowego” rządu, jak o to starali się polscy inspiratorzy nagonki, lecz także do Polaków w ogóle.

Stereotyp jest codziennie umacniany w artykułach, wzmiankach, wpisach na mediach społecznościowych. Nie ma polskiej kontrakcji, przeciwnie, wielu Polaków ochoczo przyłącza się do plucia na kraj swego pochodzenia, nie ma sprostowań, a jeśli są – nie są zauważane ani brane pod uwagę. Polacy są ciemni, bo są katolikami i tradycjonalistami. A więc także rasistami. A więc faszystami. W Warszawie maszerowało 60 tys. nazistów niosących antyislamskie i antysemickie hasła. Spalili kukłę Żyda. Polski rząd sprzyja ruchom nazistowskim. Aby uniemożliwić przypominanie polskiej odpowiedzialności za Holocaust,

wprowadza prawo, na mocy którego będzie wsadzał do więzień ostatnich ocalałych z Zagłady. I tak dalej...

Elementy nikczemnej układanki dopasowują się do siebie, układają w ciąg skojarzeń równie spójny jak przed wiekiem sławne „Protokoły mędrców Syjonu”. Szczególnie ostre formy przybiera nienawiść do Polski w Wielkiej Brytanii, gdzie polskie organizacje stały się celem zawziętego ataku miejscowej lewicy i organizacji muzułmańskich. Obecna próba umieszczenia mnie, jako „neonazysty”, na liście osób objętych zakazem wjazdu do Wielkiej Brytanii, jest tylko jednym z wielu przypadków. Znaczącym o tyle, że chyba po raz pierwszy w akcję taką zaangażował się po stronie wyspecjalizowanych „antyfaszystowskich” organizacji członek brytyjskiego parlamentu i po raz pierwszy obelgę „nazista” zastosowano wobec publicysty działającego w głównym nurcie polskiej debaty publicznej i cieszącego się tak wielką popularnością. Proszę wybaczyć brak skromności, zwracam na ten fakt uwagę nie po to, by się dowartościowywać, jest to po prostu oczywisty dowód narastania problemu. Jeśli w mainstreamowej gazecie, jaką jest przy wszystkich swych odchyłach „The Guardian”, można beczelnie etykietować jako neonazystę, „far-right extremist” i siewcę „mowy nienawiści” pisarza mającego na koncie kilkanaście bestsellerów, członka redakcji tygodnika, w którym

do niedawna publikował obecny polski minister spraw zagranicznych, współprowadzącego program telewizji publicznej, cieszącego się rekordową widownią, na dodatek od lat najczęściej spośród polskich dziennikarzy wyszukiwanego w Internecie (a wszystkie te fakty można, nawet nie znając polskiego, sprawdzić kilkoma kliknięciami) – to tym samym buduje się horrendalny obraz Polski jako państwa i kraju zamieszkanego przez „skrajnie prawicowych ekstremistów” co najmniej w połowie!

Można oczywiście bagatelizować sprawę, zwracając uwagę choćby na fakt, że atakująca mnie parlamentarzystka – Rupa Huq, córka imigrantów z Bangladeszu, była dziennikarka „Guardiana” – nie jest postrzegana jako poważny polityk. Zasłynęła swego czasu, domagając się w Izbie Gmin analogicznego zakazu dla prezydenta USA, Donalda Trumpa – znalazłem się więc w dobrym towarzystwie. Wcześniej pewną popularność przyniosło jej żądanie, aby Wielka Brytania oficjalnie przeprosiła za to, że przyczyniła się do stworzenia państwa Izrael. Ten ostatni fakt wyjaśnia, dlaczego w liście do brytyjskiego Home Office, którym Rupa Huq chwali się w „Guardianie” i na swoich kontach społecznościowych, nie pada – mimo obelgi „neonazista” – rutynowe w takich sytuacjach oskarżenie o antysemityzm, a „tylko” o „islamofobię” i „homofobię”.

Pani Huq zapewne nie zna ani słowa po polsku, wątpliwe nawet, czy umiałaby prawidłowo pokazać Polskę na mapie. W istocie wystąpiła jako narzędzie niewielkiej, ale agresywnej lewicowej grupy Faith Matters, która od pewnego czasu wzięła na cel polskie organizacje, starające się podtrzymywać wśród emigrantów związki z krajem i poglądy patriotyczne. Za usprawiedliwienie tych ataków wystarcza sam fakt używania przez takie organizacje – na przykład Polskę Niepodległą, która kilkakrotnie zapraszała mnie na spotkania w różnych brytyjskich miastach – „faszystowskich symboli”. To znaczy białego orła w koronie oraz biało-czerwonej szachownicy.

CENZUROWANIE I POGRÓŻKI

Skrajna lewica we wszystkich krajach używa tego samego know-how. Również w Polsce – prawie przed każdym spotkaniem organizowanym na przykład przez endecję, której przecież daleko do skrajności (a wiem, że jest tak nawet przy organizowaniu spotkań z posłami na Sejm

RP) – hotel, ośrodek kultury czy inny dysponent sali zalewany jest doniesieniami, że będzie gościł „faszystów”, oraz pogrozkami, że pojawią się tam „dziarscy chłopcy” z Antify, by rozbić spotkanie siłą. Z reguły nie przychodzą albo okazują się rachityczną, kilkuosobową pikietą, ale argument „po co wam kłopoty?” na niektórych działa. W identyczny sposób usiłowano kilka lat temu nie dopuścić do spotkania z Pawłem Lisickim, Piotrem Zychowiczem i mną na krakowskich Targach Książki. Organizatorzy stanęli wówczas na wysokości zadania, mimo że jeden z wydawców dał się zastraszyć, ale zdjęcia z ówczesnej siedmioosobowej pikiety feministek i działaczy partii Razem później zostały użyte w Londynie jako argument, że Rafał A. Ziemkiewicz jest osobą „wzbudzającą kontrowersje”.

O ile bowiem w „zacofanej”, katolickiej i rządzonej przez prawicę Polsce pogróżki tego rodzaju mają znaczenie marginalne, o tyle w Wielkiej Brytanii jest zupełnie inaczej. Od kilku lat można obserwować, jak kraj ten jest coraz bardziej sterroryzowany z jednej strony przez mniejszości etniczne, z drugiej przez coraz bardziej agresywne jacejki lewicowe. Większość Brytyjczyków, w tym także policja i władze, cofa się przed tym terrorem krok po kroku, znajdując usprawiedliwienie w zasadach politycznej poprawności.

Jak opowiedzieli mi organizatorzy spotkania w Londynie, rozmowa z miejscową policją, która zagroziła właścicielowi pubu, gdzie pierwotnie spotkanie miało się odbyć, odebraniem licencji (za „stwarzanie zagrożenia” dla okolicy), wolna była od jakichkolwiek zarzutów pod moim lub ich adresem. Nie, nie mamy nic do mister Ziemkiewicza, nie twierdzimy niczego, ale zostaliśmy uprzedzeni, że jego osoba wywołuje kontrowersje. Ponieważ ktoś może się poczuć jego pojawieniem urażony i może się to stać powodem zakłócenie porządku publicznego, spotkanie nie może się odbyć. I tak się niestety stało, jak się dowiedziałem tuż przed zamknięciem tego numeru „Do Rzeczy”.

Niestety, mam wiele potwierdzeń, że taki standard „wolności wypowiedzi i zgromadzeń” stał się w Wielkiej Brytanii normą. Do wydania zakazu wystarczy samo oskarżenie, do cenzurowania – sam fakt „bycia kontrowersyjnym”. A nieco upraszczając – sam fakt bycia Polakiem. Polacy przecież zawsze sprawiają kłopoty – to wiadomo. Wiadomo też z mediów,

że są urodzonymi rasistami, nazistami wręcz, więc tolerowanie organizowanych przez nich spotkań, zwłaszcza w dzielnicach z dużym odsetkiem mniejszości rasowych (a w takich przeważnie Polacy mieszkają), grozi kłopotami.

SOJUSZ ISLAMU I LEWICY

W Zjednoczonym Królestwie funkcjonuje z powodzeniem szczególny sojusz przeciwko konserwatystom w ogóle, a polskim patriotom w szczególności, a którego świetnym symbolem jest wspomniana Rupa Huq: sojusz islamu i skrajnej lewicy. Może on zaskakiwać, zważywszy, jak bardzo rozbieżne jest islamskie wyobrażenie o moralności publicznej z lewicowym permisywizmem, ale z punktu widzenia skutecznej taktyki jest równie oczywisty, jak pakt Ribbentrop-Mołotow. Wyznawcy islamu skutecznie osłaniają swą ekspansję, szafując oskarżeniami o rasizm, nazizm i wzniesienie etnicznych niepokojów, do czego antyfy i organizacje po orwellowsku definiujące same siebie jako „obrońców praw obywatelskich” przyłączają się, widząc w obrońcach tradycyjnych wartości wspólnego z islamistami wroga.

Ten sojusz chętnie kieruje się przeciwko Polakom także dlatego, że znajduje gorliwych kolaborantów po ich stronie. Pobieźna lektura internetowych reakcji na inicjatywę Huq, obfitość antypolskich komentarzy z kont o nazwach w rodzaju „nie-patriociUK”, „lewacy_londyn” etc., używających w awatach symboli KOD czy określeń „#gorszy sort”, sprawia wrażenie, jakby na Wyspy przeniosła się cała partia Palikota. Osoby takie jak członkowie Faith Matters czy Rupa Huq inspirowane są z Polski, swą „wiedzę” o Polsce jako kraju neonazistowskim czerpią z polskojęzycznych mediów i od polskich polityków, którzy w przyzywaniu Zachodu przeciwko własnej Ojczyźnie oraz publicznym jej lżeniu i poniżaniu widzą sposób wkupienia się w łaski „bardziej ucywilizowanych” i zyskania wśród nich uznania. A przynajmniej – odreagowania poczucia odrzucenia przez większość Polaków, którego doznają od wyborów w 2015 r.

Nie przywiązywałbym szczególnie wagi do własnego zderzenia z wyspiarską nienawiścią do Polaków i terrorem politycznej poprawności, gdyby moje przygody nie były częścią zjawiska, które powinno zacząć poważnie niepokoić polskie władze oraz organizacje i skłonić je do bardziej zdecydowanego działania.



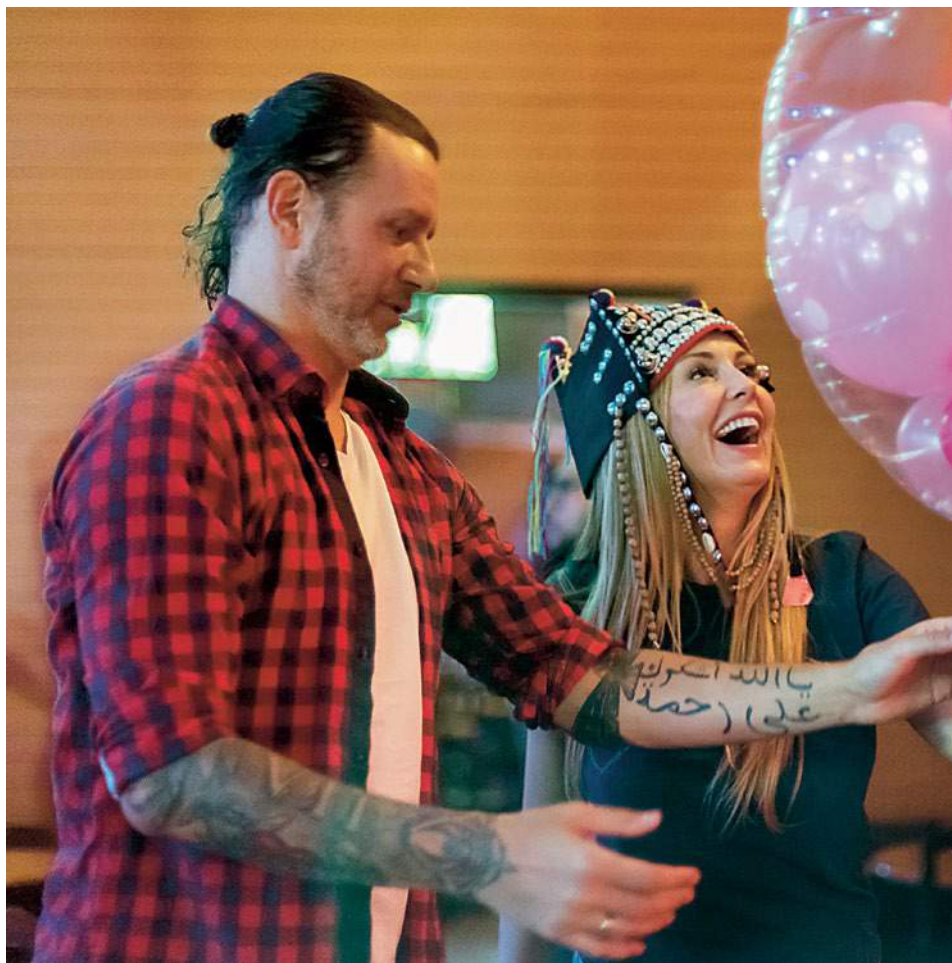
Agnieszka Niewińska

Chociaż Małgorzata Rozenek nie stroni od reklam środków czystości, to ostatnio częściej widzimy ją w roli wyzwolonej kobiety sukcesu. W nowym arcydrogim show „Iron Majdan” jej małżeństwo z byłym piłkarzem ma zostać wystawione na próbę

To ma być jeden z największych hitów wiosennej ramówki TVN. Kolorowe media doniosły, że produkcja każdego odcinka kosztowała 1 mln zł, a że nakręcono ich aż 10, stacja musiała na nowy show wypłacić ok. 10 mln zł. – Każdy odcinek dzieje się w innej części świata. Nawet jeśli chcielibyśmy oszczędzać, to się nie da – wyjaśniał dziennikarzom dyrektor programowy TVN Edward Miszczak.

Ten arcydrogi show jest całkiem kame-ralny, bo bohaterów będzie tylko dwoje: Małgorzata Rozenek-Majdan i jej małżonek Radosław Majdan. W „Iron Majdan” – bo tak nazwano program – celebrycka para rzucona za każdym razem w inny zakątek świata – od Los Angeles, przez Baku w Azerbejdżanie, Phnom Penh w Kambodży, do islandzkiego Keflaviku – każdorazowo będzie miała do wykonania zleconą im misję. Rozenek w „Dzień dobry TVN” opowiadała, że miejsce kolejnych misji było dla nich tajemnicą do ostatniej chwili. – Nawet na tyle, że kwestią garderoby zajmuje się stylistka. On dostaje informacje, gdzie jedziemy, i on nas pakuje. Nie chodzi o to, że my nie możemy tego zrobić sami, tylko o to, żeby utrzymać tajemnicę przed nami – opowiadała Rozenek.

W promującym program spocie widzimy kuso ubraną Rozenek tłukącą się z inną kobietą na ringu wrestlingowym, para daje też koncert przed wielotysięczną publicznością, w Baku zakłada górnicze kombinezony, wspina się też na islandzki lodowiec. – Z dzisiejszej perspektywy nie martwi mnie ocieplenie światowe – krzyczy zachrypniętym głosem Rozenek, sunąc po lodzie zawinięta w pomarańczową pelerynę. „Sprawdźcie, czy ich małżeństwo to przetrwa” – zachęca do oglądania programu stacja. – Tam nikt się nad nami absolutnie nie rozkleiwał, dlatego ten program



Między gospożą a seksbombą

jest autentycznie szczerzy – zapewniała Rozenek. – Nie spodziewałem się po niej, że da radę w pewnych sytuacjach tak zareagować, tak się zachować, bo to są bardzo często ostre i hardcore’owo-męskie challenge – oceniał żonę Majdan.

Stacja jednak uspokaja zadowolonych o bezpieczeństwo pary. Na planie programu obyło się bez rannych. Interwencja lekarza nie była potrzebna w żadnym z odcinków – poinformowała nas Karolina Kurek z biura prasowego TVN.

ZŁOTE JAJA

To nie pierwsze reality show z udziałem Majdanów. Para wystąpiła w „Azja

Express”, programie emitowanym w TVN w 2016 r., a nagrania z jej udziałem szybko obiegły Internet. Rozenek zapisała się choćby za sprawą swojej łamanej angielszczyzny, którą próbowała wyjaśnić mieszkańcom Azji, że jej mąż to drugi David Beckham, a ona jest jak Victoria. Para liczy, że i tym razem za sprawą swoich telewizyjnych występów zapisze się w popkulturze. – Ten program jest kopali-nią cytatów, tam jest wiele takich – deklaro-wała Rozenek w „Dzień dobry TVN”.

– To, że Małgorzata Rozenek będzie gwiazdą kolejnego telewizyjnego show, to efekt medialnej synergii. Od dłuższego czasu ta celebrytka króluje w koloro-



FOT. PIOTR FIUTOWSKI/TVN

wej prasie, w tabloidach, na plotkarskich portalach, w kampaniach reklamowych – ocenia Katarzyna Chołdżyńska, specjalistka w dziedzinie wizerunku z agencji PR Projekt. – Zainteresowanie nią znacznie wzrosło po tym, jak związała się z byłym piłkarzem Radosławem Majdanem. Na początku tylko śledzili ich paparazzi, potem para zaczęła otwarcie mówić o swoim związku, wzięła głośny ślub, z którego zdjęcia obieły wszystkie media. Celebryckie małżeństwo umiejętnie nakręcało zainteresowanie sobą. Stacja chce zdyskontować ogromną popularność Małgorzaty Rozenek, stąd najpierw zaproszenie pary do show „Azja Express”, a teraz kolejny program z ich udziałem. Skoro TVN wymyślił nową formułę reality show specjalnie dla tej celebrytki, to musi być ona dla tego nadawcy kurą znoszącą złote jaja – mówi Chołdżyńska. I dodaje, że Rozenek plus Majdan na medialnym rynku mają większą wartość niż sama Rozenek. – Media w ogóle stawiają na pary. Nawet w takich programach jak „Szkło kontaktowe” czy „W tyle wizji” pojawia się dwoje prowadzących, bo to daje szansę

na kontry, riposty, ścieranie się opinii. Rozenek i Majdan jako małżeństwo są jeszcze bardziej atrakcyjni. Trochę jak bajkowe postacie – Piękna i Bestia, tym bardziej że Majdan zaistniał wcześniej w show-biznesie jako mąż innej celebrytki – Dody. Umieszczenie tych dwojga w reality show nie tylko nakręca poziom emocji w programie, lecz także daje wrażenie, że oglądamy życie prywatne małżeństwa celebrytów.

Już spot promocyjny „Iron Majdan” daje przedsmak tym widzom, którzy liczą na małżeńskie spięcia:

– Po co on mi to wiąże? Ja i tak, proszę pana, nie idę na dół, Radio też nie zejdzie – krzyczała Rozenek na lodowcu.

– Nie mów za mnie – przywoływał ją do porządku mąż.

PANI DOBRA RADA

Małgorzata Rozenek w telewizji pojawiła się z programem „Perfekcyjna pani domu” – reality show na brytyjskiej licencji. Odwiedzała domy uczestników, instruowała, jak mają sprzątać, dawała złote rady na temat układania przedmiotów w szufladach i wracała na kontrolę, serwując domownikom „test białej rękawiczki”. Najlepiej sprzątające panie i sprzątających panów dekorowała koroną i szarfą niczym z wyborów miss. Ten dość toporny program przyniósł Rozenek sporą popularność, dodatkowo zainteresowanie wzbudzało to, że jej mężem był wówczas aktor Jacek Rozenek, a ojciec to Stanisław Kostrzewski – wtedy skarbnik PiS, który uchodził za szarą eminencję w partii.

Rozenek stała się największą polską ekspertką od czystości, wydawała całe serie poradników: „Perfekcyjna pani domu”, „Perfekcyjny ogród”, „Perfekcyjny rok z perfekcyjną panią domu”, „Jak dbać o siebie perfekcyjnie”, „Perfekcyjny organizator”, „Perfekcyjne maniery”. Ukoronowaniem serii był wydany w 2017 r. „Perfekcyjny ślub”, bo w 2013 r., kiedy Rozenek była już znaną telewizyjną marką, rozwiodła się z Jackiem Rozenkiem i związała z byłym piłkarzem i byłym mężem Dody Radosławem Majdanem. To znacznie podkręciło zainteresowanie nią, bo po kłapie programu „Piekielny hotel”, który miał ją uczynić Magdą Gessler hotelarstwa, media rozpisywały się o tym, że jej pozycja w TVN wcale nie jest taka pewna. Stacja przygotowała jednak nowe propozycje dla swojej gwiazdy. W „Projekt Lady” Rozenek uczy klasy młode dziewczyny, dla TVN

Style prowadziła program „W dobrym stylu”. „Skarbnica domowych sekretów i skutecznych patentów” – reklamowała program stacja. W tym sezonie TVN Style pokaże też nowy program swojej gwiazdy „Warsztat urody”.

Rozenek wciąż nawiązuje do „Perfekcyjnej pani domu”, która dała jej popularność. W ubiegłym roku w reklamie Biedronki zapięta pod samą szyję i w sięgającej do kostek spódnicy szorowała okna i rozwieszała pranie. W akcji Tesco z kolei radzi, jak utrzymać porządek w łazience. Ostatnio częściej widzimy ją jednak w roli wyzwolonej kobiety sukcesu, a wręcz seksbomby. Śmiało pokazuje swoje ciało, zamieszcza zdjęcia w bikini, stawia na odważne kreacje eksponujące biust, odsłaniające nogi, pokazuje światu, jak ćwiczy. Ostatnio burzę w sieci wywołało zdjęcie z rajskich wakacji, które wrzuciła na Instagrama. Do fanów uśmiechała się ubrana w nader skąpe bikini, czym rozpetęła internetową burzę. „Uważam, że brakuje pani klasy w tych wszystkich zdjęciach i pokazywaniu siebie” – napisała jednak z fanek. Filmy z treningu w eksponującym wdzięki Rozenek biustonoszu jedna z komentujących osób określiła jako zdjęcia z filmów wyłącznie dla dorosłych.

– Dostrzegam w tym pewną niespójność w wizerunku. Zwłaszcza że w innym telewizyjnym programie „Projekt Lady” Małgorzata Rozenek uczy młode dziewczyny, jak zachowywać się jak dama. W tej sytuacji eksponowanie własnego ciała na Instagramie to zgrzyt. Może w ten sposób chce pokazać, że jest w stanie odgrywać różne role – od idealnej pani domu do kobiety sukcesu, symbolu seksu. A może dopóki firmy chcą jej płacić i za występy w reality show, i w reklamach środków czystości, dopóty nie gardzi żadną z propozycji – zastanawia się Katarzyna Chołdżyńska.

Czy „Iron Majdan” będzie wiosennym przebojem TVN? Okaże się 5 marca. Bohaterowie konsekwentnie podkręcali zainteresowanie show, więc na klapę się nie zanoszą. Od tego, ilu widzów zechce obejrzeć Majdanów, zależy, czy projekt będzie kontynuowany. A czy celebrycka para w ogóle zdecydowałaby się na kolejne „ostre i hardcore’owo-męskie challenge”? Nie wiadomo. Małgorzata Rozenek odpoczywa z mężem i dziećmi w Tajlandii, relacjonując to na Instagramie. Jej menedżer nie odpowiedział na nasze pytania.



Radosław Wojtas

Aktorka i pisarka Joanna Szczepkowska skomentowała nowelizację ustawy o IPN, oskarżając swojego nieżyjącego dziadka o antysemityzm i przeprosiła za niego „jako Polka”

Nie jestem naukowcem, a felieton nie jest aktem artystycznym, piszę więc jako osoba prywatna” – zaznaczyła Joanna Szczepkowska na początku felietonu opublikowanego w magazynie „Plus Minus”, którego tematem przewodnim były relacje polsko-żydowskie. Aktorka urodzona w 1953 r. zadeklarowała, że po wejściu w życie nowelizacji ustawy o IPN „nie ma zamiaru przestać opisywać tego, co widziała i słyszała”. I skrytykowała w felietonie swojego nieżyjącego przodka.

O HITLERZE PRZY ROSOLE

„»Za co szanuję Hitlera – to za to, że wymordował Żydów« – to zdanie powiedział mój dziadek Michał Szczepkowski. Ojciec mojego ojca. Polak od najdalszych pokoleń. [...] To zdanie powiedział przy obiedzie i był to ostatni obiad, jaki z nami zjadł, i ostatni dzień w naszym mieszkaniu. Moja matka w milczeniu pakowała rzeczy swojego teścia. Nie miałam wtedy pojęcia o tym, że [matka – przyp. red.] ma żydowskie pochodzenie” – napisała o zmarłym w 1976 r. Michale Szczepkovskim.

Aktorka nie wspomina w felietonie, że – według jej wcześniejszych relacji – Michał Szczepkowski był człowiekiem o wątpliwej kondycji psychicznej, dopuszczającym się molestowania własnej wnuczki. Przytacza za to jeszcze jeden fakt mający świadczyć o antysemityzmie zakorzenionym głęboko w dziadku, „Polaku od najdalszych pokoleń”. „Pracował na kolei. W czasie okupacji mieszkał we Lwowie. W okresie najazdu Rosjan zwolniono go z pracy. Kiedy Lwów opanowali Niemcy, sam zgłosił się na kolej. Wagony, które w tym czasie odjeżdżały ze stacji, mieściły setki Żydów jadących na zagładę. [...] Silnie odczuwam wspólnotę z Polakami i dlatego właśnie jako Polka przeproszam za swojego dziadka”.

W dyskusji na profilu facebookowym Szczepkowskiej jeden z internautów

zasugerował, że praca na kolei jeszcze nie oznacza antysemityzmu, że być może jej dziadek nie zatrudnił się tam, by jako ochotnik wywozić ofiary Holocaustu do Auschwitz, ale dlatego że ta praca była zgodna z jego wykształceniem i po to, by zapewnić rodzinie byt. „Oczywiście że nie po to poszedł pewnie, ale razem ze zdaniem, które cytuję i z innymi, których nie zacytowałam, nie sądzę, żeby pomoc przy wywózce Żydów była dla niego wielkim przysmusem” – odpisała Szczepkowska.

Poseł PiS, prof. Krystyna Pawłowicz, skomentowała tę sprawę na Twitterze: „Pani Szczepkowska niech przeprasza za dziadka tylko w imieniu swojej rodziny, a nie w imieniu Polaków”.

– To jakiś rodzaj ekshibicjonizmu i dokładanie ze swojej strony „oryginalnej cegiełki” wewnątrzrodzinnego sporu do debaty polsko-żydowskiej – tłumaczy „Do Rzeczy” prof. Pawłowicz. – W podtekście to kolejne oskarżanie Polaków, dawanie indywidualnego świadectwa, że nawet w takiej rodzinie za antysemityzm okazywany prywatnie przy niedzielnym stole trzeba przeproszać. To sprawa rodzinna i pani Szczepkowska nie powinna do tego mieszać Polaków. Jeśli pani Szczepkowska zna przypadki publicznego okazywanego antysemityzmu przez swojego dziadka, to proszę je przedstawić, ocenimy. Natomiast ostatnie „przeprosiny” pani Szczepkowskiej za dziadka wyszły niezwykle sztucznie, nielojalnie w stosunku do swojej rodziny. Pani Szczepkowska wpisuje się w jakiś chory już nurt kajania się Polaków za wszystko, nawet za prywatne, rodzinne relacje. Nie wiem, czy pani Szczepkowska jeszcze gdzieś występuje na scenie, ale to było niepotrzebne przypomnienie o sobie. Myślę, że się ośmieszyła tymi prywatnymi w zasadzie przeprosinami. Jej dziadka pewnie osądził już Pan Bóg, a ona powinna dać mu po latach święty spokój. Natomiast czekamy na przedstawienie dowodów publicznego antysemityzmu dziadka pani Szczepkowskiej, ale również wówczas niech pani Szczepkowska ewentualnie przeprosza tylko w swoim imieniu, za swoją rodzinę, a nie w imieniu Polaków – dodaje prof. Pawłowicz.

DZIADEK NA KAŻDĄ OKAZJĘ

Szczepkowska nie pierwszy raz chwytła się dziadka Michała w publicznej debacie. W felietonie z 2013 r., poruszającym temat molestowania przytoczyła inną historię. „Dziadek zapytał wnuczkę, którą książeczkę wybiera, a ona pokazała najbardziej

kolorową. Wtedy dziadek powiedział jej, żeby usiadła na kanapie obok niego. Potem otworzył książkę, a potem wsunął rękę w jej majtki. Nikt nigdy w taki sposób nie okazywał jej miłości. Dziwne to było i jakieś inne. Takie inne, że nic nie powiedziała rodzicom, chociaż myślała, żeby powiedzieć” – pisała. Relacjonując w trzeciej osobie historię pewnej dziewczynki, tak naprawdę znów odnosiła się do swojego dziadka Michała Szczepkowskiego, co wyjaśniła w opublikowanej później książce opisującej dzieje swojej rodziny.

„To w sumie nie było nic takiego. Żaden gwałt, naruszenie dziewictwa. Tyle tylko, że ten rozbujany erotycznie człowiek nie był w stanie pohamować rąk i samego siebie. [...] Po co to napisałam? Po co naruszałam najintymniejszą sferę swoich dzieciennych wspomnień? Po pierwsze po to, żeby uzmysłowić innym, że nawet najbardziej rozpieszczone i kochane dziecko może być narażone na takie przeżycia” –

Wnuczka

napisała w książce „Kto ty jesteś. Początek sagi rodzinnej”.

W 2013 r. w tekście dla magazynu „Plus Minus” Szczepkowska włączyła się do debaty dotyczącej pedofilii w Kościele, twierdząc, że była molestowana przez księdza podczas spowiedzi. „Skończyłam słowami: »Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie bardzo żałuję«. Wtedy ksiądz zapytał: »Na pewno? Na pewno nie pamiętasz innych grzechów? Nie pominęłaś żadnego z przykazań?». Pominęłam. Szóste. Po prostu mimo wysiłków nie mogłam przypomnieć sobie żadnych oznak cudzołóstwa. I wtedy ksiądz zaczął mi pomagać. Bo pamięć przecież jest zawodna. Pytał, czy ktoś dotyka mnie w miejscach „nieprzyzwoitych”.

FOT. DAREK GOLIK/FOTOM

Pytał, czy podglądam tatusia i mamusię i czy słyszę, co robią w nocy. Pytał, czy widziałam, jak wygląda nagi mężczyzna. O co jeszcze pytał, przemilczę, powiem tylko, że wyszłam po tej spowiedzi rzeczywiście mocno przemieniona” – napisała, przestrzegając, że miejscem molestowania przez osoby duchowne może być nawet konfesjonał.

Oprócz Kościoła i dziadka od aktorki obrywał również PiS. Gdy pod koniec ubiegłego roku w wywiadzie dla Polskiego Radia ówczesny minister MSWiA Mariusz Błaszczak powiedział, że „tydzień temu w Polsce skończył się komunizm”, reakcja Joanny Szczepkowskiej

w osłupienie wprawiła chyba nawet jej największych fanów. Na profilu facebookowym aktorki pojawiło się coś w rodzaju listu otwartego do ministra, zaczynającego się od słów: „Towarzyszu Ministrze Błaszczak – przyboczny grabarzu demokracji, który własnego zdania sklecić nie umie, tylko ściąga z lekcji historii i powtarza bez zrozumienia”. Dalej było już tylko ostrzej.

Konflikty nie ominęły wnuczki Jana Parandowskiego również w środowisku artystycznym. Płotkarskie portale i kolorowe gazety relacjonowały spór Szczepkowskiej z Krystyną Jandą, który miał się zacząć na początku lat 90. Rozgorzał w 2012 r. przy okazji obsadzania roli Marii Skłodowskiej-Curie w kinowym filmie. – Nie zagram Marii Curie. Niech zagra, kto chce, bo się tyle aktorek zgłosiło, że podobno miały obiecane role. Nawet jedna wydała książkę „Zagrać Marię”. [...] Być może ktoś komuś po pijanemu

się deklaracja poczucia wstydu. „Wstydzę się za niego [dziadka – przyp. red.] jako Polka, wstydzę się za niego jako za Polaka. Wstydzę się za polską wieś, która zagoniła widłami żydowskie dzieci na oczach mojej matki. Wstydzę się za tych wszystkich Polaków, którzy nie odczuwają wstydu za haniebne czyny wśród naszej wspólnoty” – pisze autorka.

– Wstyd jest cywilizowanie wskazywania, bo jest formą poczucia winy, wynika z czegoś, co nazywamy sumieniem – zauważa psycholog społeczny, prof. Zbigniew Nęcki. Jednocześnie przestrzega, że wstyd może być niebezpieczny. W przypadku jednostki może prowadzić do problemów psychicznych, a nawet samobójstwa. Odbija się również na całych zbiorowościach. – Gdy audytorium naszego zachowania nie istnieje koło nas, ale jest w otoczeniu domyślnym, a my stajemy się ofiarą krążących informacji, przed którymi nie jesteśmy

Szczepkowska

obiegał tę rolę – ironizowała Janda. A Szczepkowska, autorka wspomnianej książki, odpowiadała: – Wypowiedź jest naprawdę obraźliwa w stosunku do mnie i nieprawdziwa.

Nie było żadnej kolejki aktorek – podkreślała i dodawała: – Prędzej żyrafy będą chodziły z krótką szyją, niż ja usłyszę słowo „przepraszam” – dodawała. Ostatecznie żadna z pań nie zagrała Marii Skłodowskiej-Curie.

KONSEKWENCJE WSTYDU

W felietonie „Poczucie wspólnoty” pojawiają się nie tylko przeprosiny za dziadka i za mieszkańców pewnej wioski, o których Szczepkowskiej tuż przed śmiercią miała opowiedzieć jej mama. Mocno wybija

w stanie się bronić, to te informacje są jak pajęczna sieć zaciskająca się na szarpiącej się musze. Okazuje się, że wstyd, psychologiczna i społeczna bezsilność są totalne. Wstydzimy się nie tylko za to, co sami robimy niezgodnie z ideałami, ale też za to, co robią inni, z którymi się identyfikujemy, mieszkańcami naszej psychologicznej jaźni, w tym z obecnym i poprzednimi pokoleniami. Skutki mogą być bardzo poważne, bo tracimy międzynarodowy prestiż. Ustalenie, jak było naprawdę, to dziedzina nauki, której nikt nie czyta i nikt nie śledzi. Do świadomości społecznej przebija się to, co najbardziej rozbudza wyobraźnię i emocje ludzi – dodaje prof. Nęcki.

Łatwiej zapamiętujemy złe informacje niż dobre. Minusy zapadają w pamięć szybciej i na dłużej niż plusy i dlatego to właśnie ciemne plamy na wizerunku zmyć najtrudniej. – Działanie musi być długofalowe. Duże możliwości w tym przypadku mają tylko wieloletnie plany i działania na poziomie narodowym. Chwilowe akcje są pozbawione sensu i znaczenia – konkluduje prof. Nęcki.



O chłopcu, który nie chciał być Krzysiem



Piotr Gociek

Film opowiada o narodzinach „Kubusia Puchatka” i początku jego światowej kariery. Nie jest to wesoła historia

Syn jednego z angielskich pisarzy, nie pomnę już, czy Anthony’ego Burgessa czy Kingsleya Amisa, opowiadał kiedyś o tym, jak wyglądały jego relacje z ojcem. Nie widywali się często, a gdy już surowy starszy pan pojawiał się w pokoju, syn musiał mówić do niego: „Tak, proszę pana”, „Nie, proszę pana”. I tak dalej. Ten zimny wychów dzieci nie jest

niczym dziwnym w historii brytyjskiego imperium. I mniej więcej takie stosunki panują z początku między małym Christopherem a jego ojcem, Alanem Milne’em. Znacie te persony, prawda? Film „Żegnaj, Christopher Robin” opowiada o kilku ważnych sprawach, m.in. o tym, co się działo między pisarzem a synem, którego uwiecznił w książkach o Kubusiu Puchatku. W Polsce chłopca znamy (dzięki Irenie Tuwim) jako Krzysia.

Krzyś (tak dalej będę go zwał) wychowywany jest przez nianię, a rodziców obserwuje z daleka: państwo wychodzą do teatru, państwo jadą na bal, państwo udają się do Włoch na wakacje. Niania pomaga mu w ćwiczeniach z wyobraźni – razem wymyślają imiona dla zabawek i proste historyjki o ich przygodach. Dorosłych zajmują inne, odległe sprawy. Brylują wśród londyń-

skiej socjety, ukrywając jednocześnie to, że niezbyt dobrze się dogadują. Dla niej bardzo ważny jest blichtr premier i uznanie salonów, on snuje idealistyczne rozważania po powrocie z okopów I wojny światowej – tej, która miała położyć kres wszystkim wojnom. Nękany wojenną traumą Milne nie potrafi zaznać spokoju, chce wyrzucić z siebie frustrację, chce zmienić świat na taki, w którym bezsensowna rzeź nie będzie już możliwa.

Jeden z dialogów między panią a panem Milne’ami wygląda jak żywcm wyjęty z „Rzeźni numer pięć” Kurta Vonneguta, kiedy to wydawca tłumaczył pisarzowi, że pisanie książek przeciw wojnie to jak pisanie książek przeciw lodowcom. „Dlaczego nie napiszesz książki przeciw środcom? – wyrzuca z siebie poirytowana Daphne Milne –

cokolwiek zrobisz, przecież wiadomo, że i tak nadejdzie!”

SKĄD SIĘ WZIĄŁ STUMILOWY LAS

Tak, jest to trochę film o wojnie – właściwie o jej skutkach – ale przede wszystkim o rodzicielstwie, o pisarstwie i niszczącym wpływie sławy. Sporo tego, ale wszystko jest ze sobą powiązane i zgrabnie zapakowane w jedną spójną opowieść. Po kolei zatem: wojna odpowiada za to, że Milne nie potrafi znaleźć dla siebie miejsca w Wielkiej Brytanii lat 20. XX w. „Po co właściwie walczyliśmy?” – pyta. „Co zrobić, żeby to już się nigdy nie powtórzyło?”. Oczywiście nikt nie zna odpowiedzi.

Nie jest dobrym ojcem. Trzyma syna na dystans, w którego budowaniu pomaga jeszcze matka chłopca. Tak bardzo pragnie sukcesu męża, że odgania dzieciaka spod drzwi gabinetu ojca: „Tata pisze, nie wolno mu przeszkadzać”. Dopiero kiedy rodzina wyprowadzi się na wieś, do domu otoczonego cudnymi lasami i pięknymi wzgórzami, coś na kształt porozumienia zacznie się rodzić między walczącym z traumą Alanem a spragnionym uwagi Christopherem. A wspólne spacerunki po okolicy, którą ich wyobraźnia zamieni w Stumilowy Las, będą początkiem literackiej magii, która dała milionom czytelników najpierw wiersze o Krzysiu i jego zabawkach, a potem także słynnego „Kubusia Puchatka”.

Dziwna to jednak relacja: krok w przód, a potem dwa kroki w tył. Może pan Milne nie był dobrym materiałem na ojca, może zbyt wiele było w nim egoisty (który pisarz jest od tego wolny?) skoncentrowanego na tym, co się dzieje w jego własnej głowie. Może krzywdą, którą nieświadomie wyrządzała dziecku matka, była większa, niż się wydaje: syna kochała, owszem, ale zwykle pozostawał gdzieś na drugim planie. W dodatku był rozczarowaniem: pani Milne chciała dziewczynkę. I ubierała syna jak córkę, robiąc mu też „dziewczyńską” fryzurę.

Od wojennej traumy przechodzimy więc do trudnej sztuki bycia rodzicem, a chwilę potem także do kłopotów w relacji twórcy – tworzywo. Kiedy bowiem prywatny świat wyobraźni dzielony przez syna i ojca staje się dzięki książkom znany milionom, sytuacja zmienia się na... gorsze. Sława nie tylko sprawia, że rodzice znów mają mniej czasu dla Christophera. On sam zostanie wciągnięty w niemal cyrkowy show jako

„prawdziwy Krzys” od „prawdziwego Puchatka” i zaczynają się wywiady, sesje zdjęciowe, przyjęcia. Każdy, kto żyje z artystą, ryzykuje, że stanie się ofiarą jego twórczego ekshibicjonizmu. W przypadku rodziny Milne’ów ta niewinna i słodka literacka zabawa ma skutki niszczące. Wiele o tym jest w filmie, ale scenariusz i tak jest łagodny, bo w rzeczywistości było dużo gorzej – dorastający Christopher zerwał potem stosunki z rodziną i nie chciał mieć nic wspólnego z książkami swego ojca. Kiedy założył własną księgarnię, nie chciał w niej nawet sprzedawać książek o Kubusiu Puchatku. Całe życie walczył o prawo do własnego, osobnego istnienia – nie chciał być tylko „tym słodkim chłopcem z książki”.

ZAMKNIĘTE SERCE OJCA

Dziwnymi ścieżkami chadzają wybory członków amerykańskiej Akademii Filmowej. Film Simona Curtisa (autor m.in. oscarowego „Mój tydzień z Marylin”) wcale nie jest gorszy od „Marzyciela” (2004) Marca Forstera, opowieści o tym, jak J.M. Barrie wymyślił Piotrusia Pana. A mimo to tamta produkcja została obsypana oscarowymi nominacjami, a historia Alana A. Milne’a została całkowicie zignorowana przez rozmaite gremia. Moim zdaniem prezentują podobny poziom.

Może przyczyną był brak wielkich gwiazd w obsadzie. Alana Milne’a gra Domhnall Gleeson, ostatnio znany jako nieco przerysowany gen. Hux z nowych „Gwiezdnych wojen”. Tutaj wypada bardzo dobrze, jak cierpiący na ewidentne emocjonalne zahamowania pisarz. Dobra jest Margot Robbie (ostatnio m.in. „Jestem najlepsza. Ja, Tonya” i „Legion samobójców”) jako pani Milne, jeszcze lepsza zaś Kelly Macdonald w roli niani. Wszystkich jednak przyćmiewa mały Will Tilston jako Christopher.

A może film jest zbyt letni? To prawda, zawisł gdzieś między ukochanym przez Hollywood typem krzepiącej opowieści „jak było naprawdę” (w tej konkurencji jest zbyt gorzki) a ostrym dramatem rodzinnym (tu z kolei wydaje się zbyt łagodny). Sięgnąłem po seansie po wspomnienia Christophera Milne’a: po polsku ukazały się jeszcze w PRL pt. „Zaczarowane

miejsca”, a kilka lat temu także wybór fragmentów z jego czterech książek zatytułowany „Poza światem Puchatka”. „Serce mojego ojca przez całe życie pozostawało zamknięte” – pisze z goryczą pierwowzór literackiego Krzysia.

Niektórzy recenzenci wytykali filmowi Curtisa inne rozdarcie: opowieść jest dramatyczna (to prawda), ale warstwa wizualna do niej nie pasuje, bo jest zbyt lekka i przesłodzona, jakby twórcy za wszelką cenę chcieli odwzorować świat cudnych puchatkowych ilustracji Ernesta H. Sheparda (w filmie zagrał go Stephen Campbell Moore). Będę jednak bronił tego wyboru. Przecież widzowie (sądzę po sobie, jeśli się myślę, to mnie poprawcie), którzy dostaliby jedynie ponury rodzinny dramat, byłiby trochę rozczarowani. Chcieliby jednak usłyszeć co nieco o Puchatku. „Po wojnie wszyscy byli tacy smutni, że zapomnieli, jak się cieszyć” – odpowiada w filmie niania na pytanie Krzysia, dlaczego wszyscy tak polubili głupitkiego misia. „A Puchatek był jak kran – wystarczyło odkręcić i płynęła z niego radość”.

Odkrywam tu jeszcze jeden ciekawy kontekst opowiedzianej w filmie „Żegnaj, Christopher Robin” historii. Mało kto wie, że nie tylko Kubuś Puchatek był w pewnym sensie odreagowaniem wojennej traumy. Inny wielki literacki mīt zrodzony w tamtych czasach miał swój początek w okopach I wojny światowej.

Hugh Lofting służący na froncie zachodnim wpadł na pomysł swoich opowieści o doktorze Dolittle, patrząc na przerażający los zwierząt podczas wojny. Swoimi książkami, jak wyznawał w listach, chciał jakoś zadośćuczynić nieszczęsnym zwierzętom. Idźmy dalej: świat z opowieści Tolkiena o Śródziemiu też wyglądałby w wielu miejscach inaczej, gdyby nie jego doświadczenia frontowe. Podczas „wojny, która miała przynieść kres wszelkim wojnom”, nabawił się głębokiej nieufności wobec takiego wykulturowania „nowoczesności”. Chętnie przeczytałbym książkę analizującą ten fenomen; o tym krwawym węzle łączącym koszmara okopów z najcudniejszymi osiągnięciami literatury eskapistycznej. A może taka książka już powstała? Będę wdzięczny za odpowiedź.



★★★★★

REŻ. SIMON CURTIS
„ŻEGNAJ, CHRISTOPHER ROBIN”
 („GOODBYE CHRISTOPHER ROBIN”)
IMPERIAL

wyst. Domhnall Gleeson,
 Margot Robbie,
 Kelly Macdonald



Krzysztof Masłoń

W wieku 78 lat zmarł Antoni Krauze, artysta, którego obrazy spinają dwie epoki: PRL oraz Polskę niepodległą – i jedną, i drugą ukazując bez upiększeń, prawdziwie oraz przejmująco

Świetnym filmem Antoniego Krauzego – zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że najlepszym – była „Prognoza pogody” z 1982 r. Obraz ten przeorał stan wojenny, co jednak paradoksalnie nie zaszkodziło mu, gdyż ta metaforyczna opowieść o 16 miesiącach polskiej quasi-wolności, czyli Karnawale Solidarności, nabrała po 13 grudnia jakby dodatkowej głębi. W każdym razie była to poważna, odpowiedzialna próba nawiązania dialogu ze społeczeństwem o tym, cośmy przeżyli między sierpniem 1980 a grudniem 1981 r.

Kanwą „Prognozy pogody” było o 10 lat wcześniejsze opowiadanie Marka Nowakowskiego pt. „Zdarzenie w mieście”, z tym że zmienione, z przydaną mu mocną wolnościową metaforą. Film opowiada o ludziach zbuntowanych, w których niecodzienne jest to, że są nimi pensjonariusze domu starców. Nieprzypadkowo reżyser pierwsze sekwencje „Prognozy...” nakręcił na czarno-białej

Pana Antoniego. Pamiętnego i z „Palca Bożego”, i z „Mety” – też według Nowakowskiego – i może z najbardziej lubianego „Monidla”, krótkiego filmu telewizyjnego zrealizowanego na podstawie opowiadania Jana Himilbacha. Myślałem o nim właśnie, gdy celowo nagłaśniano problemy, jakie miał reżyser z obsadą „Smoleńska”, gdy odmawiali współpracy z nim przy tej produkcji nawet tacy aktorzy jak Marian Opania, dla którego „Palec Boży” był trampoliną do późniejszych sukcesów. No cóż, pomyślałem wtedy, Hunko, były powstaniec warszawski, zachowałby się inaczej.

SŁOWO I FILM

Poznałem Antoniego Krauzego przez Marka Nowakowskiego, bodaj przy okazji początków istnienia Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza. Gdy później zdarzało mu się dzwonić do mnie, by wymienić opinie na temat nowości wydawniczych czy też ważniejszych

Obywatelskie obowiązki

taśmie, by podkreślić beznadzieję wegetacji swoich bohaterów. Kiedy jednak podejmują oni próbę ucieczki z domu starców, film nabiera kolorów, a i przedstawiana smutna rzeczywistość nagle pięknieje. Wraz ze ściganymi starcami, którzy w jednej chwili odzyskują poczucie własnej wartości.

Uciekinierzy nie mają szans, zostają więc zatrzymani, ale ich postawa budzi uznanie nawet ludzi z drugiej strony barykady, np. kierownika domu starców, który – w istocie – był sprawcą buntu, zamawiając i przywożąc do zakładu zapas trumien, co w rzeczywistości roku 1980 nie było wcale czymś tak irracjonalnym, jak to się dziś wydaje. Brakowało przecież wszystkiego...

Ten piękny film o Polsce i polskiej wolności zauważony został po pięciu latach na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Autorskich w San Remo, w kraju był jednak pokazywany nieczęsto, oficjalnie chwalony wprawdzie, naprawdę jednak kłopotliwy i to, zdaje się, dla wszystkich stron.

Uwielbiałem „Prognozę...” także z uwagi na obecność w obsadzie aktor-skiej Henryka Hunki, ulubionego aktora

wydarzeń w życiu literackim, przekonałem się, jak ważne dla tego twórcy było słowo pisane. Swoje filmy kręcił według opowiadań Nowakowskiego i Himilbacha, ale i Eustachego Rybskiego („Dziewczynka z hotelu Excelsior”), i Władysława L. Terleckiego („Stacja”), i Leszka Płazewskiego („Piżama”). Zdarzało mu się też portretować ludzi pióra w swoich filmach dokumentalnych, m.in. w 2005 r. wyreżyserował film o Wisławie Szymborskiej „Radość pisania”, a siedem lat wcześniej o jej szwedzkim tłumaczu Andersie Bodegårdzie („Szwed z »Wesela«”). Bliska mu też była twórczość kabaretowa. W młodości związany z STS poświęcił temu sławnemu studenckiemu teatrowi dokument, podobnie jak może jeszcze bardziej sławnej Piwnicy pod Baranami. Realizował również filmy o poszczególnych twórcach krakowskiego kabaretu: Tamarze Kalinowskiej, Zbigniewie Preisnerze, Janinie Garyckiej, towarzyszące życia Piotra Skrzyneckiego. Nazwisko Krauzego odnajdziemy także pod filmami dokumentalnymi o takich wybitnych postaciach polskiej nauki i kultury, jak architekt Jan Zachwatowicz, literaturoznawca Jacek Baluch, plastyk

FOT. MAKSIMILIAN RUCIĄK/STUDIO FOTUM

Jerzy Mierzejewski, czy wreszcie o kolegach z tej samej co on branży filmowej – Stanisławie Różewiczu i Januszu Morgensternie.

W sumie nakręcił kilkadziesiąt filmów; doliczyłem się 40, ale było ich z pewnością więcej. Zdarzył się wśród nich i serial – „Zakłęty dwór” (1976) według prozy Walerego Łozińskiego – i mający też czteroodcinkową wersję telewizyjną sensacyjno-spiegowski film „Akwarium” według książek Wiktora Suworowa. Z filmów fabularnych ostatnimi czasy najgłośniejsze było oczywiście o „Czarnym czwartku” z 2010 r. i ostatnim filmie reżysera – „Smoleńsku” z 2016 r. Przy czym – charakterystyczne – ten pierwszy film dość często przeciwstawiano drugiemu, jako obraz ze wszech miar udany, filmowi ważnemu może, ale chybionemu artystycznie i treściowo. Że kryły się za tym obrzydliwe małe gry z polityką w tle, to oczywiście. Mówił o nich Pan Antoni, choć nieczęsto

artysty

i niechętnie. Ostatni raz rozmawiałem z nim w 2016 r., po mszy i uroczystościach w katedrze warszawskiej, gdy otrzymał odznakę „Honor i Prawda” przez fundację Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie. Właściwie powtórzył mi tylko, że zadowolony jest z jednego, że nakręcił „Smoleńsk”. – Musiałem to zrobić – powiedział.

A „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł”, bo taki jest pełny tytuł filmu, opowiada o masakrze, do jakiej doszło w Gdyni 17 grudnia 1970 r., gdy do idących rano do pracy robotników ze Stoczni im. Komuny Paryskiej milicja i wojsko otworzyły ogień. W mieście wybuchły demonstracje, uformowano pochód niosący ciało zabitego młodego mężczyzny. Doszło do kolejnych starć, zginęły następne osoby. Antoni Krauze o „Czarnym czwartku” zrobił film wstrząsający. Wiedziony niezawodzącą go intuicją w głównych rolach obsadził nieznanymi aktorów – Martę Hozatkę i Michała Kowalskiego. Wiarygodność przekazu wzmocniała zupełnie niezwykła scenografia, znakomite zdjęcia Jacka Petryckiego, surowe, herbertowskie przesłanie dzieła nie pozostawiało miej-

sca na niedomówienia. Krauze powiedział kiedyś, że świat jest dobry i zły i nie ma w nim żadnych odcieni; jest biały i czarny, bez szarości. Wolno ci, człowieku, przenieść się z jednego świata do drugiego, ale nie możesz stać w rozkroku, jedną nogą tam, a drugą tu. Wolno ci wątpić, ale jeśli stajesz po stronie dobra, to nie możesz ani służyć kłamstwu, ani nawet w nie wierzyć, ani oczywiście go rozpowszechniać.

BEZ ZŁUDZEŃ

Antoni Krauze był człowiekiem bez złudzeń. Gdy chwalono „Czarny czwartek” z typowym dla siebie uśmieszkiem pytał, czy podobały się również, gdyby w filmie oskarżył nie tylko Gomułkę i Kliszkę, lecz także Jaruzelskiego? Niebawem reżyser z przykrością stwierdził, że prezydent Najjaśniejszej, który objął patronat nad jego filmem, z honorami żegna Jaruzelskiego na Powązkach. Ta historia wymaga komentarza. Otóż patronat nad „Czarnym czwartkiem” objął prezydent Lech Kaczyński, a po jego śmierci Krauzemu przetłumaczono, że nie ma sensu nic zmieniać i należy patronat utrzymać. Przysłał na to i będzie to sobie wyrzucał, zwłaszcza gdy Kancelaria Prezydenta (tegoż Komorowskiego) odmówi mu prawa do robienia zdjęć przed Pałacem Namiestnikowskim. Jednak to już będą, naturalnie, zdjęcia do „Smoleńska”, a Krauze, jako twórca sympatyzujący z dobrą zmianą, przez opiniotwórczą część środowiska artystycznego zostanie przekreślony. Nie postępowano go specjalnie, raczej ubolewano, że tak zasłużony reżyser podjął się kręcenia propagandowego obrazu.

Z rozpędu zaliczano go nawet do kina moralnego niepokoju, z którym naprawdę jeśli coś go łączyło, to metryka. Urodził się w 1940 r. w Warszawie, ukończył Akademię Sztuk Pięknych (bratem Antoniego jest znany także z naszych łamów znakomity rysownik i plakacista Andrzej Krauze), potem łódzką filmówkę, od 1969 r. zaczął samodzielnie kręcić filmy. Zawsze niezależne, dalekie od modnych trendów, ale też odmawiające kompromisów, nie tylko z władzą. A po co był mu „Smoleńsk”? – można się zastanowić.

– Tragedia smoleńska stała się najważniejszym wydarzeniem w III RP – mówił. – Najtragiczniejszą chwilą w polskiej historii od czasów II wojny światowej. Stała się wydarzeniem, które wpływa na los dzisiejszej Polski i życie Polaków w sposób niebywale silny; które nas podzieliło

bardzo głęboko. Dlatego próba zmierzenia się z tym tematem jest nie tylko wielkim wyzwaniem, lecz także obywatelskim obowiązkiem twórcy – dodawał.

Że to on podejmie się tego obowiązku, postanowił na początku roku 2011. Mówił, że skłonił go do tego raport Tatiany Anodiny, obrażający nas wszystkich jako Polaków. Nie wiedział jeszcze wtedy, jakie przykrości czekać go będą w trakcie realizacji filmu i po jego wyprodukowaniu, jakie będzie miał problemy nie tylko z obsadą aktorką, lecz także z zespołem technicznymi; że przyjdzie mu się ścierać z obstrukcją i bojkotem. Ponadto jak silne będą naciski ze strony – przynajmniej teoretycznie – sprzyjającej i filmowi, i reżyserowi osobście. – Ustąpiłem z wielu rzeczy tylko dlatego, żeby ten film powstał. Nie dla siebie to robiłem, ale dla tych wszystkich, którzy pisali do mnie po otrzymaniu informacji o produkcji „Smoleńska”, którzy przesyłali pieniądze na jego realizację, którym ten film był – po prostu – potrzebny.

Otwartym tekstem mówił, że „Smoleńsk” jest jego filmem ostatnim. Czuł się zresztą źle, chorował, w trudnych chwilach mówił, że chce już odejść „na tamtą stronę”. Opowiadał przy tym rzeczy wstrząsające. Kiedyś przeszedł rozległy zawał, a po nim śmierć kliniczną. Podobno „cofinięty” został do życia, by udowodnić, że jest dobrym człowiekiem. Krzysztof Kiesłowski obruszył się na to, przypominając, że był świadkiem, jak Krauze uratował tonącego chłopca. – Niczego nie musisz udowadniać – denerwował się. Pan Antoni wiedział swoje. Tamto przejście odmieniło go pod każdym względem, religijnym przede wszystkim.

Jego filmy towarzyszyły mi przez długie lata. Zostały w pamięci wraz z sentymentem do tego, jak pokazywał polską prowincję czy peryferyjne dzielnice wielkich miast. Jak nikt inny ukazywał osobliwy urok codzienności i panujący w niej dojmujący smutek. Bohaterów dla swoich filmów wybierał, rzekłbym, spośród antybohaterów. Tych zwykłych ludzi, niezamożnych, często biednych prezentował ze swoistą czułością, nigdy nie naigrywał się z nich. Przeciwnie – uwypuklał ich godność i pozytywne cechy wyróżniające ich w świecie, w którym komunizm dokonał nieodwracalnych szkód. Tamten mały realizm stał się wielkim i takim pozostał, także w filmach tak osadzonych w naszej historii jak „Czarny czwartek”, tak ważnych.



Andrzej Horubała

Galeria Wzornictwa Polskiego. Ekspozycja stała Muzeum Narodowego w Warszawie. Kolejna wystawa, przed której zwiedzeniem warto się naczytać

Przede wszystkim katalog – świetny i niedrogi (cena 12 ziko, autorki – trzy Anny: Demska, Frąckiewicz, Maga), przejrzyste porządkujące to, co wystawione. Utrzymana w chronologicznych ramach opowieść o głównych kierunkach polskiej sztuki użytkowej. Odnosząca zgromadzone eksponaty do kolejnych marzeń, idei, złudzeń polskich plastyków. Te wszystkie naczynia, wazoniki i popielniczki, te niespecjalnie zazwyczaj wygodne krzeselka i zydelki, wśród których pyszni się fotel Tulipan Teresy Kruszewskiej i łśni fotel Romana Modzelewskiego, no i ludowe wzorki na wszystkim, co się da. Nadzieje wiązane z wystawą paryską w roku 1925, siermięga socrealizmu, wybuch wolności i kreatywności po roku 1956, funkcjonowanie po roku 1970 w gospodarce niedoboru z jednoczesnym otwarciem na licencyjny Zachód. I wreszcie czasy współczesne, słynny szezlong Mono Tomasza Augustyniaka firmy Com40 i indywidualne inicjatywy eksperymentujących z wolnym rynkiem twórców oraz producentów.

NIEDESIGNERSKA EKSPOZYCJA DESIGNU

Ale przecież łatwo złapać szyderę, gdy wstępem do odwiedzenia Muzeum Narodowego będzie książka Marcina Wichy „Jak przestałem kochać design” i kapitalne passusy, w których autor cierpliwie tłumaczy, że design to środowisko człowieka, a nie tylko drogie piękne gadzety, że designerzy winni dbać o przejrzystą infografikę w przestrzeni publicznej, czytelne karty do głosowania, użyteczny sprzęt, ławki szkolne. W zestawieniu z salą wygospodarowaną na Galerię Wzornictwa Polskiego, może to wywołać śmiech homerycki nieledwie, który nieść się będzie po tych szacownych wnętrzach.

Jak to Wicha obśmiewał automaty do sprzedaży biletów komunikacji miejskiej? Jak rekonstruował, kim mógłby być projektant tego monstrum, każącego się

schylać, wydłubywać drobne, wsadzać rękę w jakieś wyginające dłoń szpary? „Próbuję go sobie wyobrazić. Sądząc ze sposobu umieszczenia ekranu, ma jakiś metr czterdzieści wzrostu, bardzo długie ręce zakończone krzywymi szponami do wyłuskiwania bilonu. Musi być spokrewniony z kosmitą od biletów parkingowych”.

W Muzeum Narodowym też najwyraźniej pracował ten kosmita: niziutkie umieszczenie na białych pałeczkach zdecydowanie za małych ekranów, na których wyświetlane są materiały wideo i slajdy, każe zwiedzającym wytrzeszczać oczy w jakimś potwornym przykucu, pokazując, że i dla organizatorów wystawy rzecz designerska wcale nie musi mieć wiele wspólnego z życiem praktycznym.

Także pomysł, aby próbki materiałów i ubrań umieścić w szufladach pod główną ekspozycją, naraża zwiedzających na ciągłe kolizje i obliczone jest chyba na pustkę w sali.

Wszystko to niestety za małe, bez rozmachu, bez kontekstu, po prostu wystawione w grzecznych gablotkach albo też – jak meble – na wysepce w środku sali. Kolekcja sztuki użytkowej obejmująca cały XX w. i doprowadzona do współczesności daje oczywiście przegląd gadżetów związanych z projektowaniem, z tym że mamy do czynienia z dość wąsko zdefiniowanym wzornictwem. Owszem, znajdujemy tu w drodze wyjątku jakieś metki od towarów, znajdziemy tkaniny i punktowo potraktowany hołd dla projektantów mody, ale rzeczywistość rzecz jest mocno ograniczona. Nie ma tu więc osobnego miejsca dla plakatów czy przejawów małej i wielkiej architektury, bądź wyposażenia wnętrz (poza materiałami obiciowymi z gmachów użyteczności publicznej), żadnych prawie reklam, neonów, mało sprzętu AGD. No i brak kontekstu: wszechogarniającej brzydoty, szarości i beznadziei, tępych, pozbawionych poczucia piękna, brzydkich ludzi u władzy, niszczących przejawy indywidualizmu i ekstrawagancji. Komuna równająca w dół, a przedtem wykluwający się polski styl dwudziestolecia...

O tym musimy doczytać u Wichy i jego zdania mieć w pamięci: „Dlaczego wszystko wyglądało tak potwornie brzydko? Pewnie dlatego, że zawsze były ważniejsze sprawy i pilniejsze potrzeby. Zawsze płonął jakiś las...”.

Owszem, dla czytelnika Wichy jest trochę znanych elementów, takich jak choćby aparat fotograficzny Alfa projektu Meisne-

ra i Rutkowskiego, który stał się pretekstem do dyskusji na temat tego, czy design powinien mówić prawdę. Prościutki aparat kreowany przez plastyków na przedmiot marzeń wywołuje w Wisze – podążającym za krytyką tego obiektu wypowiedzianą przez Jerzego Sołtana – prawdziwy potok skojarzeń, aż do wiersza Zbigniewa Herberta „Ornamentatorzy”, w którym poeta zadaje pytanie, czy upiększanie świata nie jest uczestnictwem w kłamstwie. Malowanie na różowo więziennego muru, wreszcie pleców samych więźniów, uderza w samo centrum zagadnienia.

PARADOKSY

Wznowiony właśnie przez wydawnictwo Karakter tom Marcina Wichy

Design



FOT. MICHAŁ KORTA/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

„Jak przestałem kochać design” to jazda bez trzymanki, od skojarzenia do skojarzenia, to prawdziwy poemat dygresyjny na temat sztuki wzornictwa. Wyśmienity podkład do zwiedzania Galerii. Zaprasza nas autor najpierw na pogrzeb swego ojca architekta i opowiada o perypetiach z oprawą tej uroczystości. Przegląda jego szuflady, wspomina walkę o jakość, z anegdot domowych zabawnie odtwarza zasady związane z projektowaniem. Stolarz alkoholik, który sknocił im półkę na książki, staje się uniwersalnym typem wykonawcy niweczącego wspaniałe idee projektantów. Kłątwa hydraulika („Wszystko jest skomplikowane”) okazuje się użytecznym mottem designerów. Zachwyty rodzica nad bezpieczną „dziecioodporną” zakrętką pojemnika na lekarstwa przywiezionego z Zachodu staje się pretekstem do rozważań o koncepcji człowieka w realnym socjalizmie i po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Model jeepa odnaleziony w ojcowskim biurku stawia pytanie o uczciwość designu.

Wicha ma niezwykły dar opowiadania: w anegdoty z własnego życia z wdziękiem wplata rozważania o istocie wzornictwa. Bawi się w paradoksy, dla dowcipu gotów jest poświęcać klarowność wyводу. Otrzymujemy dzięki temu stereofoniczną, ba, kwadrofoniczną, polifoniczną opowieść o estetyce naszego życia. Autor dzieli się wspomnieniami z własnej praktyki designera, przywołuje okrutne opowieści o ignorancji zleceniodawców, szydzi z paradoksów projektowania. Przytacza przykładowe komentarze: „dupy nie urywa”, „nie powala”, kwitując je ironicznym wnioskiem: „celem projektu powinno być spowodowanie ciężkich obrażeń cielesnych”.

Raz po raz stara się sformułować zasady rządzące designem, by za chwilę zakwestionować je i wysadzić w powietrze jedną dykteryjką.

Opowiada o polskiej szkole plakatu, o wspaniałych plastycznych wariacjach na temat filmów, ale ujawnia, że były to wisienki na torcie, i to w dodatku na torcie, którego nie było. Przytacza historię z czasów PRL, gdy panie z Centrali Wynajmu Filmów pokazały znakomitą plakaciście „swój największy skarb. Był to prawdziwy plakat z Ameryki, z dużymi twarzami, postaciami artystów i zachodem słońca. Rozwinęły rulon i spytały: – Jak pan sądzi, czy w Polsce kiedyś do tego dojdziemy?”.

Wnikliwie odtwarza przekaz okładki książki Marka Nowakowskiego „Raport o stanie wojennym” (Nowa 1983). Krok po kroku analizuje projekt Tomasza Kuczborskiego, sposób operowania fotografią zomowców, dobór czcionki typu Stencil, wreszcie umieszczenie znaczka copyrightu. Pokazuje, jak okładka nielegalnego wydawnictwa manifestowała umiłowanie wolności, przywiązanie do Zachodu i kult nowoczesności.

PRZECIW SYSTEMOWI

Czas transformacji ustrojowej, kicz, dziki kapitalizm chcący walić po oczach, nieokiełznana konsumpcja, kres marzeń o plastycznej powściągliwości to kolejny katalizator błyskotliwych opowieści. Poprzedzone analizami plakatów wyborczych Solidarności zanurzenie się w epokę przepoczwarzania się Polski, kipi od celnych obserwacji i doskonałych porównań. Wicha prowadzi wieloznaczną opowieść, jak choćby wówczas, gdy przedkłada nam przed oczy przykład, czy też paradoks, mieszkanki wedlowskiej. „Każde polskie dziecko wiedziało, że najlepsze z nich są pierrotki i bajeczne. [...] pokolenia Polaków wciąż wyłuskiwały pojedyncze pierrotki z szleszczącego różnolitego tłumy”. Aż przyszedł kapitalizm i nowy zachodni właściciel zaordynował: Po co mieszkanka, skoro można wypuścić same pierrotki albo wręcz megabaton pierrot? I stało się. Tylko trochę głupio.

Podobnie los klocków Lego, których rozwój – podyktowany przez rynek – doprowadził do rozkwitu form będącego de facto degeneracją zabawki rozwijającej kiedyś wyobraźnię i kreatywność.

Im dalej w opowieść, tym Wicha staje się mocniej antysystemowy. Postrzegać zaczyna design bądź to jako element mentalnego kiczu klasy średniej (kapitałny rozdział „Sklep z designem”), bądź element przemocy symbolicznej. Symbolicznej i nie tylko zresztą symbolicznej. W świetnym szkicu „Ławka imienia Grażyny Kulczyk” cytuje jej wypowiedź o tym, jak urządzanie galerii handlowej Stary Browar lepiej niż policja i nakazy dyscyplinuje społeczeństwo. Prezentuje też wielki dylemat projektantów ławek: jak zrobić coś, co selekcjonowałoby odpowiednio jej użytkowników, by nie

korzystał z niej byle kto, żaden menel czy bezdomny, by ten mebel w przestrzeni publicznej sankcjonował wykluczenie. I odkrywa wzór, z Niemiec rzecz jasna, który z powodzeniem zastosowano już w Szczecinie na przystankach autobusowych: „Oparcia zamiast ławek. Zamocowane pod skosem, na odpowiedniej wysokości. [...] Takie konstrukcje – mówię z dumą rzecznik ZDiTM – są udogodnieniem dla pasażerów, a nie przyciągają osób, które chciałyby się na przystanku przespać”.

Ironiczny styl wywodów Wicha pozwala na wychwytywanie wielu sprzeczności w sztuce designu. Jak choćby pochwały naiwnego okresu rozwoju pewnych produktów czy form przekazu. Gdy nie zna się jeszcze gramatyki danych form, gdy produkt nie został jeszcze wyśrubowany przez marketing, gdy

wiele rzeczy robiło się intuicyjnie i w sposób ekonomicznie rozrzućny, niewyśrubowany. Na przykładzie krajowych wypasionych hamburgerów i początków McDonald’s w Polsce Wicha formułuje teorię: „Najlepsze dzieła – hamburgery i projekty graficzne – powstają wtedy, na początku, zanim odkryjemy właściwe reguły gry i nauczymy się ekonomii wysiłku”.

Tytułowy koniec miłości do designu ma u Wicha wiele powodów. Czasem zaskakujących. Choćby wtedy, gdy dość niewin-

nie rozpoczęła dygresję o XX w. doprowadza do dramatycznego finału: „Jeżeli coś ukazało się w latach dwudziestych lub trzydziestych, mimowolnie odejmujemy daty. Jeszcze dziesięć, jeszcze siedem, jeszcze trzy lata. Opowieści o czystości i porządku nie brzmią już tak dobrze. Mentalny kalkulator przypomina, że wkrótce ludzie szukali schronienia w szafach, skrytkach, piwnicach, na strychach, pod podłogą. Zniknąć, byle zejść z oczu porządkującej nowoczesności”. Ale przecież przede wszystkim gorczą napęla go to, że obecnie „design ma jedno zadanie: uzasadniać cenę”. Jest w książce Wicha jakieś ciekawe połączenie arystokratyzmu, wyniosłości, inteligentnej dumy, pychy nawet, z socjalizmem i gestem rebelianckim, antykapitalistycznym. Skrzy się jego opowieść i wraz z katalogiem wystawy stanowi wyborną lekturę przed odwiedzeniem sali 127 warszawskiego Muzeum Narodowego.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIEŚLAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Nadchodzi era wodnika?



★★★★★
REŻ. GUILLERMO
DEL TORO
„KSZTAŁT WODY”
(„THE SHAPE
OF WATER”)
USA 2017

wyst. Sally Hawkins,
Richard Jenkins,
Octavia Spencer

Z dwóch panów o nazwisku del Toro zdecydowanie wolę aktora Benicio. W „Sicario” zagrał tak, że widzom z wrażeń cierpła skóra. Strach pomyśleć, co pokaże w „Soldado”. Reżyser – Guillermo – najpierw przez wiele lat dobrze się zapowiadał, a ostatnio zaczyna gonić w piętę. Jak na ironię „Kształt wody”, sądząc po liczbie nominacji (13) główny faworyt tegorocznego wyścigu po Oscary, niczego nowego do stylu Meksykanina nie wnosi. Akcja znowu rozgrywa się na granicy snu, jawy i rozbuchanej wyobraźni.

Elisa jest nima i samotna. Przyjaźni się z sąsiadem, bezrobotnym malarzem, czującym pociąg do innych panów, oraz z czarnoskórą Zeldą, z którą pucują posadzki w nadzorowanym przez wojsko instytucie badawczym. Do tej

supertajnej placówki trafia stwór schwytyany w południowoamerykańskiej dżungli. Na pierwszy rzut oka przypomina wodnika z ludowych czeskich baśni. Na drugi – kochliwego potwora z Czarnej Laguny.

Oczywiście gdyby del Toro porzucił na odwróceniu bajki o syrence, Akademia Filmowa znalazłaby sobie innego faworyta. Szafarzy Oscarów nie wzruszyła by też akuratność, z jaką twórcy „Kształtu wody” wskrzeszają Amerykę z okresu prezydentury Kennedy’ego. Akcja rozgrywa się w 1963 r. Telewizja pokazuje wyłączone pocziwe programy, na czele z serialem „Ed, koń, który mówi”. Na ścianach wiszą kalendarze ze złotymi myślami. Reklamy przekonują, że człowiek przyszłości jeździ najnowszym modelem Cadillaca.

Bogobojni obywatele obawiają się zaś inwazji z kosmosu i sowieckiej infiltracji.

Del Toro już w „Labiryncie fauna” udowodnił, że serce ma po lewej stronie. Tam demaskował hiszpańskich frankistów, tutaj piętnuje rasistowskich i homofobicznych jankesów, nadal żyjących zakończoną 10 lat wcześniej wojną koreańską. Władza, uosabiana przez nadzorcę instytutu w stopniu generała, bezwstydnie przyznaje, że „nie zależy nam na wiedzy”, zaś „przyzwyczajenie to towar na eksport”. Owszem, na ekranie pojawiają się równie tępi i brutalni Sowietci, jednak stawianie znaku równości między rywalami z epoki zimnej wojny przynajmniej z naszej perspektywy wydaje się dość szokujące.

Ciekawostka: w „Kształcie wody” gra dwóch aktorów, którzy zabłysnęli w „Zakazanym imperium”. I obaj właściwie powielają tamte kreacje. Michael Stuhlbarg znów jest mądrą, zaś Michael Shannon – zwyrodniałcem na państwowym wikcie. „Kochajcie odmieńców!” – apeluje del Toro. Nie dajmy się jednak zwariować. Dla przyszłości sztuki filmowej lepiej by było, gdyby najważniejszego Oscara dostał Martin McDonagh za „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri”. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „NIE WIDMO”

Ostatnia (przed zapowiedzią zakończenia kariery) kreacja aktorskiego geniusza – Daniela Day-Lewisa – jako krawca perfekcjonisty (bardziej projektanta mody?), którego życie zostanie wyrwane do góry nogami przez nieoczekiwane uczucie. Jednak przede wszystkim „Nikcz widmo” to kolejne dzieło znakomitego

reżysera Paula Thomasa Andersona, który ma w dorobku „Magnolię”, „Aż poleje się krew” czy „Mistrza”, jednego z nielicznych naprawdę wybitnych twórców współczesnego Hollywood. ©©

Piotr Gociek
• „Nikcz widmo”, reż. Paul Thomas Anderson, wyst. Vicky Krieps, Daniel Day-Lewis, Lesley Manville, USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Kobiety mafii”, reż. Patryk Vega, Polska 2018
- „W ułamku sekundy”, reż. Fatih Akin, Niemcy 2017
- „Gniazdo”, reż. Teresa Villaverde, Portugalia 2017
- „The Place”, reż. Paolo Genovese, Włochy 2017

Płeć mózgu

Minęło już 20 lat, odkąd terro-rysta Nicholas Cage i policjant John Travolta zamienili się twarzami. Kasowy sukces „Bez twarzy” („Face/Off”) potwierdził teorię, że ludzie są skłonni kupić każdą bzdurę, jeśli tylko efektywnie się ją opakuje. W filmach SF użytkowanie cudzej skóry bez zgody właściciela to normalka. W komediach też, choć tam tożsamościami wymieniają się z reguły pan z panią. Męski szowinista budzi się jako atrakcyjna blondynka, snobka jako menel.

Szczytem ambicji takich produkcji było obśmiewanie płciowych stereotypów. Teraz poprzeczka pewnie zostanie zawieszona wyżej, bo do ofensywy przeszły feministki.

„Żona czy mąż?” to dzieło epoki przejściowej. Napisane przez kobiety, lecz zrealizowane przez faceta. Może dlatego dość nijakie. Czy neurochirurg uwięziony w ciele wschodzącej gwiazdy telewizji śniadaniowej poradzi sobie z czytaniem z promptera? Czy ona zachowa zimną krew podczas operacji na otwartej czaszce? Aktorsko lepiej radzi sobie Kasia Smutniak, jej partnera za bardzo ciągnie w stronę farsy.



★★★★★
REŻ. SIMONE GODANO
„ŻONA CZY MĄŻ?”
(„MOGLIE E MARITO”)
WŁOCHY 2017

wyst. Kasia Smutniak,
Pierfrancesco Favino, Maria Gastini

Intryga zmierza do prorodzinnej konkluzji, co w tej sytuacji wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Ubolewającym nad kryzysem włoskiego kina polecam polską komedię „Operacja Koza” z 1999 r. To dopiero bolało! ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „SHADOW OF THE COLOSSUS”

Coraz częściej na rynku gier komputerowych pojawiają się remastery, czyli odświeżone edycje kultowych tytułów. Rzadko jednak zdarza się, aby jakaś produkcja przeszła przez ten cykl dwa razy. Właśnie taki los spotkał wydany w 2005 r. na PlayStation 2 „Shadow of Colossus”, który następnie

w 2011 r. zawitał na PlayStation 3. Czy warto kolejny raz wrócić do świata, w którym młody wojownik Wander rusza na swoim wierzchołku, by rzucić wyzwanie 16 potężnym bestiom, a finałem jego walki jest ocalenie ukochanej? Warto. Nowa grafika, sterowanie i efekty świetlne



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

uczynią walkę z Kolosami wartą waszego czasu. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** TPP/akcja
- **Platforma:** PS4
- **Producent, dystrybutor:** Bluepoint Games/Sony
- **Klasyfikacja PEGI:** 12+

O JEDEN KLIK ZA DALEKO

Sześć opowieści składa się na czwarty sezon popularnej antologii SF, która od czasu przejścia przez Netflix (debiutowała w brytyjskim Channel 4) zyskała na budżetach, nazwiskach i poczuciu humoru. Wśród reżyserów odcinków są m.in. Jodie Foster i John Hillcoat. Seria pozostaje wierna założeniom, czyli eksploruje najbliższą przyszłość, zadając pytania, jak technologia może zmienić nasze życie (zwykle na gorsze). Mamy tu świetną opowieść ponuro kpiącą z wirtualnej rzeczywistości, gier i seriali à la „Star Trek” („USS Callister”), mamy klasyczną opowieść kryminalną z niespodziewanym dodatkiem w postaci maszyny do odczytywania wspomnień („Crocodile”) czy zaskakujące spojrzenie na świat randkowania za pomocą aplikacji („Hang the DJ”). Najlepszy odcinek to ten o psach-robotach (dziwnie przypomina „Ptaki-czujniki” Roberta Sheckleya), najbardziej klasyczny, w duchu „Twilight Zone”, jest ostatni („Black Museum”). Całość wciąż mocno powyżej średniej. ©©



★★★★★
SEZON 4
„CZARNE LUSTRO”
(„BLACK MIRROR”)
USA 2017,
NETFLIX

ORBITA ŚMIERCI

Tak jak reżyser Dean Devlin był dotąd głównie pomagierem Rolanda Emmericha przy pracy nad jego katastroficznymi superprodukcjami („Godzilla”, „Dzień Niepodległości”), tak też i jego „Geostorm” jest jedynie ubogim krewnym tych widowisk. Znać ten typ opowieści: obcy, potwory, mróz, wulkany, wszystko się wali, ale jeden cwany gość w końcu ratuje świat, rodzinę, a czasem i pieska. Taka jest formuła, ale w „Geostormie” nawet tego schematu nie udało się dobrze wypełnić. No i wszystko tu jest okrutnie głupiotkie: wszechmocna sieć satelitów kontrolujących pogodę i kataklizmy, które wywołują, dziwny spisek, który prowadzi do ich przechwycenia, oraz „śledztwo”, dzięki któremu wszystko wyjdzie na jaw. W dodatku główny bohater jest bardzo niesympatycznym bucem, a jego brat – niewiele lepszy. Budżet (120 mln dol.) poszedł chyba w całości na honoraria, to tłumaczyłoby nędzę efektów specjalnych i obecność niezłych aktorów (Andy García, Ed Harris, Abbie Cornish) na drugim planie. ©©



wyst. Gerard Butler, Jim Sturgess, Abbie Cornish

★★★★★
REŻ. DEAN DEVLIN
„GEOSTORM”
USA 2017,
GALAPAGOS

recenzuje Piotr Gociek

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Przed Herlingiem i Czapskim

Beata Obertyńska dla części czytelników, m.in. i dla mnie, istnieje jako autorka spisanych tuż po wojnie wspomnień z Rosji, dokąd wywieźli ją Sowieci po aresztowaniu we Lwowie w lipcu 1940 r. Jej książka „W domu niewoli”, która ujrzała światło dzienne w Rzymie w roku 1956, była jednym z pierwszych świadectw z GUŁagu, wyprzedzającym o lata całe „Inny świat” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i „Na nieludzkiej ziemi” Józefa Czapskiego.

Nie mam wątpliwości, że jest również (z góry przyjmijmy, że niezbyt liczna) grupa miłośników poezji, znających przede wszystkim wiersze Beaty Obertyńskiej. Podejrzewam jednak, że najwięcej znajdziemy takich rodaków, którzy o Obertyńskiej nie wiedzą nic i nie czytali ani „W domu niewoli”, ani wierszy tej, jak się zdaje, niedocenionej i niesłusznie zapomnianej poetki.

Okazję, by przywołać jej strofy, stanowi wydanie w nowym PIW-owskim cyklu pt. „Poeci do kwadratu” (szatą graficzną nawiązującym do sławnej celofanowej serii przez lata wydawanej w tej oficynie) tomu „Tarta róża”, wyboru wierszy Obertyńskiej dokonanego przez znaną współczesną poetkę Annę Piwkowską i poprzedzonego jej wstępem. Piwkowska przedstawia drogę twórczą autorki „Miodu i piołunu”, akcentując najważniejsze fakty z jej życia: zesłanie w głąb Rosji, tułaczkę po „nieludzkiej ziemi” w poszukiwaniu polskiego wojska, służbę w armii gen. Andersa (PSK), wreszcie emigrację. Zwraca należytą uwagę na religijny aspekt prezentowanej poezji, tak dobitnie przemawiający do czytelników poematu „Grudki kadzidla” zaczynającego się od słów:

*Życie bez Ciebie, Miłości Wcielona,
cóż za opaczna Golgota!*



FOT. MUZEUM LITERATURY W WARSZAWIE / EAST NEWS

*Wzgórze, skąd w próżnię wyciąga ramiona
Samotny krzyż Złego Łotra...*

*Do dwóch się pytań zagadnienie zgniata
na boskie i ludzkie rachuby
cóżś mógł więcej dla rachunku świata?
Co więcej świat – dla swej zguby?*

*Świat się zatacza spity win oparem,
Obłąd mu z oczu wygląda...
Czy Ty ręce od niego cofnąłeś – za karę –
Czy on do Ciebie już ich nie wyciąga?*

Ważne miejsce w dorobku poetyckim Obertyńskiej zajmują wiersze, które najogólniej można by nazwać łagrowymi. Takie jak „Tajga”, „Workuta”, „Noc w uzbekim kołchozie”, „Peczora”. Korespondują one ze wspomnieniami autorki, w których Piwkowska doszukuje się nienawiści do Rosji, a także, „co u tak wrażliwej i religijnej osoby jak Obertyńska może dziwić”, do wszystkiego, co rosyjskie. „Także do towarzy-

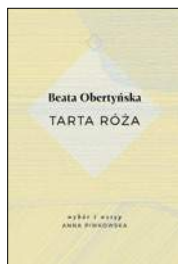
szek niewoli – powiada – jeśli są Rosjankami”.

W tym miejscu ośmielam się mieć inne zdanie. Po pierwsze, uważnie czytając, znajdziemy w „W domu niewoli” postaci Rosjanek wcale niezohydzone przez Obertyńską. Po drugie zaś, pozbawiona w jednej chwili domu, ojczyzny i niemal wszystkiego, co bliskie i drogie, poetka nie miała powodu, by zachwycać się przedstawiciel(k)ami narodu naszych kapryśnych słowiańskich sióstr i braci.

Jednak Anna Piwkowska, jak słyszę, tak się przy okazji układa, „Tartej róży” zachwycała poezją Obertyńskiej, że przymierza się do napisania biografii poetki. A taka jest potrzebna także dlatego, że życiorys miała Obertyńska niepospolity. Urodzona w roku 1898 w Skolem koło Lwowa była córką poetki Maryli Wolskiej i pioniera przemysłu naftowego w Galicji, a także wynalazcy, wizjonera, człowieka wielu talentów – Wacława Wolskiego. Jej babką była Wanda Monné, narzeczona Artura Grottgera, która po śmierci twórcy „Polonii” i „Lithuanii” wyszła za mąż za jego przyjaciela, też malarza, Karola Młodnickiego.

Przyszła autorka „W domu niewoli” miała czworo rodzeństwa – trzech braci i siostrę. Najstarszy brat Ludwik, któremu Władysław Bełza dedykował słynny „Katechizm dziecka polskiego” („Kto ty jesteś? Polak mały”), w 1919 r., w czasie wojny polsko-ukraińskiej, dostał się do niewoli i 1 kwietnia został przez Ukraińców rozstrzelany na rynku w Złoczowie wraz z grupą 24 Polaków.

Poetka za mąż, za ziemianina Józefa Obertyńskiego, wyszła rok wcześniej. Nie miała jeszcze 20 lat. Owidziała w roku 1937, sama zmarła w Londynie w roku 1980. Nie mieliśmy tak wielu twórców jej formatu, by pozwolić sobie wobec niej na grzech zapomnienia. ©©



★★★★★
**BEATA
OBERTYŃSKA
„TARTA RÓŻA”
PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY
2017**



DODATEK SPECJALNY

Piłsudski – ojciec ojczyzny

- **Polski fenomen JP1**
- **Legenda w rzeźbach i obrazach**
- **Legiony i ich Komendant**



POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna





Plac Zamkowy w Warszawie, 14 listopada 1920 r.,
uroczystość wręczenia Józefowi Piłsudskiemu buławy
marszałkowskiej FOT. NAC

SPIS TREŚCI

IV–XII MACIEJ ROSALAK POKOLENIE JP1

Dumy z polskości i służby ojczyźnie uczył Piłsudski. Taka postawa znów jest nośna, ożywia wyobraźnię, układa puzzle naszej kultury i tradycji

XIII–XV TOMASZ STAŃCZYK WIZUALIZACJA LEGENDY

O Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze oraz o tym, które powstaje od 2008 r. obok dworku Milusin w Sulejówku – dające do myślenia informacje i ilustracje

XVI–XIX PIOTR WŁOCZYK STRACIEŃCÓW LOSI!

Rozmowa z prof. Andrzejem Chwałbą, autorem pierwszej od wielu lat syntezy: „Legiony Polskie 1914–1918”, która wypełnia historiograficzną lukę





Sam „pisał historię”

W związku ze stuleciem odzyskania niepodległości przez Polskę (1918–2018) prezydent RP wymienił sześciu głównych ojców założycieli II Rzeczypospolitej. Byli to: Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Ignacy Jan Paderewski, Ignacy Daszyński, Wincenty Witos i Wojciech Korfanty. Dziś poświęcamy specjalny dodatek pierwszemu z nich. Nic nie ujmując pozostałym, właśnie Piłsudski – jako Naczelnik odradzającego się państwa i Naczelnny Wódz jego wojska – najbardziej zasługuje na pierwsze wśród nich miejsce. A kiedy spojrzymy wstecz na wielkich mężów w całych naszych dziejach, właśnie jego widzimy wśród największych.

Naprawdę wybitni mężowie stanu zdarzają się nieczęsto. Mało który polityk rzeczywiście potrafi odczytać tzw. znaki czasu, przenikliwie dojrzeć istotę rzeczy oraz zmienić bieg wydarzeń. Stworzyć historię, można by powiedzieć. „Historię swoją piszcie sami, bo inaczej napiszą ją za was inni, i będzie źle...” – wśród wielu trafnych i soczystych powiedzeń Komendanta to właśnie bodaj najbardziej pasuje do niego samego. Kto w naszych dziejach sam „pisał historię”? Zapewne pierwsi Piastowie, Mieszko i Chrobry, którzy wprowadzili nieznaną wcześniej kraj na arenę chrześcijańskiej Europy. Dalej wymieńmy ostatnich Piastów, Łokietka i Kazimierza, potrafiących scalić większość polskich ziem i uczynić z nich znów liczące się państwo. W zaszczytnym poczcie umieścimy dwóch wybitnych królów – polskich, choć obcej krwi: Jagiełłę wspartego radą krakowską i Batorego z wielkim kanclerzem Zamoyskim; budowniczych naszej największej potęgi. Chciałoby się wyliczyć tu jednym tchem również wodzów – Tarnowskiego, Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Koniecpolskiego, Czarnieckiego, Sobieskiego – ale przecież żadnemu z nich nie udało się przekuć wspaniałych zwycięstw w polu na trwałe dokonania polityczne. Kościuszkę zaś zapoczątkował nową epokę, ale bój o wolną Rzeczpospolitą przegrał...

Po stu latach z okładem powstała znów, przede wszystkim dzięki Piłsudskiemu. Musiał się on zajmować wojną i czynił to skutecznie. Oddał sprawie narodowej organizację bojową ruchu socjalistycznego, dowodził I Brygadą Legionów Polskich podczas ogólnoeuropejskiej wojny, „kulą wytoczył” granice odradzającego się państwa, wreszcie ocalił je (oraz Europę) przed bolszewizmem w bitwie uznanej za osiemnastą decydującą o losach świata. U schyłku życia on jeden trafnie ocenił niebezpieczeństwo ze strony Hitlera i jako jedyny wśród ówczesnych liderów politycznych Europy gotów był zdusić je w zarodku. Ów ciągle mało znany zamiysł wojny prewencyjnej też świadczy o jego niekłamanej wielkości. Już za życia usiłowano pomniejszyć jego zasługi, a w PRL chciano wydrzeć go ze zbiorowej pamięci. Na próżno. Postać Józefa Piłsudskiego, jak spłizniony pomnik wspartego na szablach, zadumanego wodza na placu jego imienia w polskiej stolicy, będzie trwać w świadomości rodaków. Jak punkt odniesienia, pocieszenie w złych chwilach, pamiątka, dług i morał. ©©



REDAKCJA:
Redaktor: Maciej Rosalak

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Włodzimierz Zakrzewski (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoedycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś
Okładka: East News

Józef Piłsudski na Kasztance
– malował Wojciech Kossak
FOT. MNW

Fenomen JP1

IV



Maciej Rosalak

Którego z ojców założycieli II Rzeczypospolitej, poza Józefem Piłsudskim, można byłoby uczcić posągiem konnym? Żadnego. Tylko on jeden łączył cechy prawdziwego męża stanu i wielkiego wodza

Nazwa „pokolenie JP1” przez analogię inicjałów nawiązuje do „pokolenia JP2”. Kryje się za tym jednak analogia znacznie głębsza. Być może niektórzy obruszą się na porównanie Józefa Piłsudskiego oraz Jana Pawła II, a także na gatunek wpływu, jaki wywarli na nasze społeczeństwo. Pierwszy był wszak przywódcą politycznym oraz wodzem wojskowym. Zwalczał przeciwników, a żołnierzom kazał zabijać, narażając ich samych na śmierć. Dążył do zwycięstwa w wymiarze jak najbardziej doczesnym.

Drugi był mężem ducha, jego misja obejmowała cały świat, a polegała na apostołskim głoszeniu Dobrej Nowiny, wyzwalaniu ludzkich serc i umysłów w miłości do Chrystusa. Nie nosił przemocy i potępiał wojnę. Nie miał ani jednej dywizji, ani jednego karabinu w arsenale, bo jego oręż stanowiły Słowo i modlitwa. To, jak skuteczna to broń, może ujrzał siedzący w piekle Stalin, autor lekceważącego zapytania: „A ileż to papież ma dywizji?”...

Ośmielamy się natomiast porównać postacie Józefa Piłsudskiego i Jana Pawła II w aspekcie znaczenia obu postaci dla Polski i Polaków, co uzasadnia ową analogię: JP1 i JP2. „Pokolenie JP2” łatwiej określić niż „pokolenie JP1”. Znakomita większość Polaków doskonale pamięta naszego papieża, a spośród tych, którzy dorastali tu – kiedy on był tam, w Rzymie – znaczna część ma stosunek do świata, do bliźniego, do filozofii życia zaszczycony przez jego właśnie nauki. Tę część, budzącą największe nasze nadzieje, nazywamy „pokoleniem JP2”.

Natomiast o „pokoleniu JP1” mogliśmy dotąd mówić w odniesieniu do dwóch generacji: tych, którzy pod rozkazami Komendanta wywalczyli i zbudowali przedwojenną Polskę, oraz tych w niej wychowanych, którzy podczas II wojny

światowej i po jej zakończeniu poświęcali życie, by ją odzyskać. Wrzesień, Katyń, Armia Krajowa, „Szare Szeregi”, Powstanie '44 – to święte mianowniki obu generacji. Łączyły je: duma z polskości, chęć pracy dla ojczyzny i gotowość poniesienia ofiar dla niej.

I oto taka postawa znów jest nośna, ożywia wyobraźnię, układa puzzle naszej kultury i tradycji. – Nie rezygnujcie z tego dziedzictwa! – wołał polski papież. Wygląda na to, że wielu ludzi z pokolenia JP2 go usłuchało. Dla nich zwłaszcza napisałem kilka opublikowanych poniżej rozdziałów...

KONSPIRATOR ZA MŁODU

Nasz bohater urodził się 5 grudnia 1867 r. w Żuławie, 60 km na północ od Wilna, jako syn Józefa i Marii z Bilewiczów Piłsudskich. Był to dzień św. Klemensa i dlatego imię to dodano do



Otwock – przedwojenny pomnik Józefa Piłsudskiego w parku. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

pierwszego – Józefa. W dzieciństwie żył dostatnio wśród dziesięciorga rodzeństwa w majątku liczącym 8 tys. ha, ale nietrafione inwestycje ojca i wreszcie ogromny pożar w lipcu 1875 r. skazały rodzinę na przeprowadzkę do Wilna i ubogą egzystencję. Dzieci, zwłaszcza starsze, wyniosły jednak z dworu pamięć sielskiego życia, znajomość języków obcych (dzięki wynajętym bonom), a nade wszystko wiedzę o pełnej dawnej chwały i niedawnych (1863, 1864) cierpieniu historii ojczyzny. Zawdzięczały to głównie matce i jej lekturom, wśród których znajdowały się dzieła wieszczów i Niemcewiczowskie „Śpiewy historyczne”...

Dorastający „Ziuk” poznał mieszkania w ubogich wileńskich dzielnicach oraz

biedę spauperyzowanej rodziny. Był czas, że nie mógł razem z bratem pójść na mszę świętą, bo dysponowali jedną tylko parą butów. Względne bezpieczeństwo ziemiańskiej siedziby oraz opiekę kochającej i uwielbianej matki zastąpiło carskie gimnazjum, niebywale opresyjne wobec polskich uczniów.

W kilkunastoletnim Piłsudskim dostrzegamy twardy charakter. Krnąbrny, porywczy chłopak miał poglądy w pełni ukształtowane przez patriotyczny dom. Możemy sobie wyobrazić, co czuł zmuszany do nauki i nawet rozmowy z kolegami po rosyjsku, do czytania i słuchania wykładu dziejów własnej ojczyzny zawartego w podręcznikach znienawidzonego najeźdźcy. To był cierń, który utkwił w umyśle Józefa Piłsudskiego i pozostał na lata. Jeszcze w „Roku 1920” – słynnej polemice z Michałem Tuchaczewskim – wspominał: „Ze wstrętem i obrzydzeniem rzucam w Wilnie książki tak znanych i docenianych w szkolnictwie rosyjskim autorów, jak Iłowajski. Tam uczono dzieci, jak wielkie moskiewskie cary »pańską Polskę« dobrodziejstwami darzyły. A ta »matieźna« – w każdym pokoleniu wiosnę swego życia krwawym powstaniem święci...”

Nic dziwnego, że został „konspiratorem za młodu”. Szczęście, jakie towarzyszyło jego poczynaniom, oraz cechy charakteru zapewniły mu zapewne dość znaczny autorytet u współtowarzyszy z tajnej biblioteki Spójnia. Chociaż starsi od „Ziuka”, to jemu właśnie powierzyli misję przekonania znanej primadonny, która odwiedziła Wilno z koncertami, by ofiarowała datek na wywrotową działalność gimnazjalistów. Wyobraźmy sobie przystojną, postawną damę i stojącego przed nią wyrostka w mundurku, z potarganą czupryną na jeża. A jednak ją przekonał.

Już wtedy musiało być w nim coś takiego, co ujmowało i kolegów, i niewiasty. Może po prostu urok osobisty. Może też owo „uparte trwanie polskości”, które porwało go za młodu i emanowało zeń po kres życia.

W czasie poprzedzającym noc listopadową Adam Mickiewicz napisał słynne ostrzeżenie kierowane do matek Polek swojego pokolenia i – jak się miało okazać – kilku następnych. W wierszu „Do matki Polki” nasz wieszcz z Litwy zawarł słowa:

[...] gdy u syna twego
W żrenicach błyszczą genjuszu świetność,

■ *Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
dawnych Polaków duma i szlachetność;
Jeśli rzuciwszy równników grono
Do starca bieży, co mu dumy pieje,
Jeżeli słucha z głową pochyloną
Kiedy mu przodków powiadają dzieje:
O, matko Polko! źle się syn Twój bawi!
Kłęknij przed Matki Bolesnej obrazem
I na miecz patrzaj, co jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przesyja razem! [...]*

Adresatką ostrzeżenia mogła też być trzydzieści kilka lat po napisaniu owych strof matka Józefa Piłsudskiego i jego braci, a zwłaszcza Bronisława i Jana. Wszyscy oni – gdy dorastali – brali udział w spiskach i demonstracjach wymierzonych w rosyjskiego cara, byli poszukiwani przez policję, inwigilowani i aresztowani. Jeszcze nie groziły im „suche drewna szubienicy”, ale przecież policja pilnie śledziła przejawy buntu u młodych polskich poddanych.

Zaczynała się druga dopiero dekada po „usmireniju polskowo miatieża” i parę lat zaledwie upłynęło po skutecznym zamachu na życie cara Aleksandra II, dokonanym, bądź co bądź, przez Polaka. Jeszcze żywe były teorie rosyjskich anarchistów, którzy ten zamach zorganizowali i w terrorze właśnie upatrywali sposobu na położenie kresu samodzierżawiu. Jak wspominał później nasz bohater, żywiłowo przyłączał się on do wszelkich poczyń, które mogły osłabić panowanie znienawidzonego najeźdźcy. I tak po raz pierwszy trafił do aresztu...

Nie złamało to niepokornego ducha. Niedługo młodzi Piłsudscy będą już mieli sprawę „gardłową”, oskarżeni o przygotowywanie zamachu na kolejnego cara, Aleksandra z numerem trzy. Ich matka nie dożyła ani tej sprawy, ani wcześniejszych aresztów. Zmarła w 1884 r., w wieku zaledwie 41 lat. Wątpliwe, czy później posłuchałaby ostrzeżenia wieszczka, skoro wcześniej sama – tak jak tyle matek Polek – synom „przodków powiadała dzieje” i „źle” im organizowała „zabawy”.

Postacie przewijające się w opowieści o młodym Józefie

Piłsudskim skłaniają do zadumy nad zadziwiającymi splotami ludzkich losów. Oto na przykład na pewnym momencie wiążą się ze sobą życiorysy braci Piłsudskich i braci Uljanow. Starszy brat Uljanow – Aleksandr, urodzony w 1866 r., był rówieśnikiem starszego z Piłsudskich – Bronisława. O rok młodszy Józef Piłsudski urodził się z kolei trzy lata przed Włodzimierzem Uljanowem. Aleksandra powieszono za przygotowanie zamachu na życie cara Aleksandra III, a obu Piłsudskich w tym samym procesie skazano na syberyjskie zesłanie. Włodzimierz zapałał chęcią zemsty za śmierć brata i rychło sam zaczął spiskować. Bronisław zajął się w Syberii etnografią, zyskał uznanie w świecie nauki, ruszył dalej na wschód – aż na Sachalin. Tam ożenił się z córką króla Ajnów.

Pamięć o nim nadal jest żywa w Japonii. Podobno znacznie bardziej niż o Józefie, choć ten po kilkunastu latach również przybył do Japonii, aczkolwiek z misją całkiem inną, bo militarną, a w kwiecie wieku zbudował niepodległe państwo polskie. To państwo usiłował zaś zniszczyć młodszy Uljanow, znany powszechnie pod ksywą Lenin.

Józef na szczęście udaremnił wtedy wysiłki Włodzimierza. Warto przypomnieć, że prawą ręką tego ostatniego – i to ręką skrawioną podczas rewolucji bolszewickiej tysiącami istnień ludzkich – był rodak i krajan Piłsudskich, Feliks Edmundowicz Dzierżyński. Urodził się 10 lat po Józefie stosunkowo niedaleko Żułowa, bo w Dzierżyniowie w rejonie Puszczy Nalibockiej. Również pochodził z polskiej rodziny ziemiańskiej, także wielodzietnej (siedmioro rodzeństwa), która zubożała i przeprowadziła się do Wilna. Chodził do tego samego gimnazjum co Piłsudscy, i – jakżeby inaczej

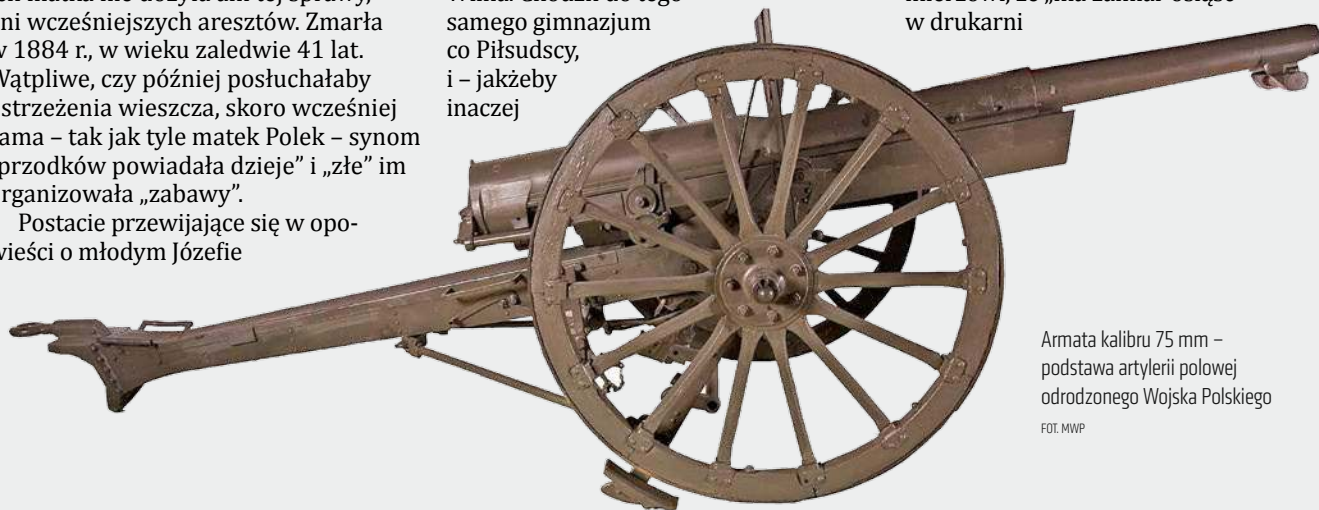
– tak jak oni zaczął pobierać niedozwolone nauki w kółku samokształceniowym, a następnie spiskować z socjalistami.

Historia przyznała rację Włodzimierzowi i Feliksowi – mówiono w PRL jeszcze trzy dekady temu. A jednak rozpadł się ich (po)twór ustrojowy i świat odetchnął z ulgą. Jak widzimy, nie należy się spieszyć z oceną dziejów (Czou En-laj twierdził nawet, że za wcześnie oceniać rewolucję francuską). Trudno też przewidzieć, co wyrośnie z różnych nasion, choć rzuconych w tym samym czasie na tę samą glebę.

SZLACHECKI SOCJALISTA

Niespełna 30-letni Józef Piłsudski po powrocie z Syberii tak był wymierzony, że nie poznała go własna siostra. Wileńskich wywrotowców też zapewne zaskoczył: tak był zawzięty i gotów poświęcić się działaniom przeciw carowi bez reszty. Dzięki temu stawał się przywódcą niemal automatycznie zarówno w Wilnie, jak i potem, w emigracyjnym oraz krajowym ruchu socjalistycznym. To skuteczność w pracy organizacyjnej oraz w wykuwaniu nowoczesnego na owe czasy oręża, jakim była nielegalna prasa, zwana już wówczas bibułą, przekonała towarzyszy, aby go utrzymywać, czyli – jak byśmy obecnie powiedzieli – zrobić pierwszym bodaj w Polsce „etatowym” działaczem partyjnym.

Brzmi to dla nas, obserwujących dzisiejsze życie polityczne, dość obrzydliwie, ale wtedy oznaczało rzeczywistą rezygnację z życia osobistego w imię racji nadrzędnych. Piłsudski nie używał zbędnych słów. O swoich projektach matrymonialnych powiedział latem 1899 r. braciom Janowi, Adamowi i Kazimierzowi, że „ma zamiar osiąść w drukarni



Armata kalibru 75 mm –
podstawa artylerii polowej
odrodzonego Wojska Polskiego

FOT. MWP

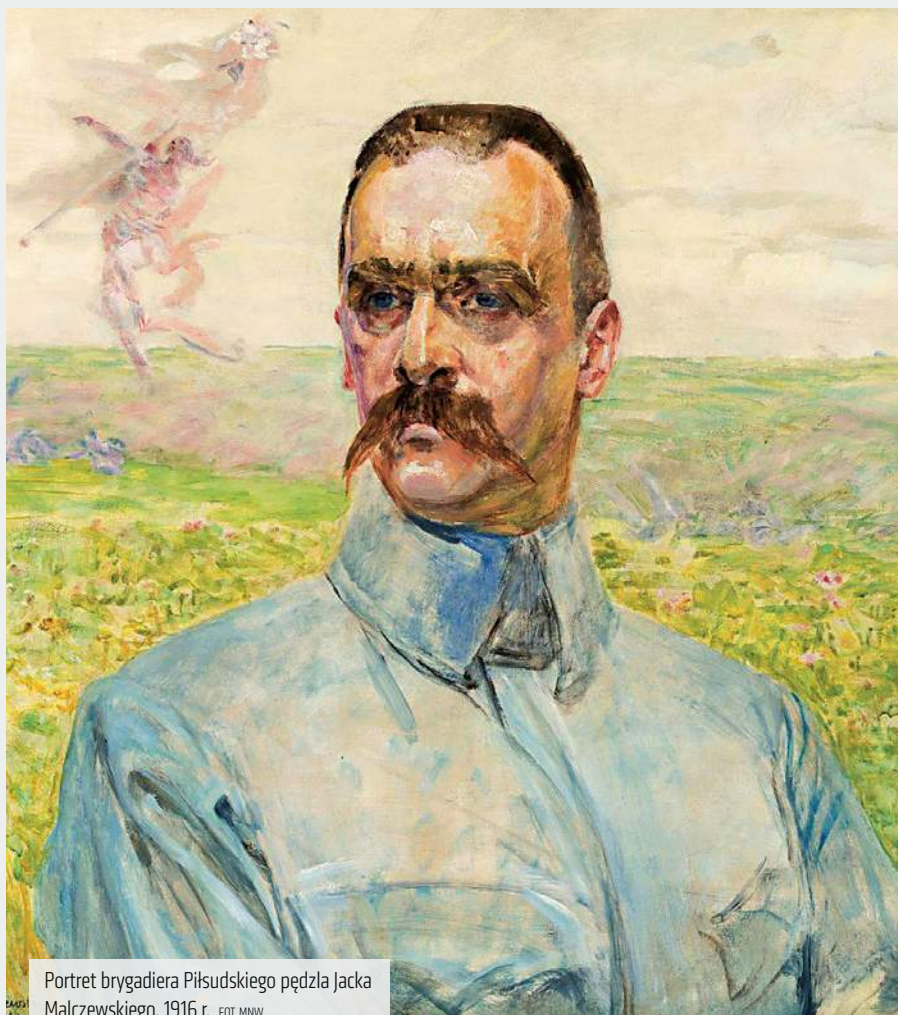
partyjnej (nie wymienił miejsca) i musi mieć osobę, która prowadziłaby gospodarstwo domowe. Osobą tą będzie Maria Juszkiewiczowa, w domu zwana Marysią (którą odbił, również starającemu się o jej rękę... Romanowi Dmowskiemu). Ślub odbędzie się, gdy tylko skończy się proces rozwodowy w Warszawie. Ziuk prosił braci, by zechcieli być jego świadkami. Według opinii Jana małżeństwo to wyglądało na małżeństwo z interesu, a nie z miłości”.

Można by powiedzieć, że Piłsudski ożenił się, aby mieć ugotowany obiad oraz pomoc w tajnej drukarni. Aby to osiągnąć, bez niepotrzebnych ceregieli zmienił wyznanie na protestanckie i trwał w nim kilkanaście lat. Pasuje to do człowieka studiującego materializm dialektyczny. Czy pasuje do polskiego romantyka?

A instrumentalnie potraktowana kobieta? Znow zacytuję: „Po wyspie drukarni w Łodzi Maria Piłsudska została stosunkowo łatwo zwolniona z Cytadeli warszawskiej, ponieważ była żoną oskarżonego. Gdyby nią nie była, odpowiadałaby za prowadzenie drukarni na równi z Piłsudskim”.

Gdyby Piłsudskiego nie ujeli żandarmi carscy w 1900 r., ale czekał bolszewiczcy 20 lat później, jego uwięzienie, przesłuchania oraz finał sprawy wyglądałyby wprost tragicznie... Wydarzenia z 1900 r. również stanowią jednak gotowy scenariusz porywającego filmu sensacyjnego z Józefem Piłsudskim w roli głównej. Nocne najście żandarmów w Łodzi, rewizja, aresztowanie obojga małżonków zajętych drukiem „Robotnika” i osadzenie ich w więzieniu. Przewiezienie męża do warszawskiej Cytadeli, przesłuchania, symulacja choroby psychicznej i eksperymentowanie oskarżonego na specjalistyczne badania do szpitala w Petersburgu. Nocna ucieczka. Przemierzenie w przebraniu połowy europejskiej części imperium. Wreszcie udane przekroczenie galicyjskiego kordonu...

Piłsudskiemu dopisywało zawsze niebywałe szczęście; wtedy szczególnie. Trafiał na polskich nadzorców i lekarzy, na oddanych przyjaciół, na odważne i ofiarne kobiety. Dzięki nim oraz – w nie mniejszym stopniu – własnej odporności psychicznej, męstwu i brawurze wyrwał się z więzienia. Warto jednak zwrócić też uwagę na sprzyjającą mu specyfikę carskiego wymiaru sprawiedliwości owej doby. Aresztant, zwłaszcza dobrze



Portret brygadiera Piłsudskiego pędzla Jacka Malczewskiego, 1916 r. FOT. MNW

urodzony, mógł liczyć na znośne warunki w celi, uprzejmość śledczego, opiekę lekarską, pomoc prawną.

Dwie dekady później, w Rosji Lenina i Stalina, wroga władzy spotkałyby tortury w śledztwie, smród, robactwo i głód w zatłoczonej celi. Finałem sprawy – jeśli nie zostałyby załuczony podczas przesłuchania – byłoby rozstrzelanie po trzyminutowej fikcji procesu bez prawa do obrony. W najlepszym razie – łagier i śmierć z zimna oraz niedożywienia, z rąk strażników bądź kryminalistów. Zestanie na Syberię za cara to były ferie zimowe w porównaniu z bolszewickim łagrem. Za bolszewików los Piłsudskiego byłby marny. Dobrze, że mógł się z nimi spotkać w polu, a nie w kazamatach Czecha.

Podczas rewolucji 1905 r. – która na polskich ziemiach trwała do roku 1907 i pochłonęła życie wielu patriotów z niepodległościowego skrzydła Polskiej Partii Socjalistycznej – organizowano liczne akcje ekspropriacyjne. Bez zdobycia tych podczas nich pieniędzy niemożliwe

byłoby: zakup broni, drukowanie bibuły, pomoc prawna dla aresztowanych, utrzymanie organizacji czy – co było dla socjalistów bardzo ważne! – wspomaganie rodzin represjonowanych, zwłaszcza zaś wdów i sierot po poległych oraz zamordowanych towarzyszach. W podległej Józefowi Piłsudskiemu Organizacji Bojowej PPS działał m.in. Walery Sławek, który w 1905 r. organizował napad na kasę w Sokołowie. Rok później, podczas ataku na pociąg pancerny pod Milanówkiem, wybuchła mu w rękach bomba karbonitowa. Stracił wówczas oko, palec (trzy w prawej dłoni, dwa w lewej) oraz ogłuchł na lewe ucho. Blizny po ranach na piersi zasłaniał oczywiście ubraniem, ale by ukryć je na twarzy, zapuścił brodę i nosił ją do końca życia. (Notabene, Piłsudski gęstymi wąsami zasłaniał brak przednich zębów wybitych kolbą żołdaka w irkuckim więzieniu).

Napad na pociąg, przeprowadzony dwadzieścia kilka kilometrów od Wilna, od poprzednich akcji OB PPS odróżnia to, że in personam wziął w niej udział



Medal okolicznościowy wybity dla uczczenia 10. rocznicy Bitwy Warszawskiej FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Głowa Marszałka dłuta Alfonsa Karnego FOT. MUZEUM PODLASKIE W BIAŁYMSTOKU



Jeden z licznych zegarków z podobizną Piłsudskiego na kopercie FOT. ARCHIWUM

■ i kierował przygotowaniami Józef Piłsudski. Co ważne, zarówno on, jak i jego najbliżsi współpracownicy – a szczególnie Kazimierz Sosnkowski – byli mocno zawiedzeni nieudaną rewolucją o charakterze w znacznej mierze klasowym i swoim w niej udziałem. Właśnie w 1908 r., jeszcze przed akcją pod Bezdanami, nie tylko wśród nich, lecz także w szerszych kręgach patriotycznie nastawionej młodzieży zyskiwała poparcie idea zbrojnego czynu narodowyzwoleńczego, jednym słowem: powstania. Wtedy też rodził się Związek Walki Czynnej. Właściwie trudno nawet orzec, czy Bezdany należy przypisać jeszcze Organizacji Bojowej PPS, czy już ZWC. Rozstrzygnąć tę kwestię tym bardziej trudno, że uczestnicy napadu należeli do obu organizacji, które zresztą początkowo nawet organizacyjnie się przenikały. W akcji pod Bezdanami – w której wzięło udział czterech przyszłych premierów RP: Piłsudski, Sławek, Prystor i Arciszewski – zdobyto 200 812 rubli 61 kopiejek.

Akcję tę, w której zginęło bądź zostało rannych kilku konwojentów, wypominało się Józefowi Piłsudskiemu, i wypomina niekiedy nadal, jako czyn terrorysty, a nawet zwykłego bandyty. Oskarżali oczywiście przeciwnicy polityczni Piłsudskiego. Z kolei jego zwolennicy uważali zbrojne zatrzymanie pociągu i zabranie z niego strzeżonej przez carskich żołnierzy kasy, należącej do rosyjskiego zaborcy, za przedsięwzięcie odważne i patriotyczne. Sam Piłsudski tak pisał przed napadem na pociąg w liście do Feliksa Perla, obarczając go zadaniem napisania nekrologu na wypadek śmierci: „Moneta! Niech ją diabli wezmą, jak nią gardzę, ale wolę ją brać jak zdobycz w walce, niż żebrać o nią u dziecienniałego z tchórz-

stwa społeczeństwa polskiego... Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Chcę zwyciężyć, a bez walki, i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką... Tyłem ludzi posłał na szubienicę, że w razie, jeśli zginę, to będzie naturalną dla nich, dla tych cichych bohaterów, satysfakcją moralną, że i ich wódz nie gardził ich robotą...”

W „WOJNIE LUDÓW”

21 lutego 1914 r. podczas odczytu w paryskim Towarzystwie Geograficznym ponad pół tysiąca osób usłyszało zaskakującą prognozę. Zanotował ją eser Wiktor Czernow. Otóż Piłsudski przewidywał w najbliższej przyszłości austriacko-rosyjską wojnę o Bałkany, wystąpienie Niemiec przeciw Rosji, za którą ujmie się Francja. Tej zaś nie zostawi bez pomocy Anglia, a gdy ich „siły okażą się niedostateczne, wciągnięta będzie po ich stronie Ameryka [...] Rosja będzie pobita przez Austrię i Niemcy, a te z kolei zostaną pobite przez siły... anglo-amerykańsko-francuskie”. Witold Jodko-Narkiewicz nie tylko potwierdził Rosjaninowi tę prognozę, lecz także dał następującą wykładnię: „W pierwszej fazie wojny jesteśmy z Niemcami przeciw Rosji. Druga faza wojny – jesteśmy z Anglią i Francją przeciw Niemcom”. Niebawem intuicja i zaskakująco trafna – jak się okazało – analiza polityczna brzmiała jak proroctwo. Odczytu słuchał też wzruszony („mam wodza!”) Bolesław Wieniawa-Długoszowski, a wizję Komendanta potwierdził m.in. Wacław Sieroszewski, który zresztą prowadził imprezę przy Boulevard Saint Germain.

Szlak I Kompanii Kadrowej, a następnie 1. Pułku Piechoty Legionów, a od 19 grudnia 1914 r. I Brygady Legionów wiodł od Kielc, Anielina i Lasek przez Ulinę do „krwawej Wigilii” pod Łowczówkiem. Latem 1915 r. – wraz z ofensywą mocarstw centralnych – również Legiony przemierzyły ziemię Polski centralnej i weszły na Wołyń. Na przełomie lat 1915 i 1916 wszystkie trzy brygady Legionów Polskich tam właśnie nareszcie wystąpiły razem. W podmokłym, poprzecinanym rzekami i strumieniami terenie walczyły niemal cały rok, odpierając Rosjan dążących do rozgromienia wojsk niemiecko-austriackich w Galicji od północnego wschodu.

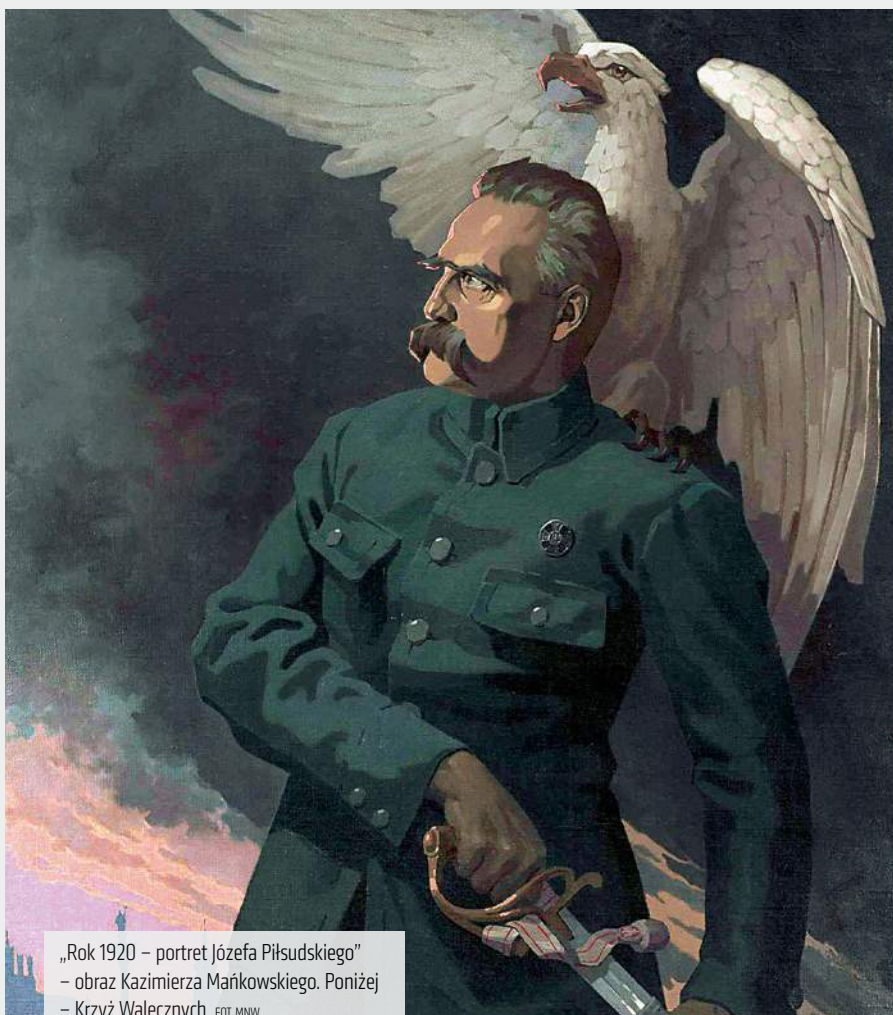
Polskie boje – w obronie i w natarciu – nie były tylko patriotyczną manifestacją ani mało znaczącym epizodem na ogromnym froncie, gdzie starły się potęgi monarchii zaborczych. Trzy brygady liczyły łącznie siedem pułków piechoty, dwa pułki kawalerii i pułk artylerii, czyli niemal 17 tys. żołnierzy na linii. Stanowiły pokaźny związek taktyczny; sporą siłę liczącą się w zakrojonych na dużą skalę planach operacyjnych. I tak też była ona wykorzystywana przy odpieraniu ataków Brusilowa, w zdobywaniu przyczółków nad Styrem i Stochodem, w obronie pozycji pod Kostiuchnówką w roku 1916.

To była największa, zwarta formacja polskich wojsk od czasów powstania listopadowego, a więc od 84 lat. O jej niebywałej wartości bojowej przesądzał ochotniczy zaciąg. Legioniści wiedzieli, za co się biją, chcieli się bić, gotowi byli na rany i śmierć. Taki żołnierz jest w boju niezrównany. Niemcy byli zachwyceni...

Zachwyt ich wzrósł zwłaszcza po bitwie pod Kostiuchnówką, największym i najbardziej krwawym boju Legionów. Piłsudski dowodził I Brygadą osobiście, wykazując rozwagę i męstwo w najbardziej dramatycznych momentach, budząc podziw i jeszcze większe przywiązanie wiernych mu podkomendnych. Najbardziej zacięte boje toczyły się w punkcie nazwanym właśnie Redutą Piłsudskiego. Większą batalię w polu Polacy stoczyli poprzednio 85 lat wcześniej, w maju 1831 r. pod Ostrołęką. Także z Rosjanami.

Na pułki legionowe spada pod Kostiuchnówką główne uderzenie rozpoczętej właśnie przez Brusilowa ofensywy, która ma odwrócić losy wojny na froncie wschodnim. To bodaj ostatnia z wielkich kampanii przedsięwziętych przez Rosjan, kiedy udało im się zgromadzić wielką liczbę ludzi i sprzętu oraz wykrzesać autentyczny zapal w przegrywającej na ogół dotąd, źle zaopatrzonej, trapionej głodem i chorobami armii. Na odcinku Legionów Rosjanie dysponowali przewagą w stosunku czterech do jednego. Jak zwykle w tej wojnie sąsiednie oddziały nie wytrzymały ataku; uciekli również bitni zazwyczaj węgierscy honwedzi (żołnierze obrony krajowej królestwa Węgier). Wielu padło wrogów, wielu także legionistów. Polska formacja pozostała jednak zwarta.

Zauważmy też, że z Kostiuchnówką wiąże się nie tylko wojenne dokonanie Komendanta, lecz także dalsze jego dzia-



„Rok 1920 – portret Józefa Piłsudskiego”
– obraz Kazimierza Mańkowskiego. Poniżej
– Krzyż Walecznych FOT. MNW

łanie godne prawdziwego męża stanu. Oto doprowadził on do sytuacji, w której polski żołnierz czynem udowodnił prawo do ojczyzny, ale nadal jego ofiarności – w niemieckim głównie interesie – wykorzystywać nie pozwolił. Prawdziwy przyszły Wódz Naczelny.

O dymisję z Legionów Piłsudski wystąpił po bitwie pod Kostiuchnówką powodowany gniewem i rozżaleniem z powodu wielkich strat, jakie poniosły jego walczone pułki, niedobrozone, źle zaopatrywane i na dodatek wystawione przez dowództwo austriackie na unicestwienie. Powodował się też odpowiedzialnością dowódcy, który – aby uniknąć krwawych łań w przyszłości – chciał większej samodzielności Legionów i pełnego dostępu do broni, amunicji, mundurów i strawy. Nade wszystko jednak powodował się kalkulacją polityczną.

Wedle jego żądań Legiony miały prze-
rodzić się w prawdziwe wojsko polskie, ■



podległe polskiemu rządowi, walczące o niepodległość Polski jasno zagwarantowaną przez mocarstwa centralne. Jesienią 1916 r. Niemcy i Austriacy godzili się na ustępstwa. Tymczasowa Rada Stanu i jej komitet wykonawczy zyskały niektóre funkcje władz państwowych, a cesarz austriacki zgodził się nawet wyodrębnić Galicję z myślą o przyszłym połączeniu z Królestwem Polskim. Wreszcie aktem 5 listopada oba mocarstwa zapowiedziały utworzenie naszego państwa.

Piłsudskiego wszędzie witały owacje tłumów, a do jego powozów zaprzęgali się młodzi ludzie. Nasz bohater był jednak jak wilk z bajki Mickiewicza, który szybko dostrzegł psią obróbkę: austriacki korpus posiłkowy i niemiecki Polnische Wehrmacht zamiast Legionów... Dostrzegł też nowy układ geopolityczny po rewolucji lutowej w Rosji i gotowych na przystąpienie do wojny Stanach Zjednoczonych. Był twardy na przekór nie tylko dotychczasowym sojusznikom germańskim, lecz także euforii znacznej części naszego społeczeństwa.

Żołnierze natomiast dowiedli, jak bardzo ufają swemu Komendantowi. Odmówili przysięgi, która miała zostać złożona obcym monarchom, i jak on do Magdeburga, tak oni trafili do obozów w Beniaminowie i Szczypiornie. Inni czekali nań w tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Historia rychło dowiodła, jak słuszne były jego gniew, upór i kalkulacje. Jesienią 1918 r. wrócił do Warszawy jako Wódz i Naczelnik całego narodu.

PATER PATRIAE

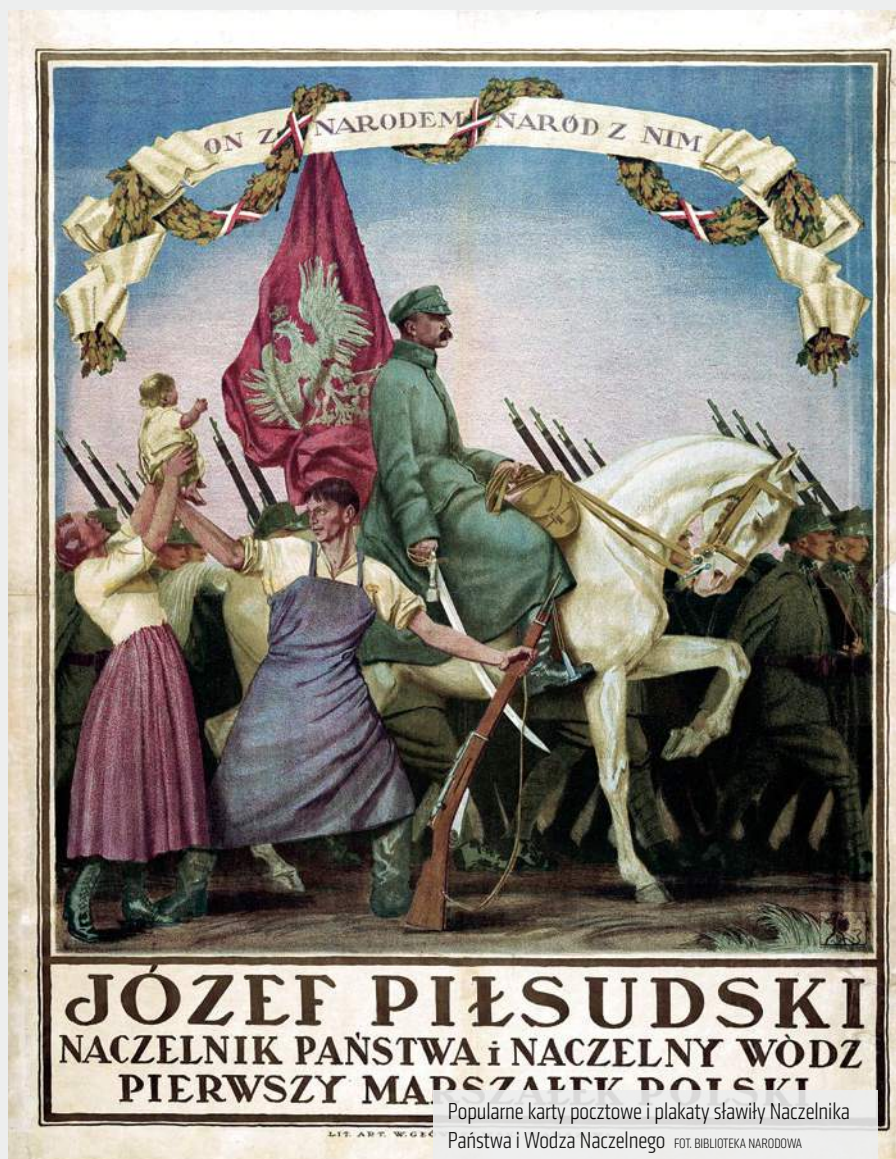
Zabiedzony, niemłody już, bo ponad 50-letni Piłsudski przybył z Magdeburga do Warszawy. W mglisty poranek 10 listopada 1918 r. oczekiwało go na Dworcu Wiedeńskim – tam, gdzie dziś jest stacja metra Centrum – zaledwie dziewięć osób. Poznano Piłsudskiego już na dworcu, a tłumy rychło obległy pensjonat panny Romanówny przy ul. Moniuszki 2, gdzie się zatrzymał. Przyjezdny tylko dlatego znalazł dach nad głową, że Niemcy nocą zawiadomili o wysłaniu pociągu regenta księcia Zdzisława Lubomirskiego, ten zaalarmował komendanta naczelnego POW Adama Koca, a ów z kolei wynajął lokum u wspomnianej panny, też peowiażki zresztą. Tutaj gościa nakarmiono i zamówiono dlań zmianę bielizny, bo nawet tej nie miał po prawie półtorarocznym pobycie w twierdzy. Tak wyglądał powrót człowieka, w którym

widziano męża opatrnościowego, jedynego, który mógł sprostać wyzwaniom dramatycznej dziejowej chwili.

Piłsudski pracował niemal bez przerwy. W kalendarium jego życia Wacław Jędrzejewicz zanotował: „Gdy Piłsudski zakończył pracę o godzinie 1 już 13 listopada, zaszła konieczność wezwania lekarza. Doktor Michał Dehnel, który przybył o godzinie 3, stwierdził stan silnego wyczerpania. Zaaplikował odpowiednie leki i zalecił wypoczynek. Mimo to już następnego dnia rano Komendant podjął obowiązki”. Już 10 listopada skłonił Niemców do kapitulacji i opuszczenia centralnej Polski, 11 listopada przejął z rąk Rady Regencyjnej komendę nad wojskiem, a 14 listopada – władzę cywilną. Kilka dni później powołał rząd Jędrzeja Moraczewskiego, radiogramem wysłanym z ponemieckiej radiostacji na Cytadeli zawiadomił świat o powstaniu

Republiki Polskiej, wydał najpilniejsze dekrety, w tym o wyborach do Sejmu. Odbłyły się one 26 stycznia 1919 r. W tym czasie trzeba było walczyć z Ukraińcami o Galicję, z Niemcami o Wielkopolskę, Śląsk i Pomorze, z bolszewikami o Wilno i wreszcie nawet z Czechami o Śląsk Cieszyński...

Szef sztabu odsiecz dla Lwowa Jerzy Błeszyński-Ferek wspominał: „Leciliśmy do Lwowa na skrzydłach entuzjazmu wywołanego uzyskaniem po ciężkim przełomie państwowej niepodległości, swobodą formowania się w pułki brutalnie zlikwidowane przez zaborców, powrotem ukochanego Komendanta, który z Warszawy patrzył na nasze pierwsze w wolnej Polsce czyny. Nie było dla nas nic trudnego i nie było przeszkody niemożliwej do zwalczenia”. To takim ludziom Polska zawdzięcza odzyskanie niepodległości, wywalczenie granic





Marszałek Piłsudski gromiący bolszewika, tak jak w XVII w. król Sobieski Turka. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

i odbudowę po wielkiej wojnie. Opatrzność okazała się nareszcie przychylna po 123 latach zaborów i dała im wodza na miarę czasu.

Pierwsze dwa lata państwa polskiego, odradzającego się po stuleciu nieistnienia, przypominają zaiste czas formowania się kontynentów na ziemskim globie. Rzadko kiedy – i w geologii, i w naszej historii – występowały tak potężne siły, niszczycielskie i sprawcze zarazem. Działo się dużo i w szalonym tempie, a skutek pozostawał nieznany. I rzadko kiedy, a w polskich dziejach bodaj nigdy przedtem, tak wiele nie zależało od jednego człowieka, jego rozumu, siły woli, umiejętności organizacyjnych, charyzmy i zdolności przewidywania.

Dzieło tworzenia Rzeczypospolitej budziło ogromne nadzieje, ale i ogromną niepewność. Wszystko było możliwe w ów czas, kiedy zwalały się trony, nie-

znana wcześniej rewolucja na rozległym subkontynencie rosyjskim wywoływała u jednych grozę, u drugich euforię, a cywilizowane demokracje niezdarnie usiłowały uporządkować świat.

Jak mogłaby wyglądać Polska, gdyby Polacy pod przewodnictwem nie tylko Piłsudskiego, lecz także Dmowskiego, Paderewskiego i Korfatego nie zdołali wziąć spraw we własne ręce? Gdyby nie walczyli od pierwszych dni i miesięcy – we Lwowie, w Wielkopolsce, na Śląsku, Kresach, a także w Wersalu? Gdyby nie ruszyli z Piłsudskim na Kijów; nie podbijali Ukraińców, lecz wraz z nimi odsunąć śmiertelne niebezpieczeństwo moskiewskie? Otóż gdyby pozostali bezczynni i potulnie czekali na to, co im przyniesie rozgrywka między Anglikami a Francuzami, to nasze nowe państwo byłoby zapewne kadłubkiem. Składałyby się na nie: Mazowsze z częścią Podlasia,

zachodnia Małopolska, Wielkopolska niekoniecznie z Poznaniem, parę kopalni na Górnym Śląsku i jakaś nitka wzdłuż Wisły łącząca Płock z Gdańskiem.

To coś, przypominające w zarysach Księstwo Warszawskie, najdalej latem 1920 r. padłoby łupem bolszewików, a Lloyd George palcem w bucie by nie kiwnął w jego obronie. Niszczycielskie żywioły i moc sprawcza. Polacy napisali po prostu wtedy sami własną historię.

Obywatela, który ocalił państwo, starożytni Rzymianie obdarzali zaszczytnym tytułem pater patriae – ojciec ojczyzny. Na taki właśnie tytuł zasłużył w sierpniu 1920 r. Piłsudski. Nie można kwestionować ani autorstwa, ani wykonawstwa genialnego, choć ryzykownego planu strategicznego stworzonego przez Piłsudskiego. Pod jego wodzą Polacy pobili wroga, pomścili przodków ginących niegdyś pod ciosami Suworowa i Paskiewicza, ocalili Polskę, a zapewne także Europę.

Pogrom bolszewików był drugoczący. Ci, którzy dopiero co chcieli „po trupie białej Polski” zanieść rewolucję na zachód, uciekali w popłochu na wschód, okrążani, rozbijani, poddający się tysiącami i rzucający w panice broń. Dwóch utalentowanych, kompetentnych i lojalnych współpracowników polskiego wodza – francuski doradca gen. Maxime Weygand i polski szef sztabu gen. Tadeusz Jordan Rozwadowski – podkreślali wiodącą rolę Piłsudskiego w zwycięstwie. Przypomnę jeszcze słowa młodego de Gaulle’a, który jako polski major na ochotnika walczył w zgrupowaniu nad Wieprzem: „Ofensywa rozpoczęła się świetnie. Grupa manewrowa, którą dowodzi szef państwa Piłsudski [...] szybko posuwa się naprzód. [...] Tak, to jest zwycięstwo kompletne, triumfujące zwycięstwo”.

Wygrana była możliwa także dzięki nieugiętej obronie stolicy na wschodnim przedpolu, udanemu natarciu znad Wkry, bohaterskiej obronie Płocka na północy i Lwowa na południu. Jak pisał de Gaulle: „Wierne wojska polskie, których wyższe kadry były jednymi z najlepszych na świecie, odczuwają natychmiast, że silna i logiczna wola ma zamiar skoordynować wysiłki. [...] Jeszcze zanim rozpoczęła się bitwa, czuję, jak tych żołnierzy znaczą powiew zwycięstwa...”.

Czy Polska przetrwałaby bez tego zwycięstwa? A jeżeli nawet, to co to byłaby za Polska w postaci sowieckiej republiki? Czy dziś mówilibyśmy po



Pomnik konny Józefa Piłsudskiego ustawiony przed wojną w Tarnopolu FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

■ polsku? A jakaż byłaby Europa z komunistycznymi Niemcami i ze zrewoltowanymi masami obalającymi wraz z hordami Tuchaczewskiego rządy nad Sekwaną, Tybrem i Tamizą? W tym kontekście Józef Piłsudski jawi się jako pater patriae Europae...

Gdyby nawet pominąć wszystkie inne jego zasługi dla ojczyzny, a tylko tę jedną – pogrom bolszewików pod Warszawą – wziąć pod uwagę, to i ona wystarczy, aby uznać Józefa Piłsudskiego za jednego z największych Polaków w dziejach. Którego z ojców założycieli II Rzeczypospolitej, poza Józefem Piłsudskim, można byłoby uczcić posągiem konnym? Żadnego. Tylko on jeden łączył cechy prawdziwego męża stanu i wielkiego wodza.

SZKODA, ŻE NIE DOŻYŁ...

Józef Piłsudski istotnie mógł się obawiać, że gabinet powołany 10 maja 1926 r. z Wincentym Witosem na czele nie sprostą kryzysowi wewnętrznemu, a zwłaszcza niezwykle groźnym wyzwaniom geopolitycznym po Locarno, kiedy Rosja bolszewicka zacieśniła stosunki z Niemcami, a mocarstwa zachodnie de facto cofnęły gwarancję bezpieczeństwa naszych granic. Mógł się więc obawiać o dzieło swego życia: polską niepodległość.

Czy Piłsudski jeszcze raz zbawił Polskę? W rzeczy samej: po przewrocie państwo było sprawnie zarządzane, poprawiła się jego sytuacja finansowa, polepszył się byt zwykłych ludzi, przygasły animozje społeczne i narodowościowe, a na arenie międzynarodowej znowu zaczęto się z Polską liczyć. Obywatele w większości

przewrót poparli. No i niemal całe kochające Komendanta wojsko stało się znów jednolitą siłą.

Czasem wysuwa się jednak argument, że sam Marszałek nie chciał władzy, bo zrzekł się funkcji prezydenta. Nie bądźmy dziećmi. Od połowy maja 1926 r. aż do samej śmierci dokładnie dziewięć lat później Piłsudski rządził krajem, i to wcale nie tylko wtedy, gdy zajmował stanowisko szefa rządu. To on wydawał dyspozycje prezydentowi, premierom i ministrom przez siebie zresztą wskazanym. Nasuwają się też pytania o osobistą urazę jako przyczynę marszu na Warszawę. Fakt, małostkowe ambicje kilku generałów prowadziły do obdzierania Marszałka z należnych mu zasług, a Witos prowokował go lekceważącymi uwagami, ale czy to wystarczający powód do zamachu stanu? Albo: Czy Piłsudski rozumiał właściwie istotę demokracji? On, który zżymał się na pomysł zastąpienia wojskowego cywilem na stanowisku ministra obrony... Czy wreszcie cokolwiek może do końca usprawiedliwić zakłócenie porządku demokratycznego? Dziś niektórzy twardo mówią: nic nie usprawiedliwia!

A gdyby znów został zagrożony byt naszego państwa? Czy nie spoglądalibyśmy z nadzieją na most Poniatowskiego i dalej, w stronę Sulejówka? Tylko że tam już on nie mieszka...

Co Józef Piłsudski uczyniłby w 1939 r., gdyby jeszcze żył? To jedno z najbardziej pasjonujących pytań z gatunku „Co by było, gdyby...”

W 1934 r. sędziwy Komendant wzywa najwyższych rangą dowódców oraz szefów naszej dyplomacji i pyta, któ-

rego niebezpieczeństwa powinniśmy się bardziej obawiać: ze wschodu czy z zachodu. Właśnie zawarte układy o nie-agresji z ZSRS i z III Rzeszą porównuje do dwóch stołków. I wtedy pada słynna kwestia: „Z którego spadniemy najpierw? I kiedy?”

O tych stołkach mówił, jak się zdaje, przy różnych okazjach. Faktem pozostaje, że z właściwą sobie dosadnością celnie określił sytuację Polski. Nie dowierzał ani na jotę pokojowym frazom Stalina i Hitlera, spodziewał się po nich złamania najbardziej uroczystych traktatów i zbrojnej napaści przy pierwszej okazji. Balans równowagi między obydwojma zbrodniarzami, umacnianie sojuszu z Francją i Rumunią, rozwijanie własnej armii, unikanie przyjęcia pierwszego uderzenia – oto co pozostawało Polsce po odrzuceniu przez Francję propozycji prewencyjnej wojny z Hitlerem, jaką Marszałek złożył w 1933 r. Troska ostatnich lat Piłsudskiego dotyczyła go dziny prawdy w obliczu nieuniknionego napadu sowieckiego albo niemieckiego na nasz kraj, mający bez porównania mniejszy potencjał przemysłowy i militarny od każdego z agresorów.

Co uczyniłby w 1939 r.? Nie dowiemy się nigdy, ale przestrzegałbym przed modną obecnie teorią, że należało przyjąć ofertę Ribbentropa z końca 1938 r. i iść z Niemcami na Rosję. Rzeczom Piłsudski, sojusznik Niemców z I wojny światowej (bzdura!), byłby do tego skłonny. Tymczasem w rzeczywistości przed śmiercią ostrzegał przed nawiązaniem sojuszu z którymkolwiek z sąsiadów, co prowadziłoby do wasalizacji Rzeczypospolitej. Doskonale wiedziałby poza tym, że po korytarzu pomorskim Hitler zażądałby Śląska i Wielkopolski. On, ojciec ojczyzny, miałby się na to zgodzić?! Nigdy.

Przypuszczam, że gdyby ten wielki człowiek cieszący się niekłamany autorytetem w Europie żył, to nie dopuściłby przede wszystkim do Monachium. Jeśli nie, to zamiast zajmowania Zaolzia może przekonałby Czechów do wspólnej walki... Jeżeli nie, to wymusiłby na aliantach bardziej praktyczną pomoc. Opóźniłby wybuch wojny. A jeśli już, to ustawiłby armię i dowodziłby o niebo lepiej od pozbawionego wyobraźni strategicznej „Śmigłego”. Wielbiciele Marszałka mówią czasem przy okazji Września: „Dobrze, że tego nie dożył!”. Może szkoda...

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Nowe muzeum powstające w Sulejówku
– widok z góry FOT. PLATIGE IMAGE

W Belwederze i w Sulejówku

Dwa muzea Marszałka – tam, gdzie żył i pracował



Tomasz Stańczyk

Kilka miesięcy po śmierci Marszałka, w styczniu 1936 r., Sejm uchwalił ustawę powołującą do życia Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze, nazwanym w tym akcie prawnym „przybytkiem narodowym”. Lokalizacja muzeum narzucała się sama. Belweder był wszak siedzibą Piłsudskiego jako naczelnika państwa w latach 1918–1922. Od 1926 r. zamieszkał w nim ponownie, wraz z żoną i córkami, i tu zmarł w maju 1935 r., w swoim ulubionym pokoju narożnym

Muzeum otwarto w czerwcu 1936 r. W salach na parterze mieściła się ekspozycja pokazująca kolejne rozdziały życia Józefa Piłsudskiego, na piętrze można było zwiedzać jego gabinet i sypialnię oraz pokój operacyjny związany z wojną polsko-bolszewicką. To właśnie tam Piłsudski podjął jedną z najtrudniejszych decyzji, pracując w nocy z 5 na 6 sierpnia 1920 r. nad ostateczną wersją rozkazu kontruderzenia znad Wieprza, przełomowego momentu Bitwy Warszawskiej. Pamiątką śmierci Marszałka był zachowany żałobny wystrój Sali Pompejańskiej, zamienionej w kaplicę, w której była wystawiona trumna.

W muzeum prezentowano także liczne dary, jakie otrzymał Marszałek. Z Magdeburga został sprowadzony i umieszczony koło Belwederu domek, w którym Piłsudski był więziony przez Niemców w latach 1917–1918.

We wrześniu 1939 r. kustosz muzeum, płk Adam Borkiewicz, polecił spakować najcenniejsze pamiątki związane z Marszałkiem, by wywieźć je za granicę i uchronić tym samym przed zagarnięciem przez Niemców. Były wśród nich: mundur, buława, szable, pistolet

■ browning, klucze Wilna, pierścień z wizerunkiem Kościuszki, który otrzymał Piłsudski po objęciu stanowiska naczelnika państwa, ryngraf od uczestników pierwszego patrolu Beliny, listy i rękopisy. Pamiątki te trafiły poprzez Rumunię do Francji, a następnie do Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Córki Marszałka, Wanda Piłsudska i Jadwiga Jaraczewska, zdecydowały w 2004 r. o przewiezieniu ich do kraju. Pamiątki są dziś własnością Fundacji Rodziny Marszałka Józefa Piłsudskiego. Reszta zbiorów Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze została podczas II wojny światowej rozproszona i w ogromnej mierze zniszczona.

POWRÓT DO MILUSINA

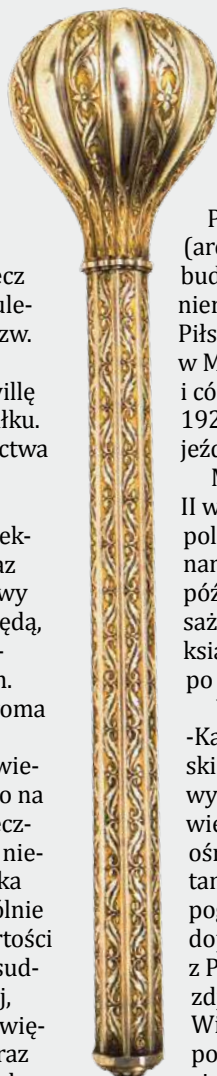
Po powrocie na początku lat 90. z uchodźstwa do Polski córki Marszałka długo starały się o zwrot dworku Milusin, domu Piłsudskich w Sulejówku. W 2004 r. miasto przekazało fundacji dworek wraz z otaczającym go terenem. Cztery lata później, w przededniu 90. rocznicy odzyskania niepodległości, 10 listopada 2008 r., w Milusinie została zawarta umowa o utworzeniu i współprowadzeniu Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Podpisali ją: Jadwiga

Jaraczewska, córka Marszałka reprezentująca Fundację Rodziny Marszałka Józefa Piłsudskiego, oraz minister kultury i dziedzictwa narodowego Bogdan Zdrojewski.

Fundacja Rodziny Józefa Piłsudskiego przekazała na rzecz muzeum grunty i budynki w Sulejówku; oprócz Milusina także tzw. Drewniak – pierwszy dom Piłsudskich w tej miejscowości, willę Bzów oraz pamiątki po Marszałku. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zapewniło finansowanie budowy w Sulejówku, w sąsiedztwie Milusina, kompleksu muzealno-edukacyjnego oraz działalności muzeum. Zabytkowy dworek i nowoczesny gmach będą, według określenia wnuka Marszałka, dyrektora muzeum arch. Krzysztofa Jaraczewskiego, dwoma sercami muzeum.

Misją muzeum są: przedstawienie biografii Józefa Piłsudskiego na szerokim tle historyczno-społecznym, zachowanie materialnej i niematerialnej spuścizny Marszałka oraz upowszechnianie, szczególnie wśród młodego pokolenia, wartości wyznawanych przez Józefa Piłsudskiego, a więc dumy narodowej, postawy patriotycznej, poświęcenia w pracy i walce oraz szacunku dla polskich tradycji. Muzeum

stanie się przestrzenią, w której historia oraz tradycja



będą inspiracją do dyskusji na tematy wciąż ważne i aktualne dla Polaków.

Zabytkową, historyczną częścią muzeum będzie dworek Piłsudskich Milusin w Sulejówku (arch. Kazimierz Skórewicz), wybudowany w 1923 r. ze składek żołnierzy jako dar dla marszałka Józefa Piłsudskiego. Marszałek mieszkał w Milusinie wraz z żoną Aleksandrą i córkami: Wandą i Jadwigą w latach 1923–1926. Po roku 1926 często jeździł do Sulejówka na wypoczynek.

Milusin przetrwał nienaruszony II wojnę światową. W 1947 r. na polecenie wiceministra obrony narodowej, gen. Piotra Jaroszewicza, późniejszego premiera, całe wyposażenie dworku – meble, obrazy, książki – zostało wywiezione. Ślad po nim zaginął.

W 2014 r. Katarzyna Jaruzelska-Kastory z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku odnalazła część wyposażenia w pałacu w Helenowie pod Warszawą – wojskowym ośrodkiem wypoczynkowym. Na ślad tam prowadzący naprowadziła pogłoska, że w pałacu jest prawdopodobnie jakiś obraz związany z Piłsudskim oraz współczesne zdjęcie z uroczystości w pałacu. Widać było na nim amforę bardzo podobną do tej, która znajdowała się w Milusinie. Kiedy pracownicy muzeum przyjechali do pałacu w Helenowie, okazało się, że znajdują się tam obrazy z Milusina: „Widok Ostrej Bramy” Ignacego Pinkasa oraz „Staw w parku” Kazimierza Stabrowskiego. W pałacyku były także wywiezione z dworku meble: stół, kanapka, dwa fotele i trzy krzesła – w stylu Ludwika XVI – oraz inne elementy wyposażenia: świeczniki empirowe, amfora i niewielka rzeźba. Ministerstwo Obrony Narodowej w 2015 r. zwróciło zabytkowe przedmioty Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego.

Niestety, jest to jedyna do tej pory odzyskana część wyposażenia Milusina. A koncepcja muzeum przewiduje, że wnętrza dworku mają wyglądać tak jak wówczas, gdy mieszkał tam Marszałek z rodziną – mają oddawać atmosferę ich życia. Nadzieja na odkrycie pozostałego wyposażenia ciągle jest, lecz zapadła już decyzja o wykonaniu, na podstawie przedwojennych zdjęć, kopii biurka Piłsudskiego i szafy bibliotecznej. Na



Talia kart, którą Marszałek stawiał pasjanse. U góry – buława marszałkowska wręczona Naczelnemu Wodzowi 14 listopada 1920 r. FOT. FUNDACJA

RODZINY JOZEF PIŁSUDSKIEGO

aukcjach i w antykwariatach kupowane są przedmioty takie same jak te, które były do 1947 r. w Sulejówku, lub bardzo do nich zbliżone, np. lampy i tkaniny, książki.

WNUK PROJEKTANTEM MUZEUM DZIADKA

W sąsiedztwie dworku oraz otaczającego go ogrodu, który zostanie odtworzony, powstaje budynek muzealno-edukacyjny, zaprojektowany przez Krzysztofa Jaraczewskiego oraz Radosława Kacprzaka. Kamień węgielny został wmurowany w listopadzie 2016 r., w obecności prezydenta Andrzeja Dudy i wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego.

Znaczna część gmachu muzealnego zostanie ulokowana pod ziemią, by jego bryła nie przytłaczała zabytkowego dworku. Na wystawie stałej zostaną wykorzystane techniki multimedialne. Najważniejsze będą jednak eksponaty, w tym pamiątki po Józefie Piłsudskim, na czele z buławą i mundurem marszałkowskim, szablami, chorągwią głowy państwa okrywającą trumnę Marszałka podczas pogrzebu. Na wystawie znajdą się także szkatułka z kartami do pasjansa, który lubił stawiać Marszałek, a także zakupione na aukcji antykarycznej unikatowe dokumenty rosyjskie dotyczące aresztowania i zesłania Piłsudskiego.

To właśnie zabytkowe eksponaty będą poruszać zwiedzających i wokół nich bę-

dzie koncentrowała się narracja wystawy stałej. Składać się ona będzie z sześciu galerii. Pięć przedstawi kolejne okresy życia Józefa Piłsudskiego. Tytuły tych galerii to: „Ziuk”, „Wiktor”, „Komendant”, „Naczelnik” i „Marszałek”. Szósta galeria – „Symbol” – opowie o dziedzictwie myśli Marszałka i o szczególnym autorytecie, którym cieszył się za życia i po śmierci. Wystawę stworzą: największy projektant przestrzeni muzealnych na świecie (Ralph Appelbaum Associates Inc.) i wiodące polskie firmy (WXCA sp. z o.o. i Platige Image SA).

Gmach muzealno-edukacyjny jest w trakcie budowy. Jego ukończenie i otwarcie wystawy stałej nastąpią najprawdopodobniej w 2019 r. Czekając na ten moment, Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku prowadzi wiele przedsięwzięć. Należą do nich: Klub Nauczyciela Historii, lekcje muzealne, gry miejskie, programy dla najmłodszych odbiorców („Mieszkańcy spod jedenastki”). Muzeum jest współorganizatorem ogólnopolskiej olimpiady dla młodzieży „Losy żołnierza i dzieje oręża polskiego”. Na ulicach miast pojawiają się wystawy plenerowe („Wojna światów”, „Każdy się liczy”, „Drogi do Niepodległej”, „Co na to Marszałek?”).

Od 2013 r. muzeum organizuje akcję „Mamy Niepodległą!” zachęcającą Polaków z kraju i zagranicy do radosnego świętowania 11 listopada, narodowego Święta Niepodległości. Akcja polega na

bezpłatnym wysyłaniu kartek pocztowych, zaprojektowanych przez uznanych artystów grafików, do rodziny i przyjaciół w całej Polsce.

Muzeum prowadzi też na swojej stronie internetowej „Wykaz legionistów polskich 1914–1918” opracowany przez historyków i wciąż uzupełniany przez rodziny legionistów o nowe nazwiska, skany zdjęć i dokumentów. Niedawna, 150. rocznicę urodzin Marszałka muzeum uczciło, wydając wraz z oficyną Volumen pierwszy tom pracy prof. Grzegorza Nowika „Odrodzenie Rzeczypospolitej w myśli politycznej Józefa Piłsudskiego 1918–1922”.

Belweder, siedziba przedwojennego Muzeum Józefa Piłsudskiego, pozostaje miejscem pamięci o Marszałku. Z inicjatywy rodziny Marszałka i prezydenta Bronisława Komorowskiego w 2012 r. odtworzono w pokojach zamieszkiwanych przez Józefa i Aleksandrę Piłsudskich oraz ich córki gabinet, salonik i pokój adiutanta. Znalazły się w nich meble z przedwojennego wyposażenia Belwederu, a wśród nich biurko i fotel Marszałka. A tuż obok pałacu, za bramą do parku Łazienkowskiego, jest eksponowany ostatni samochód Józefa Piłsudskiego – opancerzony Cadillac 355D, odrestaurowany cztery lata temu z inicjatywy społecznego komitetu, na którego czele stanął Jan Tarczyński, znany historyk motoryzacji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tędy będziemy wchodzić do sulejowskiego muzeum. FOT. PLATIGE IMAGE

PIOTR WŁOCZYK: Kto był „ojcem” Legionów Polskich?

PROF. ANDRZEJ CHWALBA: Niestety nie wiadomo, kto był autorem tego pomysłu. Powołanie tej formacji było pracą zbiorową polityków polskich i austriackich. Józef Piłsudski, który jest kojarzony z Legionami, a nieraz traktowany jako ich twórca, nie miał nic wspólnego z tym pomysłem. Więcej: Legiony powstały wbrew niemu i przeciwko niemu.

Przyszły Marszałek nie chciał Legionów Polskich?

Piłsudski zupełnie inaczej wyobrażał sobie sens i cel akcji wojskowej, którą podjął. Wkroczenie ze strzelcami do Królestwa Polskiego traktował jako początek walki o utworzenie niepodległej Polski, chociaż umowa z austriackimi władzami wojskowymi przewidywała, że strzelcy będą jedynie prowadzili działania sabotażowo-dywerysyjne i rozpoznawcze w Królestwie Polskim. Znacząco to, że Piłsudski nie przestrzegał umowy z ck dowództwem i robił swoje: organizował administrację wojskową i cywilną na ziemiach zajętych przez oddziały strzeleckie, a strzelców traktował jako Wojsko Polskie. Zaczął prowadzić samodzielną politykę.

Nic dziwnego, że Austriaków szlag trafiał.

Nie tylko Austriaków. Również lojaliści galicyjscy, którzy uważali, że są głównymi rozgrywającymi w sprawie polskiej, byli tym oburzeni. Obawiali się, że ich wizja powstania w przyszłości trialistycznej monarchii, tj. Austro-Węgry-Polski pod rządami Habsburgów, może być zakłócona przez akcję strzelców. W tej sprawie lojaliści pojechali na rozmowy do Wiednia. Wspólnie ze stroną austriacką doszli do przekonania, że trzeba zatrzymać Piłsudskiego, likwidując formacje strzeleckie – pamiętajmy, że Piłsudski był komendantem organizacji strzeleckich – i powołując w ich miejsce nowe jednostki wojskowe, które będą podlegały dowództwu austriackiemu, natomiast politycznie będą nadzorowane przez polskich lojalistów, którzy w tym celu powołali Naczelny Komitet Narodowy. Jeszcze dziś uważa się, że lojaliści ratowali w ten sposób Piłsudskiego. Trudno to jednak tak odczytać. Chcieli oni ratować swoją wizję polityczną i monopol na relacje z Wiedniem. W żadnej mierze nie zamierzali



Z prof. Andrzejem Chwalbą, autorem „Legionów Polskich 1914–1918” rozmawia Piotr Włoczyk



wspierać samodzielną i, jak uważali, awanturniczej akcji Piłsudskiego.

Tym bardziej że w wizji Piłsudskiego była Polska republikańska i demokratyczna.

Rzeczywiście. Piłsudskiego postawiono pod ścianą. Albo uzna Legiony, albo zostanie zdymisjonowany, a strzelcy i tak wejdą w ich skład. W praktyce nie miał wyboru. Jeżeli chciał dalej „grać” w wielkiej polityce, to musiał uznać te warunki. Ck dowództwo na czele Legionów powołało komendę. Stale między nią a Piłsudskim i jego przyjaciółmi będzie utrzymywało się napięcie. Nieprzypadkowo Piłsudski nazywał komendę Legionów „menda”... Równocześnie zależało mu na utrzymywaniu dobrych relacji z NKN, którego działalność uważał za pożyteczną. Piłsudski musiał zreć manewrować, aby nie dać się

wykorzystać dowództwu austriackiemu i polskim lojalistom, a jednocześnie zmierzać do coraz głębszej polonizacji formacji, którą nazwał legionizacją. Walki o samodzielną Legionów jednak nie wygrał.

Co właściwie znaczyło w ówczesnych czasach stanowisko „brygadiera”? Da się to jakoś porównać do dzisiejszych warunków?

Zacznijmy może od tego, że Piłsudski nie ukończył żadnej szkoły wojskowej, a nawet nigdy nie służył w wojsku. W sprawach wojska był amatorem, a przeciwnicy i ck oficerowie dodawali: dyktantem.

Był jednak przecież przed wojną komendantem formacji strzeleckich.

Tak, z tym że nie były one integralną częścią armii austro-węgierskiej.



1913 r. Komendant i jego zastępca Kazimierz Sosnkowski dokonują przeglądu oddziałów strzeleckich na Podhalu. Obok – karabin Mannlicher wz. 95 FOT. NAC

Jakie to było wojsko?

W ck armii nie było czegoś takiego jak legiony. W tym sensie nie było drugiego takiego wojska jak Legiony Polskie. Było to wojsko obywatelskie, z czym trudno się było pogodzić ck oficerom, wyszkolonym i wychowanym w zupełnie innej tradycji wojskowej.

W jakim sensie „obywatelskim”?

Trudno było sobie wyobrazić w realiach ówczesnych armii, by żołnierz przebywał w kantine razem z oficerami. To w ck armii były oddzielne światy, ale nie w Legionach. Brygady Legionów były wojskiem obywatelskim, ponieważ złożone były z ochotników. Ochotnicy wiedzieli, po co zaciągnęli się do Legionów. Były między nimi przyjaźń, otwartość, serdeczność oraz wzajemne zaufanie między oficerami a żołnierzami. Zwłaszcza komendant I Brygady Józef Piłsudski dbał o dobrą atmosferę. Oficerowie z jego brygady zazwyczaj nie nosili dystynkcji, ponieważ uważali, że tworzy to niepotrzebny dystans między nimi a zwykłymi żołnierzami.

Czyby brygadier Piłsudski nie był surowym dowódcą?

Nie. Dla kilkunastoletnich chłopaków był nawet nie tyle ojcem, ile dziadkiem. Oni z kolei dawali z siebie wszystko, żeby nie zawieść „Dziadka” – tak go zresztą nazywali. Darzyli go szacunkiem, a on sam wiele robił, by ugruntować wizerunek człowieka, który się troszczy o każdego. Potrafił rozmawiać ich językiem. Dbął o rannych, odwiedzał ich w szpitalach, a oni wspominali te wizyty jeszcze po latach. Piłsudski nie wymagał meldowania się. Żołnierze zwracali się do niego np.: „Zobaczcie, komendancie”, co było nie do pomyślenia w ck wojsku.

Jego zachowanie nie było przypadkowe. Świadomie postępował tak, a nie inaczej, współtworząc swoją legendę. Dlatego – w przeciwieństwie do oficerów austriackich, którzy generalnie nie szanowali swoich żołnierzy ani ich krwi – Piłsudski wiele robił, aby oszczędzać ich krew i dbać o jak najlepszy standard służby w okopach. W ck armii najlepsze wyposażenie kierowano do wojsk linio-

wych, potem krajowych, a następnie do pospolitego ruszenia. Z tym Piłsudski ostro walczył. Naciskał – wraz z NKN – na dowództwo austriackie, by jego żołnierze dostali np. solidne ubranie na zimę, dobre karabiny i działa.

To „obywatelskie” wojsko złożone było w większości z bardzo młodych ludzi. Co to oznaczało dla karności?

Nie da się ukryć, że dyscyplina była problemem. Najgorzej z tym było w brygadach I i III – trochę lepiej dyscyplina wyglądała w II Brygadzie.

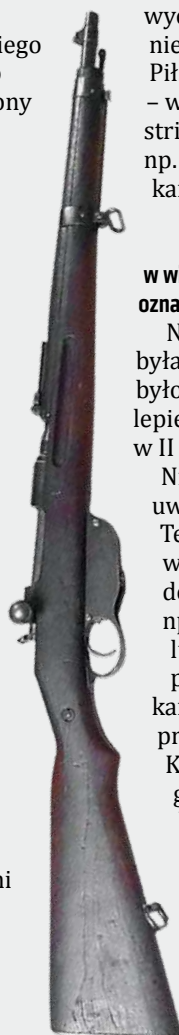
Nie zwracano na nią aż takiej uwagi, nie musztrowano żołnierzy. Te koleżeńskie relacje powodowały, że Legiony były wojskiem dosyć swawolnym. Efektem były np. rekwizycje dokonywane na ludności cywilnej, nawet opłaty pieniężne nakładane na mieszkańców miasteczek i wsi. Nie przypadkiem w 1916 r. władze Krakowa zakazały wstępu legionistom – ich pojawienie się było bowiem gwarancją burd, restauratorzy mieli już dosyć demolowania lokali. Nie ma się jednak co dziwić, że tak to wyglądało. Legionistami byli przecież młodzi, pełni energii ludzie. 20-latek był już uważany za bardzo dojrzałego legionistę. Trudno wymagać od 16- czy 17-latków, by żyli

w dyscyplinie, skoro nigdy nie przeszli ostrego szkolenia w ck armii. Byli nawet 14- i 15-letni. Śmiano się w Legionach, że warunkiem wstąpienia w ich szeregi było to, aby żołnierz był wyższy od karabinu.

Czyli nasi legionieści bezwzględnie wykorzystywali ludność cywilną? Co na to brygadier Piłsudski?

Oczywiście, że wykorzystywali. Tak to już wygląda na wojnie. Kiedy brakowało im żywności, sami ją pozyskiwali. Piłsudski nie przeszkadzał, podobnie jak oficerowie w pozostałych brygadach, bo nie było innego wyjścia – żaden dowódca nie pozwoli, by jego żołnierze walczyli głodni. Intendencja często zawodziła.

To się jednak nie przekładało na walkę. Legionieści na polu bitwy byli bardzo karni i zdyscyplinowani. Kiedy





■ na froncie wschodnim w 1916 r. całe dywizje austriackie i pułki niemieckie się poddawały, legionieści walczyli, nie poddawali się ani nie dezertowali. Według Niemców i Rosjan w 1916 r. na froncie wschodnim (Wołyniu) nie było lepszego wojska niż Legiony. Mało tego, niektórzy generałowie niemieccy oddawali swoje jednostki pod komendę legionowych oficerów, a zdarzało się, co prawda incydentalnie, że rosyjscy żołnierze odmawiali wykonania rozkazu, gdy dowiadawali się, że mają atakować odcinek obsadzony przez legionistów.

W książce opisuje pan kilka historii, które wyglądają jak wyjęte żywcem z „C.k. Dezertarów”. Dlaczego legionowa rzeczywistość prześcigała czasem fikcję literacką?

Rzeczywiście można tak powiedzieć. Te historie dotyczą głównie 1917 r., kiedy to relacje legionistów z wojskami sprzymierzonymi się pogorszyły. W miarę upływu czasu rosło napięcie między niepodległościowo zorientowanymi legionistami a c.k. komendą. Doszło w końcu do tego, że legionieści mieli lepsze relacje z Niemcami niż z Austriakami! Zresztą o c.k. armii Polacy mieli jak najgorsze zdanie. Nazwali ją „dziadami austriackimi”.

Jeżeli dodać do tego jeszcze temperament Polaków, to dochodziło do takich historii jak „szarża” legionistów na c.k. orkiestrę czy odegranie „Jeszcze Polska nie zginęła” przed austriackimi generałami, co musiało wywołać ich wściekłość.

Od strony dowodzenia znamy Józefa Piłsudskiego głównie z wojny polsko-bolszewickiej. Jak

sobie radził brygadier Piłsudski z planowaniem bitew w I wojnie światowej?

Jak na samouka wojskowego, z wiedzą wyniesioną głównie z książek i ze strzeleckich ćwiczeń, trzeba przyznać, że radził sobie nadspodziewanie dobrze. Irytowało to wielu dowódców z c.k. armii, którzy choć mieli ukończone akademie wojskowe, to jednak dowodzili znacznie gorzej.

Przy tym Piłsudski robił rzeczy, które nie mieściły się w głowie oficerom c.k. armii – nieraz wraz ze swoimi żołnierzami wyskakiwał z okopów i pędził na wroga. Tak właśnie dowodził np. w bitwie pod Konarami. Niewiele brakowało, żeby wówczas zginął. Austriaccy oficerowie nie rozumieli, dlaczego dowódca tak postępuje.

Jak to u nich wyglądało?

Dowódca gwizdkiem lub chorągiewką wskazywał kierunek ataku, a sam pozostawał z tyłu. Tymczasem raczej normą było, że oficerowie legionowi wyskakiwali z okopów razem z żołnierzami. U Austriaków takie zachowanie było uznawane za niezwykle ryzykowne, ponieważ śmierć oficera groziła rozsypaniem się całego oddziału złożonego z poborowych. W Legionach nie było jednak takiego zagrożenia – Polacy byli żołnierzami ideowymi, dobrze wykształconymi, inteligentnymi. W tym tkwiło źródło sukcesu Legionów Polskich.

Czasem ten sukces zależał chyba jednak w znacznej mierze od szczęścia, choćby pod Uliną Małą...

Marsz przez Ulinę Małą to jesień 1914 r., tereny Jury Krakowsko-Często-

chowskiej. Część przyszłej I Brygady znalazła się wówczas pomiędzy żołnierzami rosyjskimi. Okazało się, że wojska austro-węgierskie przeszły dalej w kierunku zachodnim. Piłsudski postanowił przejść nocą na południe przez bardzo wąską szparę między formacjami rosyjskimi i pomaszerować w kierunku Krakowa. Ta brawurowa akcja zakończyła się sukcesem. Po marszu przez Ulinę Małą Piłsudski powiedział, że wreszcie czuje się prawdziwym żołnierzem. Myśle, że sprawiedliwe będzie podzielenie chwały za ten marsz po połowie między Piłsudskiego a Śmigłego-Rydza. Był to manewr bardzo ryzykowny, ale często takie pomysły amatorów wojskowych były na tyle zaskakujące, że się udawały. Dzięki nieszablunowemu podejściu legionieści niejednokrotnie wygrywali starcia z wojskami dowodzonymi przez absolwentów renomowanych uczelni wojskowych.

Kogo można byłoby nazwać prawą ręką brygadiera Piłsudskiego?

W sprawach politycznych z pewnością Walerego Sławka, jego przyjaciela jeszcze z czasów konspiracji PPS-owskiej, a w politycznych i wojskowych ukochanego adiutanta Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego. Doskonale do siebie pasowali temperamentami. Byli jak dwaj rycerze Sarmaci z „Potopu” Sienkiewicza. Bliskim współpracownikiem Piłsudskiego był również Kazimierz Sosnkowski, jako profesjonalny szef sztabu. To właśnie Sosnkowski dowodził w zastępstwie Piłsudskiego podczas bitwy pod Łowczówką, która do historii przeszła jako „krwawa Wigilia” Legionów 1914 r. Spisał się wówczas bardzo dobrze – Polacy nie dali się zepchnąć na południe atakującym Rosjanom, którzy mieli dwukrotną przewagę.

Bitwa w 1916 r. pod Kostiuchnowką jest chyba kluczowa dla legendy Legionów.

To była najbardziej krwawa bitwa w historii Legionów Polskich. Pod symboliczną nazwą „Kostiuchnowka” mieści się wiele mniejszych i większych potyczek – front był wówczas rozciągnięty na długości ok. 60–70 km. „Kostiuchnowka” to suma wysiłku wszystkich trzech brygad, które się tam znakomicie biły. To właśnie po tej bitwie zaczęto podkreślać, że Piłsudski myślał strategicznie i był w stanie planować

działania w skali frontu jak rasowy wysoki oficer sztabowy.

Z perspektywy lat może się wydawać, że Legiony były monolitem, ale to przecież nieprawda.

W czasie I wojny światowej powstały trzy brygady. Przez wiele miesięcy walczyły osobno, budując swoje własne, bardzo odrębne tradycje. Jak już wspomniałem, I Brygada powstała na podstawie organizacji strzeleckich, była to młodzież bardzo ideowa, związana z opcją niepodległościowo-demokratyczną o zabarwieniu socjalistycznym.

II Brygada walczyła początkowo w Karpatach. Dowodzili nią Józef Haller i Marian Żegota-Januszajtis. Brygada ta skupiała głównie zwolenników opcji narodowej. Widać to było również po stosunku do religii i Kościoła. I Brygada nazywała żołnierzy II Brygady „biskupami”. Żołnierze Piłsudskiego mieli generalnie z religią na bakier. O ile we frontowych ziemiankach II Brygada wieszała obrazki Matki Boskiej Częstochowskiej, o tyle I Brygada portrety Piłsudskiego. Przeżycia wojenne powodowały, że żołnierze rewidowali swoje podejście do religii.

Początkowo Piłsudski miał niezłe relacje z Hallerem, ale po pewnym czasie zaczęły się one psuć. II Brygadę wspierał Sikorski, który identyfikował się z ideą stworzenia Austro-Węgry-Polski. I dlatego bardzo często nie akceptował pomysłów Piłsudskiego. III Brygada była w połowie drogi – częściowo opowiadała się za Piłsudskim, a częściowo za Hallerem. Legioniści bili się ramię w ramię ze wspólnym wrogiem, ale oficerowie coraz bardziej ze sobą rywalizowali i się spierali. Doszło do tego, że w 1917 r. można już było mówić o wojnie polsko-polskiej, która potem rzutowała na życie polityczne w okresie międzywojennym i w czasach II wojny światowej. Na przykład do dziś nie wiadomo przecież, co się stało z gen. Włodzimierzem Zagórskim, jednym z dowódców II Brygady, po zamachu majowym...

Jaki posłuch miał Piłsudski w czasie tzw. trzeciego kryzysu przysięgowego z lata 1917 r.?

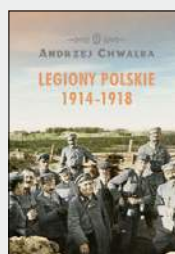
Zacznijmy od tego, że po akcie 5 listopada (1916 r.), gdy okupanci zapowiedzieli powołanie Królestwa Polskiego, miała powstać polska armia ochotnicza. Piłsudski wierzył, że podstawą armii zorganizowanej u boku



Niemców będą Legiony Polskie, a on będzie ich dowódcą. Stało się jednak inaczej. Rządzący w Warszawie niemiecki gen. Hans von Beseler zapowiedział, że to on będzie dowódcą armii, a Legiony zostaną pominięte w rekrutacji. Sytuacja w Europie szybko się jednak zmieniała. W 1917 r. doszło do rewolucji w Rosji (najpierw lutowej), potem USA dołączyły do wojny i coraz bardziej było widać, że siły Rzeszy i Austro-Węgier wyraźnie słabną. Piłsudski zrozmiał, że dalsze stawianie na państwa centralne będzie szkodzić sprawie polskiej. Przysięga, którą latem 1917 r. mieli złożyć legioniści pochodzący z byłego zaboru rosyjskiego m.in. na wierność Niemcom i Austriakom, była dla niego doskonałym pretekstem do porzucenia dotychczasowych sojuszników.

Ponad dwie trzecie legionistów odmówiło złożenia przysięgi (brygady I i III w zdecydowanej większości, ale już II Brygada w większości złożyła przysięgę). W związku z tym oficerowie zostali internowani w Beniaminowie, a szeregowcy i podoficerowie w Szczypiornie. Piłsudski wraz z Sosnkowskim zostali uwięzieni w Magdeburgu. To tylko wzmocniło jego legendę i coraz więcej Polaków domagało się uwolnienia Piłsudskiego. Dlatego cieszył się tak wielką popularnością w listopadzie 1918 r.

Jednak wciąż wielu ludzi widzi w nim agenta c.k. wywiadu. Przy okazji odnalezienia teczki „Bol-



**ANDRZEJ CHWALBA
„LEGIONY
POLSKIE”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE**

ka” apologeti Lecha Wałęsy mówili: „To nic strasznego, przecież Piłsudski też był agentem!”

Gdyby żył, Piłsudski mógłby takie osoby pozwać do sądu i z pewnością by wygrał proces. Nigdy nie był agentem ani tajnym współpracownikiem. Osoby, które powtarzają takie słowa, nie rozumieją jego pomysłu na wojnę i na wywalczenie niepodległości. Oczywiście Piłsudski, podobnie jak inni polscy politycy, w tym lojaliści, musiał się komunikować z c.k. wywiadem

i kontrwywiadem, by dogadywać szczegóły akcji wojskowej. Zobowiązał się też – podobnie jak inni polscy irredentyści – świadczyć usługi wywiadowcze przeciwko Rosji. Nigdy jednak na nikogo nie donosił ani w żaden sposób nie szkodził sprawie polskiej. Nigdy z tytułu kontaktów z c.k. wywiadem nie otrzymywał wynagrodzenia ani dóbr w naturze. Te pomówienia to efekt powojennego konfliktu z endecją, która starała się w ten sposób zniszczyć jego wizerunek w społeczeństwie. Po to samo narzędzie sięgnięto zresztą w czasach PRL.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Andrzej Chwalba – (ur. 1949) jest historykiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Właśnie ukazała się jego najnowsza książka pt. „Legiony Polskie 1914–1918”.



Polskie Koleje Państwowe to ponad 90 lat tradycji. Historia PKP i polskich kolejarzy nierozdzielnie łączy się z walkami o wolność i niepodległość naszego kraju.

Fundacja Grupy PKP wspiera i koordynuje działania mające na celu propagowanie wiedzy historycznej o zasłużonych pracownikach kolei.

FUNDACJA GRUPY PKP

INSTYTUCJA UŻYTECZNOŚCI PUBLICZNEJ

- ▶ **WSPIERAMY** rozwój zawodowego szkolnictwa kolejowego
- ▶ **EDUKUJEMY** w zakresie bezpiecznych zachowań
- ▶ **DBAMY** o kolejowe dziedzictwo
- ▶ **PRZECIWDZIAŁAMY** wykluczeniom i wspieramy potrzebujących

Tysiące beneficjentów w ciągu trzech lat działalności
TY TEŻ MOŻESZ DO NAS DOŁĄCZYĆ PRZEKAZUJĄC 1% PODATKU:

- ▶ Darowizny można wpłacać na konto nr: 06 1320 0019 1649 3010 2000 0001 z dopiskiem „na cele statutowe”.
KRS: 0000499069

Fundacja Grupy PKP

ul. Szczęśliwicka 62
00-973 Warszawa

+48 22 474 94 03
fundacja@pkp.pl



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Buszujący w bitach

Jason Rekulak zna się na rzeczy – jest wydawcą, który znalazł i wypromował w USA kilka całkiem poczytnych tytułów, a jednym nawet wykreował modę: to on namówił Setha Grahame-Smitha, żeby zmiksował „Dumę i uprzedzenie” Jane Austen z zombi. Tak powstała popularna powieść, którą potem z sukcesem ekranizowano, a później cała seria takich literackich mash-upów.

Teraz sam wziął się za pisanie. Sięgnąłem więc po „Niemożliwą fortecę”, żeby sprawdzić, co uznał za chwytliwe. Oto raport: po pierwsze, musi być o nastolatkach, lecz niekoniecznie dla nastolatków (wszak powieści Johna Greene’a, tego od „Gwiazd naszych win”, czytane są we wszystkich grupach wiekowych). Po drugie, nostalgia za latami 80. wciąż się sprzedaje: młodzi bohaterowie powieści pasowaliby do książek Stephena Kinga z tamtej dekady, a właściwie chyba bardziej do wyobrażenia o nich, jakie kreują produkcje w stylu serialu „Stranger Things”. Po trzecie, oprócz zwykłych dla szczenięcego wieku perypetii musi być jeszcze tzw. poważniejszy problem, żeby rozrywka nie była całkiem płocha. W „Niemożliwej fortecy” czekamy na jego wskazanie aż do finału powieści.

Historyjka jest nie tylko nostalgiczna, lecz także sympatyczna. Grupa 14-latków marzy o zdobyciu najnowszego „Playboya”, by ujrzyć zdjęcia telewizyjnej gwiazdki, do której wzdycha pół szkoły. Rozmaite sposoby, które wypróbuje (łącznie z bardzo zawiłym planem wymyślonym, gdy inne drogi zawiodą), same w sobie wystarczyłyby na komedię. Jednak jest i inny wątek: Billy, główny bohater, to zapalony programista amator, zmagający się ze swoim Commodore 64, by stworzyć grę, która zaimponuje dorosłym projektantom i otworzy mu drzwi do kariery. Hyc, i mnie też złapał na haczyk pan Rekulak – pamiętam czasy, kiedy emocjonowaliśmy się z kumplami pierwszym ZX Spectrum, a na spotkania z commodore’em jeździliśmy do wrocławskiego ZETO. Jest i dziewczyna, do której wzdycha Billy, ale prawie wszystko w ich relacjach okaże się czym innym, niż się z początku wydaje.

Jest to powieść o traceniu złudzeń i progu dorosłości, który czeka na nas często nie w tych miejscach, w których się spodziewaliśmy. Powieść tradycyjna w przekazie (miła niespodzianka), lecz także pozabawiona drapieżności. Wersja light, rzekłbym. „Buszującego w zbożu” na miarę XXI stulecia z tego nie będzie, ale ciepły film – pewnie tak. ©©



★★★★★

JASON REKULAK
„NIEMOŻLIWA
FORTECA”
ZYSK I S-KA 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowa powieść jednego z najlepszych amerykańskich autorów kryminałów. Tym razem klimat niczym z psychologicznych thrillerów Gillian Flynn – rzecz o małżeństwie, w którym za zasłoną pięknej fikcji kryje się ponura tajemnica.



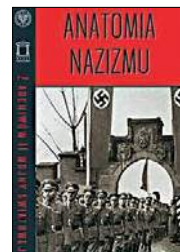
DENNIS LEHANE
„POKOCHAĆ NOC”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

O miłości kompozytorki i skrzypaczki Grażyny Bacewicz oraz jej przyszłego męża Andrzeja Biernackiego. Czas akcji – rok 1936, kiedy rozdeleni kochankowie pisali do siebie listy. Na ich podstawie powieść napisała wnuczka artystki.



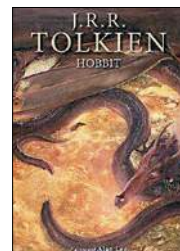
JOANNA SENDLAK
„Z OGNIEM”
SKARPA
WARSZAWSKA

Odrzutka na niepamięć: historycy IPN w krótkich szkicach przypominają niemieckie zbrodnie z okresu II wojny światowej dokonane na Polakach. Jest i tekst obalający mit „dobrego nazisty” – płk. von Stauffenberga.



AUTORZY RÓŻNI
„ANATOMIA
NAZIZMU”
OŚRODEK MYŚLI
POLITYCZNEJ

Klasyki nigdy dość. Wznowienie powieści Tolkiena, której mimo upływu lat nie dorównali żadni naśladowcy tworzący literaturę fantasy. Z klimatycznymi ilustracjami Alana Lee i w twardej oprawie, czyli w wersji godnej klasyki. ©© **poleca Piotr Gociek**



J.R.R. TOLKIEN
„HOBBIT”
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY EMPIKU 2017

Literatura polska: Zygmunt Miłoszewski „Jak zawsze” (Wydawnictwo W.A.B.) – skrzyżowanie political fiction i romansu, niestety poniżej poziomu cyklu o komisarzu Szackim.

Literatura zagraniczna: Dan Brown „Początek” (Sonia Drago) – piąta powieść serii o Robercie Langdonie, której najbardziej znaną częścią był „Kod Leonarda da Vinci”.

Literatura faktu: Tomasz Piątek „Macierewicz i jego tajemnice” (Arbitror) – pomieszenie z poplątaniem, czyli rzecz sensacyjna w tonie, wątku, gdy chodzi o fakty.

Literatura dla dzieci: Nela Mała Reporterka „Nela i skarby Karaibów” (Burda Książki) – kolejna podróż małej reporterki – tym razem śladami Kolumba.

Literatura dla młodzieży: Jay Asher „Światło” (Dom Wydawniczy Rebis) – kolejna bestsellerowa powieść autora, którego rozstawiła serialowa wersja jego innej książki: „13 powodów”.



JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

W tym tygodniu zamiast o muzyce pożegnanie przyjaciela. 14 lutego zmarł Leszek Gałysz (1948–2018), twórca filmów animowanych, wspaniały rysownik, reżyser, wybitny artysta. Leszek genialnie korzystał z muzyki, znając jej siłę budowania klimatu, oddziaływania na emocje. W 1992 r. namówił mnie, abym do jego serialu stworzył muzyczną ścieżkę inspirowaną polskim folklorem. Razem z Jozsko Brodą dźwiękiem fujarek, ligawek, pasterskich fletów, gitary i kontrabasu ilustrowaliśmy jego fantastyczne filmy, gdy jeszcze nikomu nie śniły się sukcesy Golców, Brathanków czy Zakopowera.

Dał się poznać jako autor: „O dwóch takich, co ukradli księżyc” (z muzyką Janka Borysewicza i Lady Pank) czy „Tytusa, Romka i A'Tomka” albo „Pomysłowego Dobromira”. Miałem zaszczyt towarzyszyć mu przy trzech filmach: „Odwrócona góra”, „Film pod strasznym tytułem” i „Bukolandia”.



FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Twórca niedoceniony

To on wymyślił czołówki do „Swojskich klimatów” (TVP1). Odważną, świeżą kreską stworzył filmowe miniaturki pełne uroku i pogodnej anegdoty. Gdyby pozostał tylko przy rysunku, jego prace wisiałyby dziś w najlepszych galeriach obok rysunków Tadeusza Makowskiego, Jana Lenicy czy Jerzego Flisaka.

Jako twórca filmów nie miał lekko. Musiał konkurować z ohydными japońskimi kreskówkami, pokemonami i komercyjnym badziewiem. To, że robił filmy dla dzieci, nie stanowiło taryfy ulgowej. Przeciwnie – było zobowiązaniem do dbałości o estetykę, sztukę i warsztat na

najwyższym poziomie. Stworzył rozpoznawalny styl. Kreował całe światy, z krajobrazami, tajemniczą roślinnością, zagadkowymi budowlami. W ten mikrokosmos wprowadzał stworki i ludki, którym nadawał niespotykane imiona. Chociaż opowiadał niby-baśnie, to w postaciach odbijały się ludzkie charaktery, emocje i ułomności. A wszystko z lekko ironicznym uśmieszkiem, jednocześnie ciepło i z czułością. Dzieci go uwielbiały, dorośli podziwiali, decydenci z branży nie docenili. Zostawił po sobie szuflady rysunków, szkiców, niezrealizowanych pomysłów. ©



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Na sobotnie potańcówki – po punku ślad zaginął

Piąty album szkockich gwiazd rocka alternatywnego. Grupa powstała w 2002 r. i na fali powrotu mody na post-punk błyskawicznie zdobyła popularność.

Fonograficzny debiut – „Franz Ferdinand” z 2004 r. – uchodzi za klasykę gatunku, a singlowy „Take Me Out” stał się hymnem pokoleniowym millennialsów.

Nie licząc współpracy z weteranami z amerykańskiego zespołu Sparks, płyta ukazała się po pięciu latach przerwy od poprzedniego wydawnictwa Szkotów. Album „Zawsze rosnąć” wbrew swojemu tytułowi nie jest muzycznym przełomem.

To dobra, nowoczesna płyta rock'n'rollowa, co ma wprowadzić w dobry nastrój. Po punku ślad zaginął, a za to dostajemy nowofalowy pop, który producent Philippe Zdar (Cassius, Phoenix) wzbogacił taneczną pulsacją. O kilku utworach można nawet napisać, że to niezłe disco.

Brzmi to wszystko pięknie – szemrające syntezatory, lśniąca pulsacja, napędzające elektroniczne beats...

Nóżka się kręci, z buzi uśmiech nie schodzi, tylko że to wszystko razem wzięte jest takie przewidywalne i mało ambitne. ©



★★★★★
FRANZ FERDINAND
„ALWAYS ASCENDING”
DOMINO



★★★★★
MAVIS STAPLES
„IF ALL I WAS WAS BLACK”
ANTI-

77-letnia czarnoskóra wokalistka nagrała trzecią z rzędu płytę z Jeffem Tweedym. Lider grupy Wilco napisał utwory, a Mavis głosem jak dzwon zaśpiewała jego współczesne gospel. Muzyka porwya, aranżacje oczarowują, a wokale powalają. ©



★★★★★
STASIUK & HAYDAMAKY
„MICKIEWICZ”
PUGU ART

Andrzej Stasiuk deklamuje, a kijowski zespół gra ostro i kozacko śpiewa. 10 utworów lub – jak kto woli – tyleż przystanków Mickiewicza w podróży z Krymu do Drezna. Orient, metalowe gitary, donośne trąby, trzynastozgłoskowce... Zacnie. ©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Stary, czyli młody

Jakiś czas temu z lekkim niepokojem skonstatowałem, że podczas oglądania familijnych seriali utożsamiam się z... dziadkami. Ich punkt widzenia wydaje mi się najsensowniejszy, problemy – bliskie, teksty – najzabawniejsze, a działania – jedynie słuszne.

Czyli moja żona ma rację, uważając mnie za osobnika szurniętego, usilnie się postarzającego, w wieku mentalnym znacznie powyżej tego metrykalnego. Trudno. Jeśli nawet nie jestem psychicznie zupełnie stetryczały, to zapewne podświadomie przygotowuję się już na przyjsięcie jesieni życia i stąd mój pociąg do dziadków. Chociaż sam wnuka jeszcze nie mam (tylko niech moja córka nie odbiera tego jako przynaglania!!!).

Tym samym postępuję wbrew ogólnocywilizacyjnemu trendowi, który zaleca zerkanie w drugą stronę – ku młodości. Oczywiście może to być przejaw pewnych zaburzeń psychicznych, jak sądzą moi bliscy, ale może to jednak efekt nonkonformizmu albo chociaż ekscentryzmu – jak wolę myśleć sam. Jakby nie było, postaci seniorów we współczesnej masowej kulturze są przeze mnie ostatnio dość bacznie obserwowane.

I oczywiście – jak można się spodziewać – stary człowiek jest fajny wtedy, kiedy jest młody. W reklamach mamy starszych panów i panie, którzy śmigają na deskach surfingowych, skaczą ze spadochronem albo są seksualnymi maszynami. Na okładkach pism królują

ludzie, których wielkim dokonaniem jest to, że nie wyglądają na swoje lata. W mediach społecznościowych rekordy popularności biją filmiki, na których starzy ludzie zachowują się, jakby się ich wiek nie miał – biegają w triathlonach, tańczą w transie albo zasuważą na deskorolce.

Pewną popularność osiągnęła w Polsce starsza pani znana jako DJ Wika, która zapodaje muzykę na imprezach techno. Tę podziwiam szczególnie jako były clubber, ale na myśl, że dzisiaj miałbym spędzić noc na imprezie techno, robi mi się słabo. To już wołałbym wyjechać na bezludną wyspę ze Zbigniewem Hołdysem.

W obliczu medialnego zalewu starości, która udaje młodość, chciałbym odważnie i bezkompromisowo stanąć w obronie starości, która niczego nie udaje. Takiej, by tak rzec, tradycyjnej. Takiej z drzemkami i wnosami na kolanach. Leniwie spędzanym czasem. Z długimi spacerami i książką czytaną na ławce w parku. Siedzeniem na werandzie w ogrodzie. Z mądrym zdaniem, które wynika z doświadczenia i które czasem pomoże bliskim. Z filiżanką herbaty. Natomiast bez sportów ekstremalnych, red bulla i operacji plastycznych.

Kiedy myślę o nadchodzącej jesieni życia, lubię w niej to, że nie trzeba będzie już nikomu niczego udowadniać i na nic się napinać. I mam nadzieję, że kiedy mój wiek metrykalny dogoni kiedyś mentalny, to taka starość będzie jeszcze możliwa. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Dzień przed, dzień po

Zyjemy w czasach, kiedy najłatwiej rozbudza się nadzieję. Celują w tym szczególnie dziennikarze sportowi. Przed meczem, ważnymi mistrzostwami czy olimpiadą rozpetana zostaje pozytywna histeria, w której świetle sukces „naszych” jest oczywisty i w zasadzie nic nie może mu przeszkodzić (chyba że źli ludzie lub przyczyny niezależne). Czemu się jednak dziwić, jeśli coraz częściej nagrody dostaje się z góry (vide Nobel dla Obamy), a Człowiekiem Roku zostaje się za zasługi, które, da Bóg, nastąpią dopiero w latach przyszłych!

Najzabawniejsze, że jeśli szeroko reklamowany sukces nie nastąpi, winni są wszyscy z wyjątkiem tych, którzy go zapowiedzieli. Kiedyś wydawało się, że zainteresowanie można wywołać niepewnością, stopniowaniem napięcia (uda się albo nie uda), a cały urok sportu polega właśnie na walce i jej nieprzewidywalności, ale świat się zmienił i – pozwolę sobie zacytować anegdotę Pietrzaka o pewnej góralce: „Lepiej jest dobrze obiecać, niż źle dać!”. Skądinąd jest to metoda charakterystyczna dla świata mediów, w którym cały wysiłek idzie w promowanie, reklamowanie, tak że nie zostaje miejsca na coś, co powinno być najważniejsze, a mianowicie uczciwą recenzję. Zresztą, kto miałby się nią zająć? W podzielonym świecie swoi przecież nie skrytykują, a obcy nie pochwalą. Toteż rolę tę przejęły tweety i internetowy hejt, gdzie oczywiście nie ma mowy o obiektywizmie czy fachowości.

Wszystko to jest możliwe dzięki zanikowi takich pojęć jak „honor”. A jeśli nie ma honoru, to nie ma również wstydu. Jako człowiek starej daty żyję w bardzo niekomfortowej sytuacji – zwiększa się liczba ludzi – kłamców lub oszczerców – którym nie sposób podać ręki. Chociaż, wydaje mi się, że im to nie przeszkadza (ich wyobraźnia nie sięga aż tak daleko) – wczoraj już nie ma, jutra jeszcze nie było – ergo można pozwolić sobie na wszystko.

Inna sprawa, że budząc nieuzasadnione nadzieje, można niespodziewanie obudzić demony. ©©



Walka o niepodległość



Grzegorz Kucharczyk

Jeśli przegramy toczoną przeciw Polsce wojnę kulturową, to przegramy naszą niepodległość w najważniejszym wymiarze – duchowym

Można to różnie nazywać – uchylenie kurtyny, przecięcie zasłony, przebicie kłosa, chwilowe opuszczenie Matrixa. Ostatnio mamy coś takiego co cztery lata: w 2010 r. w kwietniu pod Smoleńskiem, w 2014 r. na Krymie i obecnie – po uchwaleniu przez polski parlament i podpisaniu przez prezydenta RP nowelizacji ustawy o IPN. Nagle okazało się jak (nie)ważna dla naszych „wypróbowanych przyjaciół” z USA jest prawda o polskiej historii w czasie II wojny światowej, którą próbuje zabezpieczać wspomniana nowelizacja. „Naród Kościuszki i Pułaskiego” nie ma prawa walczyć o swoje dobre imię i karać kłamców, którzy je szkalują. Do tego sprowadza się bowiem „rozczarowanie” i „zaniepokojenie” amerykańskiego Departamentu Stanu i jego szefa – R. Tillersona.

W ostatnich dniach okazało się wreszcie, że rację mieli ci, których od lat oskarżano o „antysemityzm”, „zacierzawienie” i „oszołomstwo”, a którzy wskazywali na konsekwentnie prowadzoną przez Izrael politykę historyczną, w którą wpisany jest antypolonizm. Reakcje izraelskiej opinii publicznej na nowelizację ustawy o IPN pokazały, że nie może być mowy tutaj o zjawiskach marginalnych, ale o mainstreamie. Takie są mniej więcej efekty medialnie nagłaśnianego „dialogu polsko-żydowskiego”. Sprzeciw nie dotyczył przecież perspektywy karania za używanie frazy „polskie obozy śmierci”. Rzecz dotyczyła i dotyczy ciągle próby wpisywania Polaków jako wspólnoty narodowej w zakłama-

ną narrację o „współwinie Polaków” za ludobójstwo dokonane na Żydach przez państwo niemieckie i jego agendy w czasie II wojny światowej. Próba podjęcia walki przez Polskę z tym historiograficznym fake newsem wywołała taki opór i tak historyczną reakcję.

NIEPODLEGŁOŚĆ? A TO KOSZTUJE

Tak bowiem jest zawsze, gdy trzeba wybić się na niepodległość. Kiedy zaborcy ostatecznie przegrali swoją długą antypolską kampanię? Jesień 1918 r. była przecież „końcem zakończenia”, a jego początek nastąpił gdzieś na przełomie XIX i XX w., gdy pruski i rosyjski zaborca ostatecznie przegrali walkę o duszę polskiego ludu (włościan); gdy nie udało się Berlinowi i Petersburgowi wmówić milionowym rzeszom tworzącego się wówczas „nowoczesnego narodu polskiego”, że są niemiecko- lub rosyjskojęzycznymi poddanymi cesarza niemieckiego lub rosyjskiego cara. Gdy – innymi słowy – nie udało się narzucić Polakom nowej tożsamości opracowanej przez pruskich kulturtragerów i promotorów „obrusienija”.

Jeśli ktoś jest w stanie narzucić komuś tożsamość, to znaczy, że władza tym kimś niepodzielnie. I nie musi w tym celu wysyłać wojsk, tworzyć generalnych gubernatorstw lub takich czy innych tymczasowych rewolucyjnych komitetów. Polacy takiej próbie duchowego (kulturowego) wrogiego przejęcia się oparli. Mamy więc niezwykle pouczającą inaugurację obchodów stulecia naszej niepodległości. Pouczającą,



bo w ostatnich dniach mieliśmy okazję uświadomić sobie tę podstawową prawdę, że jeśli przegramy toczoną przeciw Polsce wojnę kulturową, to przegramy naszą niepodległość; niepodległość w najważniejszym wymiarze – duchowym.

Ostatnie dni to zresztą istna kopalnia wiedzy, to cała masa zachęt do przypomnienia dawno zapomnianych prawd. Ot, choćby takiej, że w XVII i XVIII w. rwaczy sejmów (liberum veto) opłacali nie tylko przyszli zaborcy. Swoich „złeceniobiorców” miała nad Wisłą również ambasada francuska. Przypomina się również prawda o tym, że naiwnością jest myślenie o modernizowaniu Polski, przy zdawaniu się całkowicie na „zaprzysiężnione” mocarstwo, tak jak wydawało się to „familii” Czartoryskich po śmierci Augusta III Sasa. Szybko okazało się, że głównym rozgrywającym stał się ambasador „zaprzysiężnionego” mocarstwa, do którego co rusz udawali się tacy czy inni reprezentanci krajowej opozycji niezadowolonej z ograniczania przez „familie” naszych „polskich wolności”. Ambasador chętnie



„Europa po I rozbiórze Polski”, angielska rycina z 1772 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

przyjmował liderów opozycji, a w tym samym czasie inne państwo zaniepokojone polskimi reformami zakulisowo (listy króla Prus Fryderyka II do carycy Katarzyny II) monitowało „zaprzysiężone mocarstwo”, by możliwie szybko zakończyć szkodliwy eksperyment z polskimi reformami. Droga do pierwszego rozbioru została wytyczona.

Dzisiaj mamy inne „zaprzysiężone mocarstwo”, inne państwo działa za kulisami, inny rozbiór się szykuje (raczej nie o numeracji „jeden”, tylko „447” – to numer ustawy w USA, która ma pozwolić odzyskiwać organizacjom majątki ofiar Holokaustu, które nie pozostawiły spadkobierców), ale ciągle tę samą tożsamościowo zniewoloną opozycję.

Ostatnie dni przypominają wreszcie, że mało kto w 1918 r. (tak jak i dzisiaj) cieszył się z naszej niepodległości. Nie tylko w tym przypadku chodziło o toczony w latach 1918–1921 na wszystkich frontach wojny o granice. Już wtedy trzeba było bowiem walczyć także o dobre imię powstającej do niepodległości Polski, bo wielu (znany jest pod tym względem lobbying środowisk

żydowskich w USA na przełomie lat 1918 i 1919) zależało na tym, by od początku przedstawiać niepodległe państwo polskie jako zagrożenie dla zamieszkujących jej obszar mniejszości narodowych. Taka była geneza narzuconego Polsce w czerwcu 1919 r. tzw. traktatu mniejszościowego, dołączonego do traktatu wersalskiego. Dokument ten ograniczał polską suwerenność, wprowadzając mechanizm ingerencji Ligii Narodów w wewnętrzne sprawy Polski (pod pretekstem „ochrony praw mniejszości”).

POTĘGA WYDARZEŃ

Wszystko wskazuje na to, że przed nami fala „wydarzeń” inicjowanych przez różne „zaprzysiężone” z nami „Katarzyny” i działających za kulisami „Fryderyków”. Może uruchomione zostaną agencje ratingowe lub „rynkowe” zawirowania na rynku papierów dłużnych. Może usłyszymy jakieś nowe taśmy (tym razem interlokutorami będą zupełnie inne osoby), a może ktoś wpadnie nagle w depresję i popełni samobójstwo. Mogą

nastąpić jednak zupełnie inne wydarzenia (bez cudzysłowu) – wojna na Dalekim Wschodzie (Korea) albo konflikt zbrojny na Bliskim i Środkowym Wschodzie (uderzenie na Iran), które w wystarczający sposób mogą zaabsorbować „Katarzyny” i „Fryderyków”. Tak jak na przełomie lat 80. i 90. XVIII w. zyskaliśmy „pięć minut”, gdy caryca Katarzyna II musiała toczyć wojny z Turcją i ze Szwecją.

Pamiętajmy jednak, że było to „pięć minut”, które w większości zmarnowaliśmy (por. długie, bezowocne, aż do 1791 r. deliberacje Sejmu Wielkiego) albo bezmyślnie „łyknęliśmy” ofertę polityczną kolejnego „Fryderyka” (por. nieszczęsny sojusz z Prusami w 1790 r.). Czas jest więc krótki i trzeba działać szybko.

W pierwszej kolejności MaBeNa (A. Zybertowicz). Należy jednak mieć świadomość, że Machina Bezpieczeństwa Narracyjnego powinna być skierowana nie tylko ku międzynarodowej opinii publicznej, lecz także równoległe i przede wszystkim do wewnątrz. Zatrważające w swojej wymowie były sondaże pokazujące w pierwszych dniach konfliktu wokół nowelizacji ustawy o IPN, że tylko 45 proc. respondentów popierało jej uchwalenie bez poprawek. Oznaczało to, że większość była przeciw – z takich czy innych względów – stawianiu oporu w wytoczonej nam już dawno temu wojnie kulturowej.

Integralną i najważniejszą częścią wewnętrznej MaBeNy powinna być skuteczna reforma programów nauczania historii w szkole tak, aby uczniowie mieli wreszcie możliwość poznawania najnowszej (po 1939 r.) historii Polski. Należałoby rozważyć nie tylko zwiększenie liczby godzin nauczania przedmiotu, lecz także taką korektę podstawy programowej, by w odniesieniu do okresu po 1939 r. wykładać tylko historię Polski. Nie miejmy złudzeń. Dla zdecydowanej większości polskiej młodzieży stały kontakt z historią odbywa się w szkole. Jeśli tam nie będzie miała ona szansy na rzetelne poznanie dziejów ojczyzny, to nigdzie jej nie będzie miała. Gdy rozpoczął się konflikt wokół nowelizacji ustawy o IPN, często myślałem o studentach, z którymi w ostatnich latach miałem do czynienia i którzy (niejeden z nich!) na egzaminacyjne pytanie: „Co się wydarzyło w 1940 r. w Katyniu”, ustnie i pisemnie odpowiadali mi, że „w 1940 r. w Katyniu Niemcy mordowali Żydów w komorach gazowych”. MaBeNo, przybywaj!



Tomasz Kwaśnicki

Polska padła ofiarą zaplanowanego i skoordynowanego ataku, w którym napastnik użył kombinacji narzędzi dyplomatycznych oraz broni informacyjnej

Co najmniej od czasu wybuchu wojny w Donbasie słyszymy ciągle o tym, jak groźna jest „wojna informacyjna”, jakie spustoszenie w przestrzeni publicznej sięgają celowe manipulacje, systematyczna dezinformacja i doraźne kłamstwa zwane z angielska fake newsami. Obowiązująca nad Wisłą poprawność polityczna jednoznacznie wskazuje przy tym na Rosję jako na to państwo, które tradycyjnie nie czuje żadnych moralnych oporów przed posługiwaniem się kłamstwem w walce o swoje interesy. A jednak, gdy Polska padła w końcu ofiarą informacyjnego blitzkriegu, okazało się, że jego sprawcami nie byli Rosjanie (choć Antoni Macierewicz i Tomasz Sakiewicz zdążyli już ich o to oskarżyć), ale „zaprzyjaźniony” Izrael, wspierany przez sojusznicze Stany Zjednoczone.

TAKTYCZNA NIEKOMPETENCJA

Chcąc wyciągnąć wnioski z przynajmniej, jaka nam się przytrafiła za sprawą naszych „zagranicznych partnerów”, musimy na wstępie nazwać rzecz po imieniu: Polska padła ofiarą zaplanowanego i skoordynowanego ataku, w którym napastnik użył kombinacji narzędzi dyplomatycznych oraz broni informacyjnej w celu zniszczenia i tak niewielkiego przecięż prestiżu, jakim Rzeczpospolita cieszyła się do tej pory na arenie międzynarodowej. Skupmy się wyłącznie na tym taktycznym aspekcie izraelskiego zwycięstwa, nie wchodząc w rozważania nad szerszą strategią, której miałyby ono służyć. To właśnie aspekt taktyczny obnaża bowiem w sposób najbardziej bezceremonialny niekompetencję polskich elit – ich zatrzęsający wręcz brak zrozumienia, że sztuka dyplomacji jest przede wszystkim sztuką prowadzenia wojny, i to bynajmniej nie w metaforycznym sensie tego słowa. „Pokój to zawieszenie broni pomiędzy dwiema wojnami” – pisał Carl von Clausewitz, zaś



„wojna jest jedynie kontynuacją polityki innymi środkami”. Twierdzenie to – rzecz jasna – działa w obie strony: polityka nie jest niczym innym jak kontynuacją wojny „innymi środkami”. Narody, które tego nie rozumieją, gotują sobie bez wątpienia gorzki los, choć być może jest to kwestia raczej narodowego instynktu niż intelektu. „Nie wierzę w świadomość, wierzę w instynkty polityczne” – pisał Cat-Mac-kiewicz. „Polityka angielska jest jednocześnie nieszlachetna i doskonała, ale nie dlatego, że jest kierowana przez jakieś wielkie intelektu, wielką świadomość zadań, lecz dlatego, że angielski instynkt polityczny jest silny i konsekwentny”.

Otóż świeżo przegrana przez nas wojna z Izraelem wydaje się być jeszcze jednym dowodem na to, że jako naród pozbawieni jesteśmy owego szóstego zmysłu umożliwiającego nam udział w poważnej politycznej grze, w której – jak wierzyli starożytni Grecy – „silni robią to, co robić mogą, słabi zaś znoszą to, co znosić muszą”. Gdy Netanjahu zdecydował się zaatakować Polskę na jej własnym terytorium, do tego w Auschwitzu, w świetle jupiterów i w obecności polskiego premiera, gdy izraelski minister wywiadu, Jisra’el Katz obciążył odpowiedzialnością za Holocaust cały naród polski, deklarując, że „nigdy nie zapomnimy i nie wybaczymy”, gdy minister edukacji Izraela



FOT. JANEK SKARZYŃSKI/APPT/STARS

prestiz

Naftali Bennett zapowiedział przeprowadzenie w izraelskich szkołach zajęć o odpowiedzialności Polaków za Holocaust, gdy przywódca opozycji Yair Lapid bez najmniejszego zażenowania ogłaszał, że „były polskie obozy i żadne prawo tego nie zmieni”, gdy w końcu polski dyplomata został wezwany do izraelskiego MSZ, jedyną odpowiedzią polskiego rządu było nieme zdziwienie, szok i niedowierzanie.

Wraz z następującymi szybko po sobie ciosami rząd pogrążył się w coraz większej dezorientacji, nie potrafiąc zdobyć się na jakiegokolwiek kontruderzenie czy chociażby podniesienie gardy. Szef polskiej dyplomacji pytany przez dzien-

nikarzy, dlaczego nie wezwał ambasadora Izraela do MSZ, oświadczył, że taki gest byłby „przedwczesny”. Gdy polscy turyści zostali w Izraelu obrzuceni kamieniami, ten gest nie stał się ani odrobinę bardziej palący. Polska dyplomacja nie dała się „sprowokować” nawet wówczas, gdy tłum wdarł się na teren naszej ambasady w Tel Awiwie. W wojnie o prestiż Polska ogłosiła całkowitą kapitulację, i to nie podjąwszy najmniejszej nawet próby obrony swojego dobrego imienia.

KONTROLOWANIE STRAT

Nie bacząc na odniesione zwycięstwo i powiewającą nad al. Szucha ogromną

białą flagę, żydowski politycy, dziennikarze i cała izraelska machina propagandowa masakrowali dobre imię Polski oraz Polaków jeszcze przez tydzień z okładem. W międzyczasie polscy politycy starali się obłaskawić triumfatorów. „Przede wszystkim musimy zachować zimną krew i spokojnie rozmawiać. Ten dialog jest prowadzony – premier Morawiecki rozmawiał z premierem Netanjahu” – wicepremier Piotr Gliński starał się rozładowywać napięcie. „Chcemy mieć dobre relacje z Izraelem i będziemy bardzo zabiegać o to, aby te relacje odbudowywać, i będziemy starali się bardzo o to, żeby nasze relacje były dobre” – solennie przyrzekał marszałek Senatu Stanisław Karczewski. Po wielu innych tego typu deklaracjach 9 lutego Jacek Czaputowicz oświadczył w końcu: „Nasze stosunki z Izraelem to stosunki sojusznicze, bardzo dobre [...] To [atak Izraela – przyp. red.] jest incydent dotyczący w wielu przypadkach nieporozumień co do naszej ustawy, który trzeba szybko rozwiązać”.

Słowem, zaniechawszy jakichkolwiek działań na arenie międzynarodowej, rząd ograniczył swoją aktywność do „kontrolowania strat” w kraju, skupiając się na wyciszaniu wyrazów narastającego społecznego gniewu, nie rozumiejąc najwyraźniej, że powodem wściekłości przynajmniej części Polaków było już nie tyle obelżywe zachowanie się obcych polityków i publicystów, ile tchórzostwo oraz pokorna postawa ich własnego rządu. „Widzimy niejednokrotnie, że pokora na nic się nie zdaje, a nawet przynosi szkodę – przestrzegał Niccolò Machiavelli. – Bywa tak zwłaszcza wtedy, gdy masz do czynienia z ludźmi zuchwałymi, którzy z zazdrości lub z jakiegokolwiek innej przyczyny pałają do ciebie nienawiścią”. Możemy założyć bez ryzyka większej pomyłki, że w osobach Netanjahu, Lapid, Katza i Benneta mamy do czynienia z takimi właśnie ludźmi. Tymczasem „przeciwnik, któremu po tchórzowsku ustąpiłeś, nie zadowolony jest tym, co uzyskał, i zechce pozbawić cię innych rzeczy”. Polski rząd od samego początku doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że celem działań Izraela jest docelowo właśnie pozbawienie nas „innych rzeczy”, dlatego jego dezercja musi zostać tym surowiej oceniona. Powinien był bowiem przewidzieć, że ustępując Izraelowi, doprowadzi do

■ tego, że „wzrośnie jego zuchwałość, bo znacznie cię lekceważyć, obrońcy zaś twoi mniej będą ci przychylni, gdyż przekonają się o twojej słabości i tchórzostwie”.

HONOR W POLITYCE

Oto jak ważną i pożyteczną rzeczą w polityce jest honor. „W walce o przetrwanie i władzę, która tworzy surową materię świata społecznego, to, co inni o nas myślą, jest równie istotne jak to, kim faktycznie jesteśmy” – pisał klasyk politycznego realizmu Hans Morgenthau, dodając, że „jeśli państwa chcą chronić swe istnienie oraz pozycję siły, to jako członkowie społeczności międzynarodowej muszą polegać na własnej potęgze, a zatem nie mogą lekceważyć wpływu, jaki wzrost bądź utrata prestiżu wywiera na ich pozycję na arenie międzynarodowej”.

Jak się jednak wydaje, Polacy nie wyciągną żadnych konsekwencji wobec swoich przywódców, gdyż w sporej części zaufali dominującej w mediach rządowych narracji. Ta zaś przedstawia się następująco: „Polska padła ofiarą niespodziewanego ataku ze strony Izraela, który z nieznanых bliżej powodów (#cuibono #korkiodszampana) nie rozumie, że Polska nie jest odpowiedzialna za Holokaust. Pomimo to polski rząd, niepomny na presję ze strony Izraela i USA, konsekwentnie broni prawdy historycznej i polskiej suwerenności w stanowieniu prawa”. Rządowa opowieść jest dodatkowo uwiarygodniana przez kompradorską opozycję oraz sprzyjające jej media „głównego nurtu” bezpardonowo atakujące rząd za „zniszczenie relacji z zagranicznymi partnerami” i „wzniesienie fali antysemityzmu”.

W rzeczywistości nowela ustawy o IPN, podobnie zresztą jak ustawa reprivatyzacyjna, była od ponad roku przedmiotem wielokrotnych konsultacji z obcymi dyplomatami. Senat – co prawda pospieszenie – zaakceptował decyzję Sejmu, jednak jedynie po to, by prezydent Duda pod presją Izraela i niedwuznacznych gróźb amerykańskiej dyplomacji mógł odesłać ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, co zostało zadowoleniem przyjęte przez izraelskie MSZ. „Izrael odnotował, iż prezydent Andrzej Duda skierował ustawę do Trybunału Konstytucyjnego w celu uzyskania wyjaśnień i poprawek – głosił komunikat izraelskiego resortu dyplomacji. – Mamy

nadzieję, że w czasie wyznaczonym do zakończenia obrad sądu uda się nam uzgodnić zmiany i poprawki”. Co więcej, jak twierdzą prorządowe media, polski prezydent poinformował władze USA i Izraela o swojej decyzji, jeszcze zanim ogłosił to własnemu społeczeństwu. Anonimowy „przedstawiciel polskich władz”, na którego powołuje się portal braci Karnowskich, podkreślił, że rządzący prowadzą w sprawie swoich działań permanentne konsultacje z Tel Awiwem i Waszyngtonem: „To są kontakty bardzo intensywne, mówimy nawet o kilkunastu rozmowach dziennie. Te kontakty nie zostały przerwane po ogłoszeniu decyzji prezydenta. Są równie intensywne jak przedtem”. Niewykluczone więc, że jedynym sukcesem polskiego rządu w tej sprawie okaże się przekonanie własnego narodu, iż nie ulega on obcemu dyktatowi, podczas gdy jest wręcz odwrotnie.

Polska rzecz jasna nie mogła wygrać wojny informacyjnej z Izraelem ze względu na rażącą dysproporcję w orężu służącym do jej prowadzenia. Czym innym jest jednak starcie PR-owskie, a czym innym kon-

Amerykani nie tylko nie muszą Polsce niczego płacić, lecz także oczekują, że to Polska będzie płacić im, przepłacając za gaz i sprzęt wojskowy

flikt dyplomatyczny. Podczas gdy znaczenie pierwszego jest w Polsce w sposób rażący wyolbrzymiane, waga drugiego jest z niezrozumiałych powodów marginalizowana. Bez względu na to, co o Polsce napisano w „The Washington Post” czy „The New York Times”, obowiązkiem polskiego rządu było podjęcie adekwatnych dyplomatycznych kroków. Do dyspozycji polskich przywódców pozostawała cała gama narzędzi pozwalających im skutecznie odeprzeć izraelski atak i nie tylko ochronić, lecz także wręcz istotnie wzmocnić prestiż państwa na arenie międzynarodowej. „Jeśli zaraz po odkryciu zamiarów przeciwnika zgromadzisz swe siły, nawet jeśli jesteś słabszy od niego, to odniesie się on do ciebie z szacunkiem, a przede wszystkim zyskasz sobie poważanie u władców ościennych, z których niejeden przyjdzie ci wtedy z pomocą, choć nigdy by tego nie uczynił, gdyby nie ujrzał cię gotowym do

boju” – pisze Machiavelli. Polska mogła i powinna była z miejsca usadzić swoich nieprzyjaciół, podejmując rutynowe w tego typu przypadkach działania: wzywając ambasadora, wręczając notę, odwołując własnego dyplomata z Tel Awiwu, w końcu wydając oficjalne ostre stanowisko, które pozbawiłoby Izrael złudzeń, co do skuteczności jego impertynenckiej polityki. Rząd mógł zrobić wszystkie te rzeczy po kolei lub stopniować swoją odpowiedź. Nie zrobił żadnej z nich. Zamiast tego skupił się na spotkaniach z mediami i nagrywaniu filmików.

KOLONIALIZM USA

Pozostaje nam jeszcze wątpliwość nadzieja, że historia ta unaoczniała jakiejś grupie wyborców naturę klientelistycznego stosunku łączącego Rzeczpospolitą ze Stanami Zjednoczonymi oraz że wbrew rządowej propagandzie państwo polskie nie wstało z kolan, tkwiąc dokładnie w tej samej pozycji, w której widział je swego czasu Radosław Sikorski. Doświadczenie to powinno uciąć wszelkie spekulacje na temat tego, czy Polska pod dobroczynną protekcją Stanów Zjednoczonych może stać się środkowoeuropejskim Izraelem – zakotwiczonym u granic Rosji lotniskowcem, który Ameryka będzie nasycać nowoczesnym sprzętem, technologiami i kapitałem. Zarówno obecna sytuacja, jak i kwestia zakupów amerykańskiego uzbrojenia oraz gazu świadczą dobitnie o stricte kolonialnym stosunku Stanów do Polski. Rzeczpospolita ma odgrywać dokładnie tę samą rolę, którą odgrywały niegdyś zamorskie kolonie imperium brytyjskiego – ma być rynkiem zbytu dla towarów powstających w „starej dobrej Anglii”, dodatkowo w razie konfliktu Rosja – NATO to Polska właśnie, jako flanką, ma stać się areną działań zbrojnych, przyjmując uderzenia iskanderów. O ile trudno dostrzec powody, dla których Polska mogłaby się zgodzić na odgrywanie pierwszej z tych ról, o tyle druga wolno jej odgrywać jedynie pod warunkiem adekwatnego wynagrodzenia. Tutaj jednak niespodziewanie okazuje się, że Amerykanie nie tylko nie muszą Polsce niczego płacić, lecz także oczekują, że to właśnie Polska będzie płacić im, przepłacając za gaz i przestarzały sprzęt wojskowy. Absurd ten jest możliwy wyłącznie dzięki mentalnej kolonizacji polskich elit.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem portalu Kresy.pl.



SZEWACH WEISS

Tykająca bomba

Wojna z kalifatem islamskim jeszcze się nie skończyła i z pewnością walka z tą ideologią będzie trwała jeszcze wiele lat, ale kalifat został pozbawiony terytorium. Kto jest wygranym w wojnie w Syrii, w której wzięły udział państwa bliskowschodnie i mocarstwa zachodnie? Władimir Putin. Po wielu latach dominacji Stanów Zjednoczonych Rosja wróciła na Bliski Wschód. USA zostawiły tu próżnię, którą zagospodarowała i w której dobrze się odnajduje Rosja. W polityce jak w życiu, nie ma próżni.

Donald Trump i jego administracja już działają w innym kierunku, związanym z Egiptem, Arabią Saudyjską, kilkoma Emiratami, Jordanią i Izraelem, który jest i najprawdopodobniej będzie głównym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. Istnieje plan, który ma być próbą powrotu do tzw. mapy drogowej z czasów prezydenta Busha. Do jego realizacji potrzeba współpracy Palestyńczyków. Jednak po deklaracji Trumpa o przeniesieniu ambasady Stanów Zjednoczonych do Izraela możliwość porozumienia się z Palestyńczykami oddaliła się. Wykorzystuje to Władimir Putin, bo z jego punktu widzenia to następna próżnia do zagospodarowania i możliwość kolejnego poszerzania wpływów na całym Bliskim Wschodzie. Podczas ubiegłotygodniowego spotkania Putina z prezydentem Autonomii Palestyńskiej Mahmudem Abbasem Putin rozmawiał telefonicznie z Donaldem Trumpem. Palestyńczycy liczą na to, że Rosja będzie brała udział w negocjacjach pokojowych między Izraelem i Palestyńczykami. Nie jestem pewien, jak postąpi administracja Donalda Trumpa. Prezydent Stanów Zjednoczonych najwięcej energii poświęca polityce wewnętrznej i sprawom gospodarczym, ograniczając aktywność nie tylko

na Bliskim Wschodzie, lecz także w Europie oraz NATO. To w jakimś stopniu powrót do tradycyjnej, historycznej polityki republikanów polegającej na samoizolacji. Jednak dziś taka izolacja nie jest możliwa.

Obecna sytuacja w Syrii jest dopiero początkiem stabilizacji. Władimir Putin mocno popiera prezydenta Baszara al-Asada, ale nie wiadomo do końca, czy to on sprawuje realną władzę, czy jest to jakaś większa grupa, nie wiadomo też, jaki plan co do przyszłości Al-Asada ma Putin. Z kolei Stany Zjednoczone żądają, by w żadnym planie stabilizacyjnym dotyczącym Syrii nie było miejsca dla Al-Asada. Tymczasem Iran wyrasta na mocarstwo, które od dawna ma wielki wpływ na Bliski Wschód, ale chce być siłą numer jeden w tej części świata i jednym z najważniejszych rozgrywających w polityce światowej. Niezależnie od rozwiązania kryzysu wewnętrznego, z którym boryka się kraj, Irańczycy nie zrezygnują z mocarstwowych ambicji.

Iran ma ogromny wpływ na Liban i działając w Syrii, wzmacnia swój potencjał wojskowy w Libanie. Ma tam bazy, lotniska, prawdopodobnie tworzy przemysł wojskowy, a może nawet część swojego programu jądrowego. Rosja Putina popiera Iran, ale to poparcie jest ograniczone, jeśli chodzi o Syrię. Moskwa chce mieć wyłączny wpływ na Syrię i nie potrzebuje do tego wspólników.

Kolejny ważny gracz na Bliskim Wschodzie – Izrael – nie może sobie pozwolić na sytuację, w której na jego północnych i północno-wschodnich granicach będą Iran i jego rakiety zagrażające całemu terytorium Izraela. A ta sytuacja jest blisko. Dlatego izraelska armia na terenie Syrii stara się zahamować rozwój irańskich baz. Ponieważ Rosja także ma swoją bazę na terenie Syrii, Izrael jest z nią w ciągłym kontakcie, by nie doszło do zderzenia obu sił. To specyficzny układ, bo Putin jest aliantem Syrii,

na wielu płaszczyznach popiera też Iran, ale nie jest wrogiem Izraela, z którym Rosja ma lepsze kontakty niż jeszcze kilka lat temu.

Napięta sytuacja na Bliskim Wschodzie jest jak bomba, która może w każdej chwili wybuchnąć i doprowadzić do wojny między Izraelem a Syrią. Izrael nie ma interesu w konflikcie, ale nie może sobie pozwolić na to, by został de facto otoczony przez Iran (który ma już wpływ na rządzący w Strefie Gazy Hamas), to jest dla Izraela sprawa egzystencjalna. Izrael nie przeżyje wojny, stara się załatwić tę sprawę politycznie, będąc w koalicji ze Stanami Zjednoczonymi i nie chce stracić możliwości realizacji planu pokojowego Donalda Trumpa i „obozu zachodniego” na Bliskim Wschodzie.

W najbliższych tygodniach i miesiącach z pewnością będą podejmowane starania, by zapoczątkować wprowadzanie takiego planu pokojowego. Wydaje mi się, że w tych staraniach swoje miejsce znajdzie Władimir Putin. Stał się przecież najważniejszym graczem na Bliskim Wschodzie. © ©

oprac. raw

„Do Rzeczy” poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną**, by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.



Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00

Gestapo boys i „polskie obozy”?

Wejście do głównej siedziby BND w Pullach koło Monachium, 1979 r.

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES



Tomasz Kaźmierowski

Narracja zmieniająca „Niemców” w „nazistów” i dzielenie się winą rozpoczęły się niedługo po wojnie. Jaką rolę odegrały w nich tajne służby, w których swoje miejsce znaleźli zatrudnieni przez nie byli esesmani?

Od moczarów Elfmorgen na wschodzie badeńskiego Karlsruhe w kierunku centralnie położonego pałacu biegnie Gerwigstrasse. Po wojnie w tym mocno zniszczonym mieście, leżącym w amerykańskiej strefie, znalazło schronienie więcej Niemców ze Śląska niż z pobliskiej Alzacji. Miasto bardzo zubożało i odbudowywało się wolniej niż wiele innych w Badenii-Wirtembergii. Jednak właśnie w Karlsruhe, nie

później niż w 1947 r., otworzyła swoją raczej skromną siedzibę, z wejściem od podwórza, firma Zimmerle & Co, producent rolet.

Wiele powstałych wówczas firm stanowi dziś o bogactwie regionu, ale nie Zimmerle. Ta firma była jedynie „przykrywką” dla powołanej przez tzw. Organizację Gehlena zakamuflowanej komórki kontrwywiadowczej, Dienststelle 114. Komórka ta zatrudniała setki ludzi, równie ciekawych

jak jej wywiadowcza firma matka, sama licząca kilka tysięcy specjalistów. Umiejscowiona w ośrodku w Pullach (wcześniej miejscu spotkań bonzów NSDAP) Organizacja Gehlena, podobnie jak i Dienststelle 114, nie mogłyby działać, gdyby nie dyskretna opieka CIA i, od 1949 r., przymknięte oko władz RFN. Służba wywiadowcza Bundesrepublik, BND (Bundesnachrichtendienst), miała przecież powstać dopiero w 1956 r. Tajne służby jednak nie znoszą próżni, szczególnie w czasach takiego napięcia jak okres zimnej wojny.

LUDZIE HIMMLERA

Chociaż umowa z Amerykanami przewidywała, że Gehlen nie będzie rekrutował zbrodniarzy i, szerzej, ludzi Himmlera z RSHA, to bardzo krótko stosował się do tego zobowiązania. Szybko na ważnych stanowiskach Organizacji

i Dienststelle 114 pojawili się zbrodniarze, i to wielkiego kalibru.

Sama Dienststelle 114 była zarządzana przez Alfreda Benzinger, wcześniej funkcjonariusza nazistowskiej Tajnej Policji Polowej (Geheime Feldpolizei). Ta podlegająca Abwehrze formacja tajnej policji w swej masie nie była rekrutowana spośród żołnierzy, a głównie z szeregów gestapo i kripo. Do jej zadań należało zwalczanie szpiegostwa i sabotażu w strukturach Wehrmachtu. Słynęła z brutalnych przesłuchań jeńców wojennych i szpiegów.

W Organizacji Gehlena lub we włączonej do niej później Dienststelle 114 kierownicze stanowisko objął także niedawny SS-Oberführer Wilhelm Krichbaum, w czasie wojny dowódca tejże Tajnej Policji Polowej. Pracę znaleźli ponadto u Gehlena tacy specjaliści z SS i SD jak Konrad Fiebig, oskarżony m.in. o mord 11 tys. białoruskich Żydów, Walter Kurreck, oficer zbrodniczej Einsatzgruppe D, Georg Wilimzig, szef Einsatzkommando IV/2 winien śmierci tysięcy polskich cywilów, czy Johannes Clemens, znany szerzej jako „Tygrys z Como”, współsprawca masakry w Rowach Ardeatyńskich. Nawet tak prominentni zbrodniarze jak zastępca Eichmanna Alois Brunner, „rzeźnik Lyonu”, SS-Sturmabführer Klaus Barbie czy SS-Brigadeführer Franz Alfred Six, winien masowych zbrodni na Żydach i jeńcach wojennych, oraz SS-Sturmabführer Emil Augsburg (specjalista w sprawach polskich) znaleźli w Organizacji Gehlena nie tylko bezpieczną przystań, lecz także nowe, odpowiedzialne zadania. Brytyjska prasa szybko nadała jej trafny epitet „Gestapo boys”, jednak trudno się dziwić, że w Niemczech akurat ta marka się nie przyjęła.

Reinhard Gehlen, człowiek służb, który przez całe zawodowe życie bardzo dbał o dyskrecję, pozostaje znany szeroko jako oficer, w końcu generał i kierownik Wydziału Sztabu Generalnego Fremde Heere Ost (FHO), wywiadu wojskowego „Wschód” w latach 1942–1945 oraz jako twórca i długoletni szef Organizacji Gehlena i BND. Ten nieprzeciętny człowiek, wychowany w rodzinie dolnośląskiego wydawcy, wcześniej majora kajzerowskiej artylerii, był i jest postrzegany jako pruski narodowiec konserwatywa. Jedynie wąska grupa badaczy ma świadomość, że Gehlen już w 1937 r. był SS-Sturmabführerem,

a od wiosny 1942 r. jego kluczowym partnerem – było, że konkurentem, acz zaskakująco lojalnym – był Walter Schellenberg, szef wywiadu SS, najbliższy zaufany Himmlera. W wielu dużej wagi sprawach Schellenberg i Gehlen występowali razem. Tak było np. z projektem utworzenia antystalinowskich oddziałów z milionowej rzeszy sowieckich jeńców (tzw. Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, a następnie Sił Zbrojnych Komitetu Wyzwolenia Narodów Rosji), który – wobec oporu Hitlera, części oficjeli i generałów – nabrał kształtów dopiero po poparciu Własowa przez Himmlera.

Gehlen aktywnie współpracował z Schellenbergiem również po 20 lipca 1944 r., kiedy to wywiad SS przejął Abwehrę kierowaną przez adm. Canaris, a niektórzy koledzy Gehlena ze sztabu byli torturowani i skazywani na śmierć.

Nie ulega wątpliwości, że podobnie jak Heusinger (późniejszy generalny inspektor Bundeswehry), którego ściągnął do Organizacji, Gehlen akceptował zbrodniczy sposób prowadzenia wojny, współpracował z najbardziej bezwzględni dowódcami, miał pełną orientację w kwestiach traktowania jeńców i ludności cywilnej, a także stosowania taktyki spalanej ziemi oraz jej następstw dla mieszkanców.

Z oddaniem kierował FHO niemalże do samego końca, za co dwukrotnie – w grudniu 1944 r. i na początku kwietnia 1945 r. – awansował najpierw do stopnia generała majora, a następnie generała porucznika.

NARODZINY NAZISTÓW

Dienststelle 114, kierowana przez zwanego „Tłuściochem” Benzinger, zajmowało się nie tylko kontrwywiadem i monitorowaniem lewicowców. Najbardziej zaufanych ludzi, w tym Benzinger, Gehlen wykorzystywał także do rozmaitych, zazwyczaj bardzo ogólnie nakreślonych prac koncepcyjnych.

Jednym z trudnych wyzwań dla odradzających się Niemiec Zachodnich było rosnące odium niemieckiej odpowiedzialności za Holocaust. U progu 1956 r. właśnie Alfred Benzinger miał wymyślić „polskie obozy koncentracyjne” i sugerować delikatne propagowanie w mediach tego terminu w sytuacjach, gdy kwestia dotyczyła niemieckich obozów na terytorium

okupowanej Polski. Jeśli fakty te zostaną potwierdzone przez niemieckich historyków badających obecnie archiwa BND, to bez wątpienia wykonanie tak skutecznej semantycznej manipulacji stanie się sensacyjnym wątkiem nie tylko historycznych publikacji. Skuteczność domniemanego wynalazku Benzinger wzmógł fenomen powolnego przepoczwarzania się w światowych mediach „niemieckich zbrodni” w „zbrodnie nazistowskie”, w znacznym stopniu podyktowany niechęcią obydwu obozów zimnej wojny do nadmiernego obciążania swoich nowych sojuszników, dla jednych – RFN, dla drugich – NRD. I to zjawisko, podobnie jak „geograficzny skrót myślowy” w przypadku „polskich obozów”, miało u źródeł przekonujący powód: to przecież niemiecka antyhitlerowska emigracja rozpropagowała w prasie anglosaskiej nazywanie swoich przeciwników terminem „Nazi”.

Nie ulega wątpliwości, że wśród zadań powojennej niemieckiej polityki zagranicznej odbudowywanie dobrego wizerunku przez Niemcy zajmowało priorytetowe miejsce. Brali w tym aktywny udział agenci BND, że wspomnę choćby arcyważną misję Vogla u Ben Guriona, prowadzoną na bezpośrednie zlecenie Adenauera. W tym właśnie okresie, ledwie 15 lat po wojnie, podczas nowojorskiego spotkania w hotelu Waldorf Astoria, i potem, Ben Gurion zaaprobował stosowanie do niemieckich zbrodni określenia „Nazi”, stawiając „nazistów” w ostrym kontraście do Adenauera, Globkego (którego przeszłość znał) i „nowych Niemiec”. Ostra krytyka, z którą spotkał się za to w Izraelu, była dla premiera mniej istotna niż wsparcie finansowe i dostawy uzbrojenia z RFN, jakie jego ekipa wynegocjowała z Adenauerem i Straussem, tak potrzebne zagrożonemu młodemu państwu.

Jak wspominałem, termin „Nazi” (wiadomo o jego użyciu w Niemczech już na początku XX w.) do mediów amerykańskich wprowadzili przedstawiciele antyhitlerowskiej emigracji, którzy znaleźli schronienie w Ameryce. Ich uwarunkowanie na konieczność oddzielenia III Rzeszy i rządów NSDAP od Niemiec oraz Niemców jako takich wydało się dziennikarzom i wydawcom zupełnie zrozumiałe, nawet jeśli poparcie dla Hitlera przed wojną i w jej

■ trakcie osiągało niespotykane dla przywódców epoki weimarskiej pozomy. Zachodniemieckie media podjęły użycie tego słowa dopiero z końcem lat 40., jednak nigdy nie znalazło ono w Niemczech tak masowego i bezrefleksyjnego zastosowania jak w Ameryce i Europie Zachodniej, co w dużym stopniu jest zasługą większości niemieckich historyków konsekwentnie używających w niemieckojęzycznych publikacjach i wewnątrzniemieckiej debacie precyzyjnego terminu „Nationalsozialisten” dla członków NSDAP (który z kolei liczni lewicowi publicyści najchętniej by pogrzebali) i „Drittes Reich” lub „NS-Stat” dla państwa sprawcy.

Propagandyści RFN – ci z mediów, rozmaitych fundacji kulturalnych i naukowych, ministerstwa spraw zagranicznych oraz z wywiadu – bez wątplenia już od wczesnych lat rządów Adenauera widzieli wartość w stylizowaniu zastąpienia przymiotnika „German” przez „Nazi”. Świadczą o tym i skrupulatne przedruki wypełniających to zadanie, pełnych uproszczeń publikacji mediów anglosaskich, i dostępne relacje z interakcji niemieckich polityków z zagranicznymi partnerami (szczególnie amerykańskimi i izraelskimi), a wreszcie publikacje bardzo wpływowego Niemieckiego Instytutu Historycznego w Waszyngtonie (z tytułami takimi jak np. „The Consequences of Nazi Hegemony for Europe”, „The American Debate on Nazism”, „Coping with the Nazi Past”, „Nazi Crimes and the Law”). W samych Niemczech, po wielkim sukcesie amerykańskiego serialu „Holocaust” w 1979 r. i przeprowadzonych krótko potem badaniach opinii, niemieccy historycy nie dawali wiary, jak wielu Niemców identyfikowało „Nazi crimes” i „NS-Verbrechen” z Polakami.

SŁODKIE ZBIORY

Jak wspominałem, autorstwo Benzingera w kwestii „polskich obozów” wzbudza wątpliwości. Głównym źródłem informacji pozostają dwaj byli pułkownicy NRD-owskiego wywiadu, Klaus Eichner i Gotthold Schramm, którzy na różnych etapach swojej kariery rozpracowywali BND, a po 1989 r. byli związani z lewicowymi Die Linke i postkomunistyczną PDS. Nieliczne opinie historyków w tej sprawie są pełne ostrożności, zaś niemiecka prasa ocenia wiarygodność publikacji Eichnera i Schramma rozma-



Reinhard Gehlen w czasie II wojny światowej. FOT. ARCHIWUM

icie, od pozytywnego odbioru przez „Süddeutsche Zeitung”, do pełnego wątpliwości „Berliner Zeitung”. W Polsce ostatnio wypowiedział się w tej sprawie prof. Krzysztof Ruchniewicz, dość zdecydowanie kwestionując rolę Benzingera i protoplastów BND w ogóle. Ruchniewicz, historyk Uniwersytetu Wrocławskiego, dyrektor Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy’ego Brandta, członek rady naukowej fundacji Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie, zwrócił się z pytaniem w tej sprawie do wspomnianej, pracującej od kilku lat niemieckiej komisji historyków powołanej do zbadań historii i związków niemieckich służb z narodowym socjalizmem. Jak napisał wrocławski historyk: „Odpowiedź była negatywna”. Odnoszę wrażenie, że to co najmniej nazbyt pośpieszne zamknięcie sprawy, sprawujące wręcz wrażenie, jak gdyby było obliczone na usunięcie tego tematu z gorących, niestety nader powierzchownych i emocjonalnych, dyskusji ostatnich tygodni. Niektórzy komentatorzy zwracają ponadto uwagę na użycie terminu „polskie obozy” przez Jana Karskiego w artykule dla „Collier’s”, Zofię Nałkowską w „Medalionach” czy we wspomnieniach Eugene’a Weinstocka, nie zawsze, niestety, zauważając, że autorzy ci nie pozostawiali w swoich tekstach wątpliwości co do organizatorów, zarządców i sprawców.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że liczni niemieccy historycy niemal od

dwóch dziesięcioleci walczą o nieograniczony dostęp do akt BND i jej protoplastów. W latach 2004 i 2005 wydawało się, że dostęp do nich uzyska szanowany historyk Gregor Schöllgen, jednak federalny urząd kanclerski ostatecznie mu to uniemożliwił.

W drugim podejściu wiele z warunków stawianych wcześniej przez Schöllgena zostało zaakceptowanych. Od paru lat czterech niemieckich historyków – Jost Dülffer, Klaus-Dietmar Henke, Wolfgang Krieger i Rolf-Dieter Müller – wraz grupą badawczą mozolnie wgryza się w ogromny zasób. Jedynym, acz pojemnym interpretacyjnie ograniczeniem swobody pracy historyków jest warunek „nienaruszenia interesów bezpieczeństwa Republiki Federalnej i praw osobowych”.

Oprócz tego ograniczenia nie sposób nie wspomnieć o wielokrotnie w Niemczech omawianej niekompletności akt tego zasobu. W nieznanym opinii publicznej i historykom sposób przez dziesięciolecie znikający tak z zasobu papierowego, jak i z komputerów fragmenty tajnych akt, jak choćby w głośnej sprawie Aloisa Brunnera, wspomnianego zastępcy Eichmanna. Należy raczej przyjąć, że ani prof. Ruchniewicz, ani nikt inny jeszcze co najmniej przez jakiś czas nie będzie mógł kategorycznie ocenić zarówno domniemanego zaangażowania Benzingera w kwestię „polskich obozów”, jak i stopnia, w jakim Organizacja i BND wspomagały narracje ukierunkowane na „podzielenie się winą” i poradzenie sobie z przeszłością. Tym cenniejsze, nawet jeśli nieco spóźnione, są niedawne oświadczenia Sigmara Gabriela i Angeli Merkel, którzy nie pozostawiają wątpliwości w kwestii odpowiedzialności za obozy III Rzeszy.

Ludzie Gehlena i Benzingera w przeważającej opinii establishmentu samej RFN lat 60. i 70. nie mieli wielkich osiągnięć, szczególnie w walce z wywiadem sowieckim, który szantażując licznych byłych esesmanów w szeregach Organizacji, skutecznie dezinformował ją i destabilizował, a w oczach wielu nawet ośmieszył.

Gdyby jednak Benzinger i Gehlen żyli do dziś, na przełomie stycznia i lutego 2018 r. być może gratulowałiby sobie zbiorów tego powojennego zasiewu. Jak wiadomo, late harvest bywa zaskakująco słodkie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prezesem fundacji Identitas.

NIEZAPOMNIANY KONCERT

16 MARCA
WROCŁAW
GODZINA 20.00

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta



BILETY DO NABYCIA | W kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11:00–18:00

REZERWACJA BILETÓW | Rezerwacji biletów można dokonać telefonicznie od poniedziałku do piątku w godzinach 9:00–17:00 oraz w soboty w godzinach 15:00–20:30 pod numerem telefonu: +48 71 715 97 00. Rezerwacji można dokonać także e-mailowo pod adresem: rezerwacje@nfm.wroclaw.pl.

REZERWACJA ONLINE

WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL

ORAZ

ORKIESTRA NFM
FILHARMONII
WROCŁAWSKIEJ
POD BATUTĄ
JANA STOKŁOŚY

NARODOWE FORUM MUZYKI PLAC WOLNOŚCI 1, WROCŁAW

MECENAT KONCERTU

PARTNERZY

WSPÓŁORGANIZATOR

Wrocław the meeting place



PATRONI MEDIALNI



eprasa.pl a8343d283b



Piotr Semka

Niemal pół wieku, między rokiem 1870 a 1918, Rzesza Hohenzollernów okupowała francuską Alzację i Lotaryngię. To, jak przywracano „germański wizerunek” Strasburga i jak neogotyck służył germanizacji podbitych ziem, pokazała wystawa w Strasburgu

Place de la République w Strasburgu nosi swoją nazwę od listopada 1918 r. Wcześniej nazywał się Kaiserplatz, pysznił się konnym pomnikiem Wilhelma I i był centrum Neustadt – dzielnicy reprezentacyjnych gmachów, które uświetniać miały nową, pruską epokę w podbitej w 1870 r. Alzacji. Nie licząc się z kosztami, berlińscy architekci wybudowali tu w końcu XIX w. aż pięć bombastycznych gmachów – pałac cesarski, budynek władz Reichsland Elsass – kraju Rzeszy Alzacja, teatr miejski, gmach urzędu finansów i wreszcie bibliotekę uniwersytecką, wzorowaną na gmachu Reichstagu w Berlinie.

I nic dziwnego, że właśnie w tym ostatnim wilhelmińskim gmaszysku zorganizowano wystawę „Neogotyck – fascynacja i reinterpretacja średniowiecza w Alzacji 1880–1930”.

WSZYSTKIEMU WINNY GOETHE

Być może niemiecki sen o odzyskaniu Alzacji nie byłby tak silny, gdyby nie wpływ samego Johanna Wolfganga Goethego. Ten gigant literatury wybrał w 1770 r. francuski wówczas Strasburg i jego uniwersytet na miejsce dokończenia swoich studiów zaczętych w Lipsku. W metropolii nad Renem Goethe zachwycił się gotykiem. Przeżył olśnienie katedrą strasburską, a za wzór artysty uznał jej architekta – Erwina von Steinbacha (ok. 1244–1318).

Historyk sztuki Emiliano Ranocchi tak opisuje tę artystyczną iluminację: „Kiedy dwudziestoletni student prawa Johann Wolfgang Goethe po raz pierwszy wstąpił na plac przed katedrą w Strasburgu, głowę miał nafaszerowaną klasycystyczną doktryną deprecjonującą tzw. styl gotycki wyniesioną ze studiów w Lipsku. Tymczasem zetknięcie się z olbrzymią, niedokończoną

bryłą strasburskiej katedry stało się dla niego prawdziwym objawieniem, którego zapisem jest tekst pt. »Von Deutscher Baukunst« (»O architekturze niemieckiej«), opublikowany wprawie anonimowo w 1772 r., a rok później wznowiony w swoim manifestie nurtu Sturm und Drang, jakim była książeczka »Von Deutscher Art und Kunst« (»O niemieckim charakterze i niemieckiej sztuce«). Kilkustronicowy tekst, napisany dosyć egzaltowanym stylem, będący czymś w rodzaju hymnu prozą, stanowił przełom w dziejach estetyki zachodniej. Młody autor podejmuje w nim polemikę z klasycystyczną doktryną imitacji, która od czasów humanizmu niepodzielnie panowała w estetyce i poetyce europejskiej. [...] Nazywając styl strasburskiej katedry »architekturą niemiecką«, młody poeta dokonuje jednego z pierw-

szych wyłomów w uniwersalistycznej estetyce oświecenia, sugerując autonomiczny, niezależny od wzorów klasycznych, rozwój »architektury niemieckiej«”.

Goethe pisał: „Takie właśnie najgłębsze zadowolenie odczuwamy, patrząc na tę oto świątynię. Widzimy bowiem, że wszystkie ornamenty i każdy z osobna idealnie są zastosowane do tej części, którą zdobią, że są w nią wkomponowane, że są z nią poniekąd organicznie związane”.

W ślad za wieszczem z Weimaru liczni niemieccy pisarze zaczęli sławić strasburską katedrę jako idealne wcielenie niemieckiej czystości formy. Strasburg uznano za średniowieczny klejnot Niemiec bezprawnie zrabowany w 1681 r. przez zaborczego, francuskiego sąsiada zza Renu. Pojawiły się głosy, że miasto, znajdujące się raptem półtora wieku



Gotyk w służbie

Wielkich Niemiec

Zamek Hochkönigsburg – kosztowna zabawka cesarza Wilhelma II – nie skończył jeszcze 110 lat
FOT. FOTOLIA

beschule, czyli szkoła rzemiosł artystycznych, której profesorowie tacy jak Karl Spindler, Joseph Sattler czy Léo Schnug wyznaczyli wysoki poziom w inspiracji gotykiem i niemieckim renesansem z epoki Albrechta Dürera. Malarstwo, grafika, złotnictwo, sztuka edytorska, snycerka – dbano o wszystkie rzemiosła. Profesorowie wskazywali na epizody z dziejów Alzacji w obrębie Rzeszy, zachęcano do germańskich legend, postaci niemieckich cesarzy i średniowiecznych świętych. Szkole pomaga nowo utworzone Mittelalterliches Seminar – instytut historii średniowiecznej na uniwersytecie strasburskim. W latach 1879–1900

opracowano fachowo i wydano zbiory najstarszych aktów prawnych miasta. Niemieckie mieszczaństwo też chce pomagać w patriotycznych badaniach. W 1872 r., czyli dwa lata po zajęciu miasta, powstaje Związek na Rzecz Badania Niemieckiej Przeszłości Alzacji. Ruinami zamków i wytyczaniem górskich szlaków w myśl niemieckiej filozofii odkrywania ojczyznej natury zajmuje się stworzony także w 1872 r. Vogesenclub.

Strassburger Münster-Verein, czyli związek (miłośników) katedry strasburskiej, zbiera środki na konserwację świątyni. Różne lokalne stowarzyszenia

historyczne w Alzacji gromadzą mity i legendy. Ulubioną postacią jest Waltaari – heros germański z epoki Atylii, którego pochówku szukano w górach Wogezach.

W Strasburgu władze budowały liczne gmachy publiczne w stylu neogotyku z dekoracjami nawiązującymi do średniowiecznych legend i bohaterów. W stylu neogotyku zbudowano gmach poczty (1896) czy ogromny protestancki kościół pw. św. Pawła (1892, arch. Louis Müller). Drugim propagowanym stylem akcentującym niemieckość jest neoromanizm, w którym to stylu powstaje nowy katolicki kościół pw. św. Piotra (1893–1899, arch. Skjold Neckelmann i August Hartel) oraz synagoga (1896, arch. Ludwig Levy).

w galijskiej niewoli, z pewnością nie utraciło niemieckiego ducha i czeka tylko na powrót do Rzeszy.

Nic więc dziwnego, że gdy w 1870 r. wybuchła wojna Prus z Napoleonem III i zajęto miasto wraz z całą Alzacją i Lotarynią, szerokim echem rozległo się żądanie powrotu „zrabowanych prowincji” do macierzy. Bismarck uległ romantycznym uniesieniom. Cesarstwo włączyło obie prowincje do Rzeszy, a regermanizacja „prastarego miasta cesarskiego” stała się wręcz obsesją Prusaków. Do Strasburga i nowych prowincji wysyłano setki nauczycieli urzędników, głównie z biednych Prus Zachodnich i Wschodnich, którym wyznaczono misję „Kulturträgerów” – pionierów niemieckiej cywilizacji i kultury. Duchowemu oczyszczeniu Alzaczyców z francuskiego blichtru pomagać miała wi-

zualna przemiana

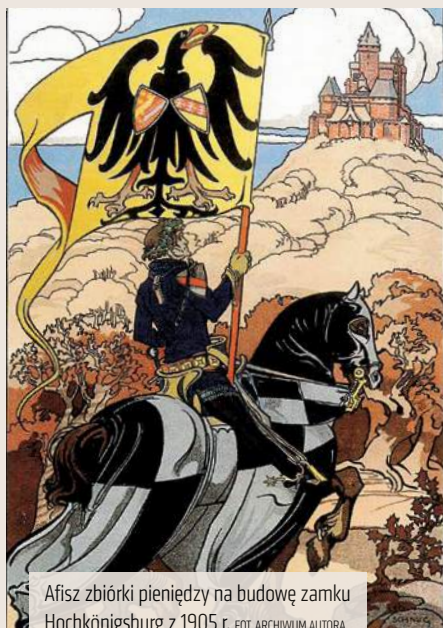
miasta. Autorzy wystawy wskazują: „Moda na neogotycką miała wymiar symboliczny. Służyła usprawiedliwieniu »powrotu« Alzacji do imperium niemieckiego”.

Krzywiono się na rokokowy i klasycystyczny styl kojarzony z „galijskim zepsuciem”. Nowe władze zalecały przy projektowaniu nowych gmachów publicznych i miejskich używanie średniowiecznych wzorów oraz ornamentów. Chodziło o nawiązanie do średniowiecza, gdy Strasburg był wolnym miastem w obrębie Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego.

GOTYCKI IDEAL

Centrum nowej stylistyki stała się stworzona przez Niemców Kunstgewer-





Afisz zbiórki pieniędzy na budowę zamku Hochkönigsburg z 1905 r. FOT. ARCHIWUM AUTORA



„Święty Jerzy” – grafika Leo Schnuga z I wojny światowej. Patron z żelaznym krzyżem na tarczy walczy z francuskim smakiem FOT. ARCHIWUM AUTORA



Satyryczna postać prof. Gneissego zwalcząca francuskiego ducha w Alzacji FOT. ARCHIWUM AUTORA

Przez pewien czas – w odruchu zachwytu nad oryginalnym średniowiecznym projektem Erwina von Steinbacha – planowano nawet dobudowanie drugiej niedokończonej wieży katedry strasburskiej. Na szczęście ojcowie miasta dali się przekonać rozsądnym głosem, że katedra z jedną wieżą wrosła już w tradycję miasta. Tak samo odrzucono projekt rozbudowy zachodniej fasady katedry z 1880 r., słusznie uznając, że katedra jest piękna bez współczesnych dobudówek.

KAPRYS KAJZERA

Jednak najbardziej efektownym symbolem pruskiego władania nad Alzacją stała się odbudowa zamku Hochkönigsburg w Wogezach. Cesarz Wilhelm II u kresu XIX w. postanowił w swej megalomanii, że na kresach swojego imperium zbuduje twierdzę – symbol potęgi Rzeszy. W myśl tych ambicji odbudowano dobrze nam znany Malbork jako strażnicę przed „polską beczelnością”. W Poznaniu symbolem woli obrony „wschodnich kresów niemczyzny” miał być neoromański zamek cesarski. W alzackich Wogezach wroga z zachodu miał odstraszać Hochkönigsburg.

W 1899 r. miasto Schletterstadt, do którego należały ruiny zniszczonego w wojnie trzydziestoletniej zamku, oddało cesarzowi Wilhelmowi teren warowni na własność jako symbol przynależności Alzackich do narodu niemieckiego.

Odbudowę, a tak naprawdę budowę zamku zajął się architekt Bodo Ebhardt, który uporał się z ambitnym wyzwaniem w latach 1899–1908. Na wystawie w bibliotece w Strasburgu można zobaczyć, jak wokół idei „cesarskiego gniazda” zorganizowano masową zbiórkę funduszy, czym zajęło się towarzystwo społecznego poparcia dla odbudowy zamczyska.

Cała ta neogotycka maskarada potrzebowała dziesiątek rzemieślników, którzy rekonstruowali komnaty w stylu epoki rycerzy krzyżowców, trubadurów i blondwłosych księżniczek.

Wreszcie 13 maja 1908 r. zamek przekazano uroczystość Wilhelmowi II.

Nie obyło się bez przebranych w średniowieczne i renesansowe stroje mieszczuchów. Zarządca Rzeszy na teren Alzacji i Lotaryngii, książę Hermann zu Hohenlohe-Langenburg, wskrzesił średniowieczny rytuał – coroczne konkursy minnesingerów w Zielone Świątki. Gdy ogląda się stylizowane na epokę niemieckich

Hohenstaufów plakaty reklamujące konkurs, aż wierzyć się nie chce, że działo się to w epoce motoryzacji i powszechnego prawa wyborczego.

Pruskie wysiłki na rzecz wskrzeszenia średniowiecza wywoływały kpiny po stronie zwolenników Francji. Najbardziej ciętym kpiarzem był rysownik Jean-Jacques Waltz, który pod pseudonimem Hansi kpił z pruskich porządków. W swych karykaturach wyszydzał takie symboliczne postacie jak tępy pruski akademik Knatschke, próbujący naukowo szerzyć kult kajzerów i pielgrzymujący na zamczysko Hochkönigsburg, czy prof. Gneisse, walczący ze smakiem francuszczyzny.

Ostatnia fala odniesień do rycerzy bez skazy i niemieckiej misji obrony Rzeszy na jej zachodnich kresach to okres I wojny światowej. Na masowo wydawanych pocztówkach i plakatach szczególnie często powtarza się motyw św. Jerzego, walczącego ze smakiem republikańskiej Francji.

Cały ten świat posępnej, teutońskiej symboliki zniknął wraz z wojenną klęską Rzeszy i wkroczeniem w listopadzie 1918 r. Francuzów do swych zabranych dzielnic.

Jednak – co ciekawe – nowe władze nie zrezygnowały zbyt szybko ze średniowiecznej symboliki. Tyle że w miejsce germańskich cesarzy wylansowano jako patronkę powrotu do Francji „ziem odzyskanych” – św. Joannę d’Arc pochodzącą z pobliskiej Lotaryngii i kanonizowaną w 1920 r. Kontynuowano też troskliwą konserwację katedry strasburskiej, która miała pokazać jej znaczenie dla kultury francuskiej. Na chwilę do stylizyki niemieckiego średniowiecza stolica Alzacji powróci w czasie kolejnej okupacji niemieckiej w latach 1940–1945, kiedy powstanie tu niemiecka akademii sztuk pięknych.

Po wojnie wokół tych pamiątek po prusactwie zapanowało kłopotliwe milczenie. Obrazy z Barbarossą i rycerzami zapchnięto do najdalszych zakamarków magazynów. Dopiero teraz Strasburg zmierzył się z tym dziwnym dziedzictwem. To, co było w nim propagandowe, zbłądło, a to, co oryginalne, lśni nadal pięknym blaskiem. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Neogotyk – fascynacja i reinterpretacja średniowiecza w Alzacji 1880–1930” w Bibliotece Narodowej i Uniwersyteckiej w Strasburgu czynna była do 28 stycznia 2018 r.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polski ból głowy

Polski ambasador w Waszyngtonie Jan Maria Ciechanowski latem 1945 r. spotkał się z jednym z wysokich rangą urzędników amerykańskiego Departamentu Stanu. W trakcie rozmowy starał się przekonać dyplomata, że Stany Zjednoczone popełniają fatalny błąd, wydając Polskę na pastwę Stalina.

Amerikanin był wyraźnie zniecierpliwiony natręctwami Polaka. I wreszcie wypalił:

– Problem Polski należy jak najprędzej rozstrzygnąć choćby dlatego, że stał się on nieznosnym bólem głowy.

Ambasador Ciechanowski w swoich, wydanych właśnie w Polsce, wspomnieniach opatrzył tę scenę następującym rzecznym komentarzem:

„Przypomniałem sobie wówczas moje wcześniejsze rozmowy z prezydentem Rooseveltem. Jego spontaniczne wyrazy hołdu i najwyższego uznania dla Polski, jego obietnice, pisemne i ustne, wsparcia przez Amerykę sprawy niepodległości Polski. Jego poruszające oświadczenie o poświęceniach wojennych Polski i jej »nieprześcignionej lojalności jako sojusznika«. Jego publiczne określenie Polski mianem inspiracji dla innych narodów.

Przypomniałem sobie też obietnice prezydenta złożone Kongresowi Polonii

Amerykańskiej i wszystkim Amerykanom polskiego pochodzenia, że »nigdy nie pozwoili, by Polska znalazła się pod dominacją jakiegoś obcego mocarstwa«.

Co pozostało z tych wszystkich, ale i wielu innych uroczyste składanych zobowiązań?.

Jakież polskie jest to pytanie! Słowa Ciechanowskiego to kolejny dowód potwierdzający słynne powiedzenie Churchilla: „Polacy mają wszelkie przymioty oprócz zmysłu politycznego”. Biedny ambasador Ciechanowski, nie pojmował, że w polityce nie liczą się żadne – choćby najpiękniejsze – obietnice, pochwały i zobowiązania. W polityce nie ma czegoś takiego jak dług wdzięczności. Nikogo nie interesują „poświęcenia wojenne” i „lojalność sojusznicza”. To są tylko śmieszne frazesy.



★★★★★

JAN CIECHANOWSKI
„PRZEGRANI ZWYCIĘZCY.
WSPOMNIENIA
AMBASADORA
POLSKI
W STANACH
ZJEDNOCZONYCH
W CZASIE II WOJNY
ŚWIATOWEJ”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2017

Aco się liczy w polityce? Interesy i brutalna siła. A ta ostatnia była po stronie Stalina. Myśl o tym, że Londyn i Waszyngton narażają się na konflikt z wielkim światowym mocarstwem, aby ratować małą, nic nieznaczącą i skrwawioną Polskę, była śmieszna, dziecinna mrzonką. Wspomnienia Jana Ciechanowskiego to ciekawy dokument. Świadectwo anglosaskiego pragmatyzmu i polskiej naiwności. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kobiela z M-3

Jednym z najbardziej utalentowanych, ale też najmniej wykorzystywanych przez filmowców aktorów był Bogumił Kobiela. Wprawdzie zagrał w ponad 40 produkcjach, ale z reguły były to role drugoplanowe lub epizody. Tak właściwie tylko w „Zezowatym szczęściu” i w „Człowieku z M-3” powierzono mu główne role, podobnie jak w spektaklu telewizyjnym „Mieszczanin szlachcicem” według Moliera, który jednak został wyemitowany już po tragicznej śmierci aktora.

W Warszawie miał problemy nawet z przydziałem mieszkania

Niemal zupełnie nieznaną pozostaje natomiast fakt, że Kobiela miał zagrać w „Rejsie” Marka Piwowskiego. Reżyser zamierzał obsadzić go w roli fałszywego kaowca, którego ostatecznie odtwarzał Stanisław Tym. I mając w pamięci jego kreację, można tylko sobie wyobrazić, jak w tej roli prezentowałby się Kobiela. Zapewne byłaby to zupełnie inna postać i chyba znacznie ciekawsza. Nie ujmując bowiem nic panu Stanisławowi, Bobek był od niego znacznie lepszym aktorem. Niestety, Bogumił zginął przed rozpoczęciem zdjęć do filmu.

Specyficzny smak dla Kobieli miał natomiast film „Człowiek z M-3” (premiera 21 lutego 1968 r.), gdyż przypominał nieco jego własne

losy. Film opowiadał o lekarzu ortopedzie, który, aby zamieszkać w upragnionym mieszkaniu, musiał ożenić się w ciągu miesiąca. Dwa pokoje z kuchnią przydzielano bowiem wyłącznie żonatym, a on był człowiekiem stanu wolnego. Perypetie uczuciowe dr. Tomasza Piechockiego poprowadzono w sposób niezwykle błyskotliwy, a Kobiela nie zawiódł. Kuchenna scena tenisowego forhendu przy użyciu jajka i patelni to prawdziwe mistrzostwo świata.

Kobiela spędził w Warszawie dziewięć lat (przeniósł się do stolicy z Gdańska), ale chyba nigdy tego miasta nie uznał za własne. W Trójmieście był prawdziwą gwiazdą, potrafił załatwić niemal wszystko, a w czasach PRL znajomości znaczyły więcej niż pieniądze. Natomiast w Warszawie brakowało mu odpowiedniej siły przebicia, miał problemy nawet z przydziałem mieszkania. Ostatecznie dzięki osobistej znajomości z prezesem jednej ze spółdzielni mieszkaniowych otrzymał nieduże M-3 na Powiślu. Lokal mieścił się na ósmym piętrze bloku przy ul. Ludnej, zgodnie z ówczesnymi standardami miał ciemną kuchnię.

Dlatego patrząc na ostatnie ujęcia filmu, gdy główny bohater wraz ze swoją wybranką obserwują budowę bloku, w którym mają dostać mieszkanie, można przypuszczać, że kręcąc tę scenę, aktor miał reminiscencje z własnego życia. Zapewne bowiem w połowie lat 60. nieraz oglądał z żoną plac budowy przy ul. Ludnej i cieszył się na obiecane M-3. ©©

MARCIN MAKOWSKI: We wtorek 6 lutego Rex Tillerson wydał oświadczenie, w którym wyraził dezaprobatę wobec przyjętej przez prezydenta nowelizacji ustawy o IPN. Spodziewał się pan tego ruchu ze strony sekretarza stanu?

COREY LEWANDOWSKI: Przede wszystkim musimy pamiętać, że Departament Stanu wydał dwa oświadczenia w tej sprawie. Pierwsze, zaraz po wybuchu kryzysu polsko-izraelskiego, ze strony dyrektora ds. komunikacji, oraz to, o którym pan wspomina. W tym kontekście słowa Tillersona były znacznie bardziej stonowane. Oczywiście nie wypowiadam się w imieniu obecnej administracji, ale sądzę, że gdy Trybunał Konstytucyjny w Polsce podejmie decyzje – bez względu na to, jaka ona będzie – jedna ustawa nie zaważy na strategicznym sojuszu polsko-amerykańskim.

Mówi pan o stonowanym podejściu do tematu, jednak bezpośrednia zapowiedź „podważenia efektywności sojuszu” między naszymi krajami została wyłożona wprost, bez żadnego „ale”.

W takim razie powiem bardziej bezpośrednio – oczywiście na papierze spór może eskalować, ale według mojej wiedzy tak się nie stanie. Relacje pomiędzy Polską a USA budowane są zbyt długo i zbyt wiele nas łączy, aby jeden kontrowersyjny zapis mógł to zmienić. Amerykański rząd też nieraz podejmuje decyzję, która nie zostanie ciepło przyjęta w Warszawie, to całkowicie normalne w dyplomacji. Długodystansowo gramy w tej samej geopolitycznej drużynie i obie administracje to rozumieją. Czasami może zawodzić komunikacja, dlatego tak ważne jest, aby Donald Trump mógł mianować swojego zaufanego człowieka na stanowisko ambasadora w Polsce, ale to nie jest łatwy proces. Sprawy są w toku.

Mówi pan o „graniu w jednej drużynie”. Skoro tak, to co realnie świadczy o jej sile?

Myślę, że najważniejszym komponentem jest silne zaangażowanie w obecność militarną w Polsce i ogólnie, w Europie Środkowo-Wschodniej. Dajcie niesamowity przykład, wydając 2 proc. PKB na zbrojenia i z tego, co wiem, zaangażowanie rządu w tej materii stale rośnie. Stany Zjednoczone to widzą i razem z Polską chcą budować stabilność regionu. Myślę, że gdyby Warszawa chciała, a Waszyngton dał zielone światło, nad Wisłą powinna się pojawić stała amerykańska obecność wojskowa.





Z Coreym Lewandowskim,
byłym szefem kampanii prezydenckiej Donalda Trumpa
rozmawia w Miami Marcin Makowski

W Polsce powinna się pojawić stała amerykańska obecność wojskowa

Czy doradza pan Donaldowi Trumpowi lokalizację amerykańskich baz wojskowych w Polsce?

Oczywiście, oba kraje by na tym skorzystały. Trzeba to po prostu na chłodno przekalkulować, zapytać o zdanie obu rządów, zastanowić się, w jaki sposób rozłożyć koszty utrzymania wojska – ale sama idea jest moim zdaniem warta realizacji. Nie możemy również zapominać, że większa obecność militarna USA w Polsce przekłada się także na realne inwestycje i zaangażowanie amerykańskich gigantów zbrojeniowych w regionie. Dobrymi przykładami są tutaj obrona przeciwrakietowa i system tarczy Patriot. Właśnie takie realne i obopólne korzyści, które wymagają zaangażowania infrastrukturalnego, cementują sojusze.

Nie ma pan wrażenia, że przez wiele lat, jeśli nie dekad, właśnie tego brakowało w dyplomacji polsko-amerykańskiej? Słowa były piękne, ale nie szły za nimi w parze inwestycje.

Niestety, w dużej mierze tak było. Dlatego cieszę się, że za administracji Donalda Trumpa Ameryka wreszcie wydobywa np. wystarczająco dużo LNG, aby móc go eksportować. I robić to w pierwszej kolejności do zaufanych partnerów. Stany cierpią na problem deficytu eksportowego. Jako duża ekonomia z niezaspokojonym popytem ciągle kupujemy masę dóbr, ale za mało sami produkujemy i sprzedajemy. Na tym właśnie polegała obietnica wyborcza obecnego prezydenta i to dało mu wygraną, że powiedział zwykłym ludziom: praca oraz fabryki wrócą do waszych miast. Ameryka zacznie znowu pracować na pełnych obrotach, eksportować, a gospodarka wzrośnie. Pomimo obecnej korekty na Dow Jones ta obietnica została dotrzymana. Za Baracka Obamy PKB rosło nieco powyżej 1 proc., za obecnego prezydenta mówimy o 3,4 proc., co jest korzystne globalnie, ponieważ gdy gigant taki jak USA zaczyna się bogacić, równocześnie napędza rynki całego świata.

Ma pan polskie korzenie i zapewne wiele razy słyszał z ust Polonii, jak kłopotliwa jest sprawa braku zniesienia ruchu wizowego. Czy pana zdaniem jest szansa, że Polska w najbliższym czasie zostanie wciągnięta do Visa Waiver Program?

Mam nadzieję, że tak będzie. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego to tak długo trwa. Skoro mogę polecieć do Polski bez wizy, to dlaczego Polacy nie mogą zrobić tego samego w USA? Wiem, że istnieją bardzo konkretne kryteria związane z liczbą

FOT. BLOMBERG/GETTY IMAGES



Rozmowa z Correyem Lewandowskim odbyła się podczas Polsko-Amerykańskiego Szczytu Przywództwa w Miami, zorganizowanego w dniach 9–11 lutego 2018 r. przez PMPG Polskie Media. Podczas konferencji debatowano na temat polsko-amerykańskiej współpracy na płaszczyźnie politycznej oraz biznesowej. FOT. MATTHEW TYRMANO

■ odrzuconych wniosków, które dany kraj musi spełnić, aby zostać wciągnięty do ruchu bezwizowego, ale moim zdaniem Departament Stanu powinien raz jeszcze przyjrzeć się, czy sytuacji Polski nie da się rozwiązać innymi metodami.

Wiele razy w trakcie kampanii wyborczej miał pan okazję rozmawiać z Donaldem Trumpem na temat polityki zagranicznej. Jaka jest osobista opinia prezydenta na temat Polski?

Trump i jego całe zaplecze kadrowe zajmujące się polityką zagraniczną oraz bezpieczeństwem narodowym niezwykle cenią Polskę. I mówię to zupełnie szczerze – z tego, co wiem, obecna administracja w 100 proc. docenia potencjał sojuszu, który nas łączy. O tym, że nie są to słowa rzucone na wiatr; świadczy wybór Donalda Trumpa, który na miejsce pierwszego programowego przemówienia w Europie nie przez przypadek wybrał Warszawę. Wiem od prezydenta, że był zachwycony ciepłym przyjęciem w stolicy. Przecież Donald Trump mógł wybrać każdy kraj na świecie. Mało tego, zdecydował się na Polskę, zanim jeszcze odwiedził naszego największego partnera gospodarczego – Kanadę.

Teraz zapytam bardziej szczegółowo: Co w takim razie prezydent myśli na temat amerykańskiej Polonii? Czy zdaje sobie sprawę z tego, że w pewnej mierze wygrał również dzięki jej głosom?

Nie mam żadnej wątpliwości, że to rozumie. Zresztą w trakcie kampanii spotykał się z przedstawicielami Polonii, rozmawialiśmy na temat jej krytycznego znaczenia w ostatecznej wygranej wyborczej. Szczególnie w stanach takich jak Wisconsin, Michigan czy Pensylwania, gdzie wynik ważył

się niemal do ostatniego głosu, Polonia była kluczowa. Trump nie odbiera jednak tego poparcia jako rzeczy oczywistej, która mu się należy. Sądzę, że w przyszłości jeszcze nieraz da tego dowody.

Czytał pan słynną książkę o zapleczu kampanii wyborczej Donalda Trumpa – „Fire and Fury”? Jako jej były szef chyba pan powinien.

(Śmiech) Tak, ale tego nie zrobiłem. Nie czytam tabloidowego dziennikarstwa, czytałem za to świetną książkę „Let Trump be Trump” („Niech Trump będzie Trumpem”) i wszystkim ją polecam. To jest prawdziwy obraz kampanii i obecnej prezydentury.

Bardzo sprytna autoreklama. Na pewno zna pan jednak główną tezę książki Michaela Wolffa. To wszystko bzdury.

Przypomnę: Trump miał startować w wyścigu o Białą Dom bez wiary w zwycięstwo, tylko po to, aby wypromować swoją markę. Dopiero gdy zaczął prowadzić w sondażach, uwierzył, że to możliwe.

Nikt nie zna prezydenta lepiej niż ja, jeśli chodzi o okres kampanii wyborczej. Siedziałem obok niego siedem dni w tygodniu, 18 godzin dziennie, gdy objeżdżaliśmy Stany wzdłuż i wszerz. Trump działał jak maszyna do wygrywania. Jeśli ktoś sądzi, że można pracować nieustannie, czasami nawet po 20 godzin dziennie, tylko dla zabawy i biznesu, to znaczy, że nie ma pojęcia o tym człowieku. Wszyscy mówili, że Donald Trump nie jest w stanie wygrać, a on tych wszystkich ludzi pokonał. Bushów, Clintonów, wymień dowolne nazwisko albo polityczny klan. On to zrobił, bo od samego początku wierzył, że to możliwe. Nie mam pojęcia, z jakiego

palca Wolff wyssał swoje tezy, ale o tym, że są one oderwane od rzeczywistości, niech świadczy to, że podczas pracy nad książką ani razu do mnie nie zadzwonił, ani razu się ze mną nie skontaktował. Prowadziłem tę kampanię, chyba wiem coś, co mogłoby się mu przydać, prawda? Dlatego twierdzę, że „Fire and Fury” jest napisana z pominięciem podstawowej dziennikarskiej rzetelności. Tylko po co autor ma się tym przejmować, skoro na książce zarobił już fortunę?

Nie niepokoi pana jednak zamieszanie, które wywołała publikacja? Wiele wpływowych osób na jej podstawie zaczęło podważać dalszą zdolność Donalda Trumpa do piastowania swojego urzędu. Mówi się, że jest nie zrównoważony.

Amerykanie to bardzo mądzy ludzie. Byli w stanie głosować na Trumpa pomimo kampanii fake newsów i kłamstw Hillary Clinton, nie uwierzą również w kłamstwa Wolffa. Dlaczego? Ponieważ widzą prezydenta na co dzień takim, jaki naprawdę jest. Miał zrujnować kraj, zupełnie pogrzebać dyplomację, nie poradzić sobie z Kongresem – tymczasem jest odwrotnie. Żadna książka tego nie zmieni, bo media głównego nurtu nie wyciągnęły wniosków z wyborów. Nie można w nieskończoność zaklinać rzeczywistości tylko dlatego, że zwykli ludzie pokochali prezydenta, który miał nigdy nie dostać się do Białego Domu. Dostał się i pora wreszcie się z tym pogodzić.

W swojej książce jest pan żarliwym obrońcą sposobu, w jaki Donald Trump używa Twittera. Wielu nawet tych „zwykłych Amerykanów” rwie sobie jednak włosy z głowy, gdy czyta, w jakim stylu komunikuje się ich prezydent. A może z tym też trzeba się pogodzić i tak będzie wyglądać przyszłość polityki?

Nie sądzę, aby to była przyszłość całej polityki, bo niewielu polityków umie robić to, co Donald Trump. Nie są tak autentyczni. Możesz się zgadzać albo nie z tezami prezydenta, ale przynajmniej masz pewność, że nie gra i niczego przed tobą nie udaje. Wiesz po prostu, co myśli. Wiele osób właśnie ten stan rzeczy pokochało. Zbyt wielu przed nim mówiło ludziom to, co chcieli usłyszeć, a nie to, w co naprawdę wierzyło. To jest właśnie sekret Donalda Trumpa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Corey Lewandowski – Amerykanin polskiego pochodzenia, były szef kampanii prezydenckiej Donalda Trumpa, komentator polityczny i lobbysta. To jego pierwszy wywiad dla polskich mediów.



NORWESKA PARAOLIMPIADA

Nie wiadomo, z jakiego powodu Norwegowie nie połapali się w terminarzach i ludzi z dysfunkcjami zamiast na paraolimpiadę wysłali do zmagania ze zdrowymi zawodnikami z innych krajów podczas zimowych igrzysk w Pjongczangu. Ich ekipa jest tak schorowana, że musiała do Korei zabrać 6 tys. dawek leku na astmę. A do tego sportowcy astmatycy zabrali też własne zapasy. Jak wyliczyła norweska telewizja, Finowie zabrali na igrzyska dziesięciokrotnie mniej dawek leków na astmę (dokładnie 600). Polacy nie zabrali ton leków, zabrali za to saneczkarkę, który zgubił maskę od kasku i przejechał zjazd „na ślepo”.

FOT. NILS PETER NILSSON/GETTY IMAGES

ŚNIEGIEM Z ZASKOCZENIA

Koreańczycy z Południa są bardzo gościnni. Postanowili więc przykryć to, że w Pjongczangu ze zdrowymi wygrywają astmatycy, a ze skoczkami wiatr. Zatem miejscowych autobusów nie tylko nie wyposażyli w łańcuchy, lecz także w wielu z nich nie założyli zimowych opon. Wskutek tego, gdy na zimowych igrzyskach spadł śnieg, kierowcy mogli odmówić wjazdu na wysokie wzniesienia i wszyscy musieli np. z toru bobslejowo-saneczkowego wracać piechotą 5 km. Godzinny spacer sportowcom przecież nie zaszkodzi, a saneczkarze i bobsleiści głównie siedzą i leżą, więc im przydał się na pewno.

WYSPA KOBIEC

Niejaka Kristina Roth, Amerykanka, najpierw poznała Fina, w którym się zakochała, potem jego rodziców, a potem ich wyspę. Ten ciąg zdarzeń doprowadził ją do pomysłu utworzenia na innej wyspce kurortu zamkniętego przed mężczyznami. Wyspa tylko dla kobiet ma pozwolić im odrzucić chęć podobań się mężczyznom. Kobiety mają tam myśleć tylko o sobie. Nie znamy partnera Kristiny, ale i tak mu współczujemy.

KOSMICZNA DYSKRYMINACJA

Ostatnio odnotowaliśmy, że Elon Musk wystrzelił samochód w kosmos, a zarazem zanotował najwyższą w historii finansową stratę Tesli. Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana i rozwojowa. Otóż na firmę Space X posypały się w sieci gromy, bo na streamach pokazujących ludzi odpowiedzialnych za wystartowanie rakiet nie zauważono ani jednej kobiety. Feministki w sieci uznały, że to ogromna kompromitacja. Parytet należy się także w kosmosie.

MUNDUREK OD ARMANIEGO

Publiczna podstawówka w Tokio uznała, że uczniowie mają nosić mundurki szkolne firmy Armani za – w przeliczeniu – ok. 2,5 tys. zł. Część rodziców się oburzyła i wysłała skargi do szkoły. Jej dyrektor uznał jednak, że mundurki są warte tej ceny, a w dodatku łatwo je kupić, gdyż sklep Armaniego jest blisko placówki. Dyskusja o drogich strojach przetoczyła się nawet przez japoński parlament. Minister edukacji ma podjąć działania, dzięki którym rodzice nie będą narażani na takie koszty. © Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Felieton dla dorosłych

Pamela – 18-letnia rzymianka – uciekła z ośrodka dla narkomanów pod Maceratą. Nie miała pieniędzy. Szła piechotą do oddalonego o 5 km miasta. 45-letni Włoch zatrzymał samochód, zabrał Pamelę do garażu, wykorzystał seksualnie, zapłacił 50 euro i odwiózł na dworzec do Maceraty. Dziewczyna wzięła taksówkę do parku Diaz, gdzie handlują narkotykami, i zaczęła nigeryjskiego dilerę Innocenta, pytając o heroinę. Nie miał, ale zaprowadził Pamelę do swego rodaka i kolegi po fachu. Potem dołączył do nich trzeci Nigeryjczyk. 30 stycznia zamordowali Pamelę,

ciało poćwiartowali i wpakowali do dwóch walizek, które wrzucili do rowu koło Polenzy. Wszyscy trzej przybyli do Włoch niedawno i złożyli podania o azyl.

Gdy sprawa wyszła na jaw, 28-letni Włoch Luca Traini, neofaszysta, 3 lutego wziął legalnie posiadany pistolet, wsiadł do swego samochodu i na ulicach Maceraty, by pomóc Pamelę, oddał 30 strzałów do czarnoskórych imigrantów, raniąc sześć osób. Potem owinął się we włoską flagę, krzyknął: „Niech żyje Italia” i oddał się w ręce policji. Nazajutrz na ulice Maceraty wyszli solidaryzujący się z Trainim neofaszyści.

Na murach pojawiły się swastyki i napisy: „Honor Trainiemu”.

10 lutego w wielu miastach odbyły się marsze lewicy przeciw faszystom. Był to również Dzień Pamięci o Foibe. Foibe to załomy skalne, do których partyzanci Tity i walczący w ich szeregach włoscy komuniści wrzucili w latach 1943–1945 ok. 11 tys. Włochów z Dalmacji i Istrii. Podczas marszów lewicy pojawiły się transparenty: „Marszałku Tito, jesteśmy z tobą”, „Jak to dobrze, że był Tito”, „W Foibe jest jeszcze miejsce”.

Piekło jest puste. Wszystkie diabły są tutaj – Szekspir, „Burza” ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



Tomasz P. Terlikowski

Ta sprawa może się stać prawdziwym przełomem tego pontyfikatu. Stopniowo ujawniane są fakty, które dowodzą, że polityka „zero tolerancji” ogłoszona przez Franciszka nie zawsze jest przez niego samego realizowana

Mozna było mieć różne opinie o papieżu Franciszku i jego wizji „duszpasterskiego nawrócenia” czy „doktrynalnej rewolucji”, ale jak dotąd nikt niemal nie kwestionował wielkiej walki, jaką wytoczył on (idąc, co wielokrotnie sam podkreślał, śladami Benedykta XVI) problemowi molestowania nieletnich w Kościele. Polityka „zero tolerancji” dla przestępstw czy nawet wykroczeń seksualnych kapłanów wobec dzieci i młodzieży stała się wręcz znakiem rozpoznawczym tego pontyfikatu. Tyle że to, co było symbolem uzdrowieńczych działań papieża, teraz może stać się punktem przełomowym w ocenie jego pontyfikatu. Wiele bowiem wskazuje na to, że tak mocno akcentowana polityka „zero tolerancji” nie była realizowana wobec tych, których Franciszek osobiście znał czy doceniał. Wiele wskazuje też na to, że w sprawie biskupa kryjącego molestującego przez lata chłopców kapłana papież sam nie zachował wyznaczonych przez siebie dla innych standardów.

Aby dobrze zrozumieć, o co chodzi, trzeba cofnąć się do konferencji prasowej w samolocie, którym papież Franciszek leciał do Chile. Tam, czego można się było spodziewać, padło pytanie o bp. Juana de la Cruz Barrosa Madrida. Kapłan ten jest oskarżany nie tylko o to, że tuszował, jeszcze jako ksiądz (nie on jeden, bo o podobne działania oskarżanych jest jeszcze dwóch innych hierarchów), homoseksualne molestowanie chłopców przez innego księdza, charyzmatycznego duszpasterza młodzieży ks. Fernando Karadimę, lecz także wymuszał na chłopcach milczenie, a niekiedy sam był świadkiem (pozwólcie, że pominię szczegółów) homoseksualnych „igraszek” swojego przyjaciela. W 2011 r. – za pontyfikatu Benedykta XVI – ks. Karadimę zakazano sprawowania posługi duszpasterskiej i przeniesiono go do klasztoru, by tam



Przełomowy punkt

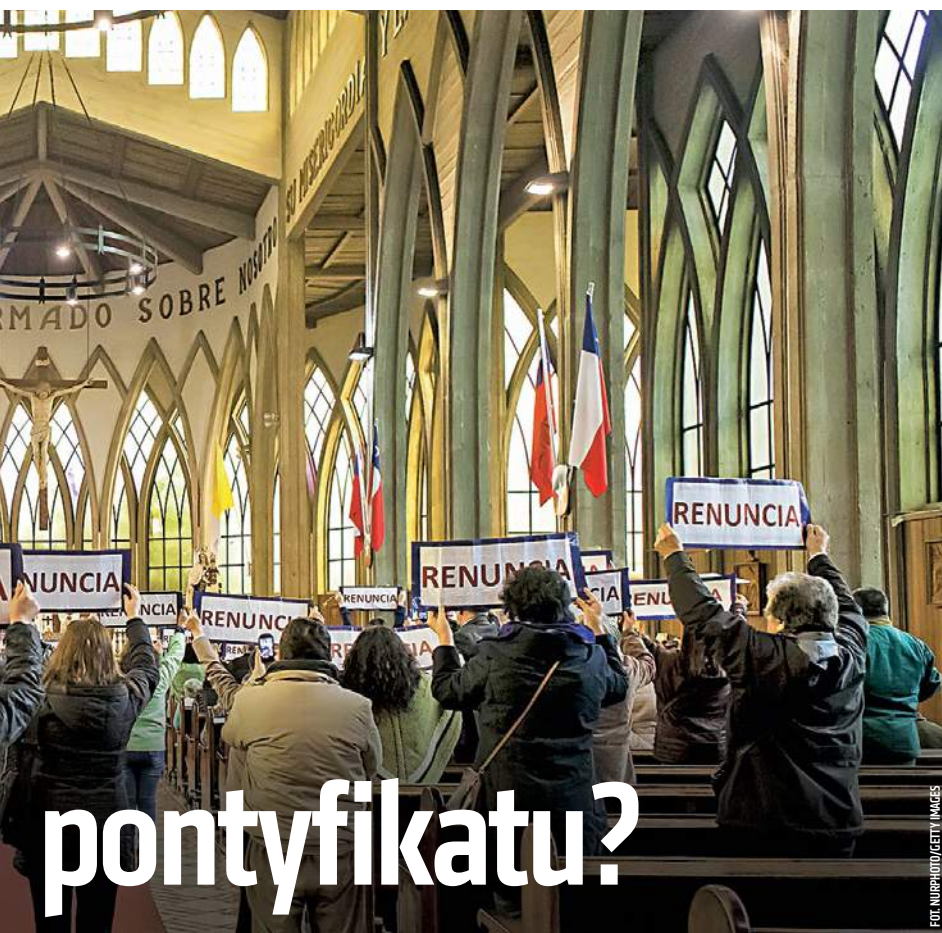
dożył swych lat na pokucie. Cztery lata później jednak kapłan, który według świadków, na podstawie zeznań których skazano Karadimę, krył go przez lata i umożliwiał mu jego przestępczy proceder, został przez papieża Franciszka wyniesiony – wbrew protestom miejscowego episkopatu i wiernych (zamieszki, o których informowano przed papieską wizytą, to część z tych protestów) do godności ordynariusza Osorno. I właśnie o tegoż biskupa i o to, czy powinien on nadal sprawować swoją funkcję, padło pytanie. Franciszek odpowiedział krótko: „Czekam na dowody, żeby zmienić zdanie”. I dodał, że dopóki dowodów nie ma, dopóty „należy domniemywać niewinność biskupa”. Opinia ta sprawiła, że papież w czasie spotkania z bp. Barrosem Madridem przekazywać miał mu nawet słowa wsparcia.

Te krótkie słowa wywołały błyskawiczną reakcję... i to w samym Kościele. Zaczęło się od, jak na warunki kościelne, bardzo ostrego oświadczenia kard. Seána O'Malleya, przewodniczącego Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich. „Wypowiedź Franciszka jest źródłem wielkiego bólu dla ofiar seksualnego wykorzystywania ze strony duchowieństwa czy innych sprawców”

– napisał w oświadczeniu kard. O'Malley. Franciszek zaś zaczął powoli, ale systematycznie łagodzić swoje słowa. – Kiedy zobaczę dowody przeciwko bp. Barrosovi, zobaczmy. Dotąd nie widziałem ani jednego – powiedział do dziennikarzy w mieście Iquique. Jednak już w drodze do Peru ton wypowiedzi wyraźnie się zmienił, a papież zaczął przepraszać za niektóre sformułowania. – Zdradziło mnie słowo „dowód”. Pomyliło mi się; nie chciałem mówić o dowodach, ale o oczywistości winy – mówił papież. – Muszę przeprosić, bo słowo „dowód” zraniło, zraniło wielu wykorzystanych i było dla nich policzkiem – zaznaczył. Media bliskie Franciszkowi, choćby „Vatican Insider”, okrzyknęły to przełomem i prawdziwym znakiem pokory, tyle że papież ani o milimetr nie zmienił swojego stanowiska, a jedynie ubrał je w inne słowa, dodając, że „kiedy przyjdzie osoba, która dostarczy mi ewidentnych dowodów winy, pierwszy jej wysłucham”.

DOWODY JEDNAK BYŁY

Ta wypowiedź może uspokoiła by emocje, ale... kilka dni później amerykańskie media, powołując się na byłą już członkinię Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich



pontyfikatu?

Marie Collins (zrezygnowała ona z członkostwa, oskarżając Kurię Rzymską o opieszałość w działaniach) i świadka w procesie ks. Karadimy Juana Carlosa Cruza, poinformowały o tym, że już w roku 2015 papież otrzymał osobisty list od Cruza, w którym ze szczegółami opisano zarówno zachowania Karadimy, jak i obecnego przy nich bp. Barros. List został przekazany osobiście – na specjalnym spotkaniu z czterema członkami komisji – kard. O'Malleyowi (są zdjęcia z tego spotkania, a także z przekazania listu), a ten nie tylko obiecał, że przekaże go papieżowi, lecz także zapewnił, po kilkunastu dniach, że już to zrobił. Informacje te uświadamiają, dlaczego kardynał kilka godzin po papieskiej wypowiedzi odciął się od niej tak, jak na warunki kościelne, zdecydowanie.

„Ojciec Święty, piszę ten list, bo jestem zmęczony walką, płaczem i cierpieniem – pisał Cruz po hiszpańsku do Franciszka. – Nasza historia jest dobrze znana i nie ma potrzeby jej powtarzać, poza opowieścią o tym, jakim horrorem jest życie osoby molestowanej i jak chciałem się zabić”. A później ze szczegółami opisał, co robił z nim Karadima i czego świadkiem, a nawet uczestnikiem, był Barros. Oszczędzę czytel-

nikom opisów homoerotycznych technik, jakich dopuszczano się wobec dorastających chłopców, ale zapewniam, że nie ma w nich nic platonicznego, są to ostre, a często usprawiedliwiane religijnie zachowania erotyczne. List ten nie był zresztą jedynym źródłem informacji o zachowaniu Karadimy i Barros. W 2015 r. także biskupi chilijscy przekazywali papieżowi Franciszkowi informacje o problemach związanych z jego nominacją, a media w całej Ameryce Łacińskiej żyły przez lata tym skandalem. Można oczywiście przyjąć, że ani list, ani doniesienia biskupów nie przekonały papieża, ale wtedy powstaje pytanie: Dlaczego z wysłaniem watykańskiego śledczego do Chile zwlekano aż do momentu, gdy media ujawniły istnienie listu, a kard. O'Malley odciął się od papieskich wypowiedzi? Dlaczego nie wysłano go tam ani wtedy, gdy wśród chilijskich katolików wybuchł skandal, ani wtedy, gdy kard. O'Malley przekazał list od Cruza?

CO Z TEGO WYNIKA?

Sytuacja, a przynajmniej brytyjscy i amerykańscy katolicki komentatorzy, wygląda źle, a nawet bardzo źle. Jezuita o. James Martin, jeden z największych entu-

zjastów tego pontyfikatu, napisał na swoim profilu twitterowym krótko: „Bardzo źle wieści. Mogę się tylko zastanawiać, czy On to przeczytał, czy może zapomniał przeczytać. Ale jak można zapomnieć o czymś takim?”. Inni idą jeszcze dalej i sugerują, jak to zrobił Christopher Altieri na łamach „Catholic Herald”, że sprawa musi być wyjaśniona aż do końca. Albo jest bowiem tak, że kłamią Collins i Cruz, albo nieprawdę o przekazaniu listu mówił Cruzowi O'Malley (obecnie w tej sprawie kardynał milczy), albo... sam Franciszek musi wyjaśnić, czy przeczytał otrzymany podczas spotkania z kardynałem list, dlaczego jeśli dostał list i przeczytał go, to nie uznał za stosowne wszczęć procedury, i dlaczego zawarte w nim świadectwo ofiary nie okazało się dla niego „dowodem” ani choćby powodem do wszczęcia na nowo procedury, a jedynie do uznania, że istnieją w tej sprawie tylko oszczerstwa i kalumnie.

Odpowiedź jest tym ważniejszą, że nawet katolicki komentatorzy zaczynają wprost mówić tak jak zajmująca się ochroną praw dzieci Elizabeth Yore w katolickiej, amerykańskiej telewizji EWTN, że zaniechania w tej sprawie mogą wynikać z tego, iż już jako kardynał Jorge Bergoglio chętnie okazywał „miłosierdzie” kapłanom oskarżanym o molestowanie dzieci. – Myślę, że to niewłaściwie rozumiane miłosierdzie, bo to miłosierdzie dla drapieżników – grzmiała Yore. Inni są ostrożniejsi i mówią raczej o przesadnym zaufaniu do własnych doradców czy hierarchów, których sam papież obdarzył miłosierdziem. Jednak... niezależnie od tego, jakie były przyczyny tego zaniechania, trzeba je wyjaśnić. Tak się bowiem składa, że Amerykanie czy Brytyjczycy są w stanie wybaczyć papieżowi wiele rzeczy, ale nie zaniechania w walce z pedofilią czy homoseksualnym molestowaniem chłopców. Zarzuty takie zniszczyły już wiele kościelnych karier, a także zrujnowały reputację wielu diecezji. Jeśli Stolica Apostolska nie znajdzie sensownych odpowiedzi na pytania o źródła zaskakującej tolerancji dla bp. Barros, to może się okazać, że będzie to punkt zwrotny w dziejach tego pontyfikatu, który jak dotąd miał bardzo dobrą prasę. Liberalne media tego nie odpuszczają, a anglosascy katolicy naprawdę (i nie bez podstaw) nie zgodzą się na zamieszczenie tej sprawy pod dywan. Oni są zdecydowanie bliżej mediów niż chilijscy katolicy, którzy od lat bezskutecznie walczą o załatwienie tej sprawy. Ich protestów nie da się przeczeć.



Jacek Przybylski

Wirtualne waluty miały być pieniądzem przyszłości. Stały się ulubionym pieniądzem spekulantów, mafiosów, terrorystów i ludzi unikających płacenia podatków. Na celownik biorą je więc kolejne rządy

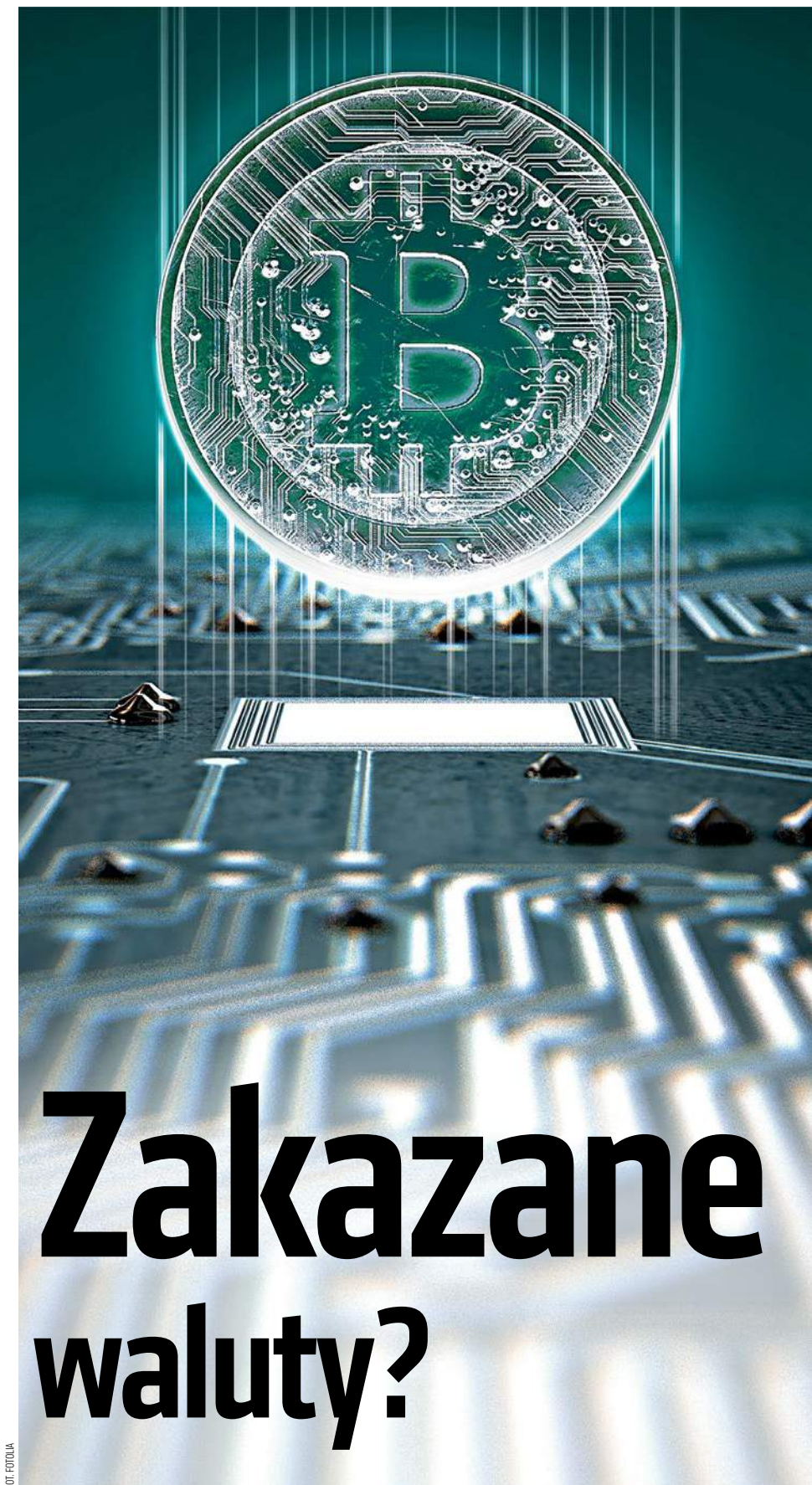
Bitcoin pobił kolejny rekord, „kolejna magiczna bariera pokonana”, „cena bitcoina na historycznym szczycie” – informacje o szybko rosnącym kursie wirtualnej waluty, stworzonej w 2009 r. przez programistę ukrywającego się pod kryptonimem Satoshi Nakamoto, przez ostatnie miesiące co i rusz trafiały na czołówki portali ekonomicznych. Trudno się dziwić.

W lutym 2010 r. jeden bitcoin kosztował zaledwie dolara. Na początku zeszłego roku jeden bitcoin kosztował 1 tys. dol. W listopadzie jego cena przebiła 10 tys., a pod koniec grudnia 2017 r. trzeba było zapłacić już 20 tys. dol., czyli ponad 66 tys. zł.

Na bitcoinie w zeszłym roku można było zarobić niemal 1300 proc. Jeszcze większą stopę zwrotu przyniosły popularne konkurencyjne kryptowaluty: ethereum wzrósł o ponad 8 tys. proc., a ripple o ponad 32 tys. proc.

KRYPTORULETKA

Bitcoin – pierwsza wirtualna waluta, która stała się rozpoznawalna na całym świecie – szybko zyskiwał na wartości, mimo że tzw. kryptowalut nie można zobaczyć, istnieją bowiem tylko w formie plików zapisanych na dyskach komputerów. Wirtualne waluty, których kursy zmieniają się niczym na nieprzewidywalnej karuzeli, uwielbiają nie tylko informatycy czy bankierzy, ale także marzący o szybkim zarobku spekulanci. Zwolennikom kryptopieniądza podoba się również to, że można je łatwo, tanio i szybko przesyłać przez Internet. Ich miłośnicy wskazują również na dodatkową zaletę bitcoina: zamiast banku centralnego zarządza nimi komputerowy algorytm. Kolejnym plusem w świecie, w którym



Zakazane waluty?

banki centralne zalewają rynki tanim pieniądzem, jest to, że całkowita podaż została ograniczona do 21 mln sztuk, co oznacza, że żaden bankier czy polityk nie może w przyszłości kazać dodrukować bitcoinów, doprowadzając w ten sposób do utraty ich wartości.

Wielu inwestorów w najpopularniejszej internetowej walucie widzi więc szansę na to, aby zupełnie uwolnić się od tradycyjnych banków, a także od kontroli państwowych urzędników. Anonimowość posiadaczy tej waluty została więc szybko doceniona przez osoby chcące dokonać transakcji poza systemem bankowym oraz szefów mafii, którzy za pomocą kryptowalut próbują wprowadzić do legalnego obrotu ogromne pieniądze pochodzące z działalności mafijnej, a także hakerów etc.

Tak jak można na nim szybko zarobić, tak można i błyskawicznie stracić. Dobrze było to widać na początku 2018 r., kiedy to cena bitcoina runęła na łeb na szyję. Kurs szybko spadł z 20 tys. dol. do mniej niż 10 tys. dol., a potem zszedł poniżej poziomu 6 tys. dol. W ciągu kilku tygodni na tej inwestycji można było więc stracić nawet 70 proc.

I chociaż po takich spadkach przyszła korekta wzrostowa, to i tak, gdy zamykaliśmy to wydanie tygodnika, za jedną jednostkę popularnej kryptowaluty trzeba było zapłacić „tylko” 9,9 tys. dol. Tak wielkich spadków na tym rynku nie było od czterech lat.

POTĘŻNI WROGOWIE

Na spadku bitcoina najwięcej zyskali posiadacze złota. To jednak nie oni stali za krachem na rynku wirtualnych walut, nazywanych przez niektórych nowym złotem. Tym razem do rzezi kryptowalut doprowadzili bankierzy oraz państwowi regulatorzy, którym nie podoba się pozostający poza ich kontrolą „pieniądz”. Główny ekonomista Międzynarodowego Funduszu Walutowego Kenneth Rogoff jeszcze jesienią oficjalnie przestrzegał, że bitcoin to bańka spekulacyjna.

Wydaje się, że rzeź na rynku została wywołana spekulacjami, że rządy w Pekinie czy w Seulu będą chciały bardzo szczególnie uregulować rynek cyfrowych walut, aby uniemożliwić wykorzystywanie go w celach przestępczych i utrudnić unikanie płacenia podatków.

Gdy tylko w połowie stycznia agencje prasowe podały, że Chiny planują

w pełni zablokować dostęp krajowych inwestorów do platform wymiany kryptowalut, a rząd Korei Południowej pracuje nad ustawą mającą zakazać handlu wirtualnymi walutami za pośrednictwem giełd, w ciągu jednej doby cena bitcoina zmalała o kilkanaście procent. Na łeb na szyję poleciały również inne wirtualne pieniądze: ethereum, ripple, cardano czy litecoin. To był potężny cios dla posiadaczy wirtualnych pieniędzy – wcześniej Koreańczycy masowo kupowali kryptowaluty, a koreańska giełda Bithumb często biła światowe rekordy pod względem wartości obrotu.

W coraz większej liczbie krajów kryptowaluty trafiają pod urzędnicze lupy. Politycy muszą się spieszyć, bo wirtualne pieniądze mogą mieć coraz większe przełożenie na realną gospodarkę. Co prawda największa wyprzedaż kryptowalut sprawiła, że kapitalizacja tego rynku zmalała z rekordowych 836 mld dol. 7 stycznia 2018 r. do ok. 400 mld dol., ale późniejsze odbicie na rynku kryptowalut znów sprawiło, że w wirtualnym pieniądzu jest już ponad pół biliona dolarów. Zdaniem niektórych analityków jeśli kryptowaluty powrócą do wzrostów, ich łączna wartość jeszcze w tym roku może wynieść aż bilion dolarów.

Jednym z pierwszych krajów, który zabronił obrotu kryptowalutami, był Ekwador. Ostry stosunek do wirtualnych pieniędzy mają władze Rosji, Bangladeszu i Boliwii, które wprowadziły kary za zawieranie transakcji za pomocą kryptowalut. Pewne ograniczenia związane z bitcoinem i jego konkurentami stosują też m.in. Chiny, Maroko czy Paragwaj.

Wkrótce ta lista może być dużo dłuższa. Uregulowanie rynku kryptowalut było jednym z najważniejszych tematów rozmów podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. Szefowa MFW Christine Lagarde przekonywała tam, że światowi przywódcy nie mogą akceptować „anonimowości i braku przejrzystości, który pozwala na pranie brudnych pieniędzy i finansowanie terroryzmu”.

Ostrożność wobec wirtualnych walut zachowują również rządy państw oraz krajowe banki. Europejskie organy nadzoru przestrzegają nie tylko przed ekstremalnie silnymi wahaniami kursu kryptopieniądzy, lecz także podkreślają, że ani wirtualne waluty, ani giełdy, na których się nimi obraca, nie są regulowane przez unijne prawo, co oznacza

mniejszą ochronę dla kupujących, np. w razie upadku giełdy kryptowalut. I nie jest to tylko teoretyczne zagrożenie. Na początku lutego władze Japonii, która zalegalizowała wirtualne waluty, nakazały wszczęcie kontroli wszystkich giełd w tym kraju po tym, jak z giełdy w Tokio hakerzy ukradli kryptopieniądze o wartości 530 mln dol.

Również w Polsce przed kryptowalutami, takimi jak bitcoin, litecoin, monero czy ether, ostrzegają urzędnicy z Komisji Nadzoru Finansowego czy Narodowego Banku Polskiego. Prezes NBP Adam Glapiński stwierdził, że kryptowaluty „wnoszą ogromny niepokój, pole do spekulacji, coś, co może być niedostępne służbom kryminalnym, podatkowym”.

Zgodnie z polskim prawem kryptowaluty to nie pieniądze, nie są więc prawnym środkiem płatniczym. Nie mogą być więc wykorzystane np. do spłaty zobowiązań podatkowych. Obrót nimi jest jednak nadal legalny. Premier Mateusz Morawiecki na początku tego roku zapowiedział jednak, że przyjrzy się kryptowalutom. – Zakażemy ich bądź wprowadzimy pewne specjalne regulacje po to, aby zyskać pewność, że nie włączy się w to zbyt wielu nieświadomych ludzi i że nie okaże się to kolejną piramidą finansową – oznajmił szef polskiego rządu w wywiadzie udzielonym w Davos dla Bloomberg’a, zaznaczając, że nie chce, aby w Polsce miała miejsce kolejna afera przypominająca Amber Gold.

Pod koniec stycznia Rada Ministrów przyjęła projekt ustawy, z którego wynika, że podmioty zajmujące się wymianą wirtualnych walut muszą stosować się do przepisów o przeciwdziałaniu praniu brudnych pieniędzy. Premier powołał też specjalny zespół, którego głównym problemem są kryptowaluty.

Z punktu widzenia zwykłego Kowalskiego bitcoin ma bardzo wiele wad. Po pierwsze, wciąż niewiele jest miejsc, w których można płacić kryptowalutami. Według oficjalnej strony tej waluty w Warszawie i okolicach jest zaledwie 25 punktów przyjmujących bitcoiny. W całej Polsce można nimi płacić w 17 barach i restauracjach, 11 hotelach i 25 sklepach.

Po drugie, wirtualne waluty nie są powiązane z realnymi gospodarkami, przez co bardzo trudno oszacować ich realną wartość. Nie jest to też surowiec czy papier wartościowy. To zaś sprawia, że

■ kryptopieniądz jest niezwykle podatny na manipulację. Przed inwestowaniem w niego ostrzegają więc nie tylko urzędnicy, lecz także znani inwestorzy. – Nigdy ani przez sekundę nie rozważałem, aby mieć z cyfrową walutą cokolwiek wspólnego – oznajmił w zeszłym tygodniu w Los Angeles 94-letni miliarder Charles Munger, dodając, że nienawidzi dnia, w którym powstał bitcoin. – Bitcoin to obrzydliwa trucizna – podkreślił, dołączając do chóru potężnych przeciwników kryptowalut.

WIRTUALNI MILIARDERZY

Zdaniem analityków na całym świecie nagły spadek wartości najpopularniejszej waluty świata – przerywany gwałtownymi korektami wzrostowymi – może trwać jeszcze kilka miesięcy. Komentatorzy różnią się w prognozach wartości: pesymiści przewidują, że wycena bitcoina spadnie do 5 tys. dol. lub zaledwie 3 tys. dol. Nie brakuje i takich analityków, których zdaniem kryptowaluta spadnie tylko do 1 tys. dol. Oczywiście, teoretycznie istnieje też ryzyko, że jeśli chętnych do kupowania bitcoina zabraknie, jego wartość spadnie w okolice zera.

Ostatnia rzeź nie musi jednak oznaczać końca wirtualnych walut. Od połowy 2016 r. na rynku bitcoina po sześciu szaleńczych rajdach w górę przychodziło sześć poważnych korekt. Niewykluczone więc, że i tym razem spekulanci ruszą na zakupy, a ceny bitcoina i jego konkurentów poszybują w górę. Thomas Glucksmann, szef marketingu w firmie Gatecoin, sugeruje, że jeszcze w tym roku cena jednego bitcoina może wzrosnąć aż do 50 tys. dol.

W utrzymywaniu kryptowalut przy życiu interes mają nie tylko spekulanci, lecz także wiele wpływowych i bogatych osób. Ludzi, którzy w ciągu zaledwie kilku lat na wirtualnych walutach zbili olbrzymi majątek, jest już tak wielu, że magazyn „Forbes” zdecydował się w tym roku pierwszy raz stworzyć osobny ranking najbogatszych w świecie kryptowalut. Na pierwszym miejscu opublikowanego w lutym tego roku zestawienia znalazł się Amerykanin Chris Larsen. 57-letni współzałożyciel utworzonego w roku 2012 technologicznego start-upu Ripple, platformy, która pozwala na przeprowadzanie transakcji międzybankowych o wiele taniej niż tradycyjnymi sposobami. Ripple to trzecia pod względem wielkości kryptowaluta

świata, która ma tę przewagę nad bitcoinem, że oferuje krótszy czas rozliczenia transakcji. Dzięki czemu Chris Larsen to człowiek, którego majątek szacowany jest na 7,5–8 mld (sic!) dol.

Na drugim miejscu w tym rankingu znalazł się 53-letni Kanadyjczyk Joseph Lubin, którego majątek wyceniany jest na od 1 nawet do 5 mld dol. Były dyrektor ds. technologii w banku inwestycyjnym Goldman Sachs najpierw zajmował się doradztwem dla firm związanych z walutami wirtualnymi, a następnie sam stał się współzałożycielem firmy Ethereum. Ethereum to zaś nie tylko druga najpopularniejsza kryptowaluta świata, która czasem nazywana jest „bitcoinem 2.0”, lecz także oparta na technologii blockchain platforma ułatwiająca np. zawieranie zakładów czy też finansowanie społecznościowe.

Ostatnia rzeź nie musi oznaczać końca wirtualnych walut. Niewykluczone, że spekulanci ruszą na zakupy, a cena bitcoina znów poszybuję w górę

Trzecią pozycję wśród najbogatszych zajął 41-letni programista chińsko-kanadyjskiego pochodzenia, którego majątek jest szacowany na 1,1–2 mld dol. Changpeng Zhao znany w świecie wirtualnych walut po prostu jako „CZ” sam nie stworzył kryptowaluty – swoją fortunę zbił, zakładając jedną z największych na świecie platform wymiany obsługującą aż 120 różnych wirtualnych walut. Serwis Binance – z którego korzysta już 6 mln użytkowników – jest zarejestrowany w trzech różnych krajach, na wypadek, gdyby w którymś z nich wprowadzono regulacje prawne, które mogłyby zaszkodzić biznesowi młodego miliardera.

Najmłodszymi osobami w pierwszej piątce „kryptobogaczy” są słynni bracia Cameron i Tyler Winklevoss. 36-letni barczyści bliźniacy znani są głównie z prawnych batalii z Markiem Zuckerbergiem. Podczas studiów na Harvardzie założyli sieć społecznościową dla studentów ConnectU, a w 2006 r. poszli do sądu, przekonując, że Zuckerberg,

tworząc Facebooka, po prostu ukradł ich pomysł. Ostatecznie spór zakończył się ugodą, w ramach której bracia na otarcie łez otrzymali kilkadziesiąt milionów dolarów. Kilkanaście milionów dolarów zainwestowali w kupno bitcoinów, których kurs był wówczas o wiele niższy niż obecnie. Założyli również nowojorską giełdę wymiany kryptowalut Gemini, przeznaczoną głównie dla dużych graczy oraz inwestorów instytucjonalnych. Obecnie ich majątek szacowany jest między 900 mln a 1,1 mld dol.

Piątkę najbogatszych osób związanych ze światem kryptowalut zamyka 54-letni Matthew Mellon. Potomek sędziego Thomasa Mellona – założyciela Mellon Banku – odziedziczył sporą fortunę. Prawdziwe pieniądze zarobił jednak, sprzedając bitcoina i kupując kryptowalutę ripple. Na zakup wirtualnej waluty wydał kilka lat temu 2 mln dol. „Moja rodzina myślała, że oszalałem, ale ja wówczas wiedziałem, że to strzał w dziesiątkę” – wspomina miliarder cytowany przez „Forbesa”, którego pakiet kryptopieniędzy został wyceniony na między 900 mln a 1 mld dol.

Niewykluczone także, że rządy zdecydują się pokonać twórców wirtualnych walut ich własną bronią. Pod koniec zeszłego roku Riksbank, szwedzki bank centralny, ogłosił, że rozważa wypuszczenie własnej cyfrowej waluty: e-korony. Kilka tygodni temu analityk z HSBC James Pomeroy prognozował, że Szwecja może stać się pierwszym krajem w Europie emitującym własną kryptowalutę. U północnych sąsiadów Polski już w 2016 r. udział płatności gotówkowych wynosił zaledwie 15 proc. W tym roku udział gotówki w obrocie może zaś spaść nawet do 10 proc. Według Pomeroya bank centralny będzie więc musiał pomyśleć o innym rozwiązaniu niż tradycyjny pieniądz i stworzyć uniwersalną formę płatności elektronicznych.

Właśnie tą drogą poszedł Ekwador. Władze tego kraju w 2014 r. zakazały obrotu kryptowalutami, aby zniszczyć konkurencję dla własnego cyfrowego pieniądza: dinero electrónico. Swoją wirtualną walutę mają też Tunezja (eDinar) oraz Senegal (eCFA). Od kilku tygodni spekuluje się też, że trwają już prace nad polską kryptowalutą. Prezes NBP kategorycznie odrzuca taki pomysł.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Jak wsparliśmy Nord Stream 2

Gdy 31 stycznia 2018 r. Polska od pięciu dni toczyła na wszystkich frontach – głównie z Izraelem, lecz przecież także m.in. z USA i Ukrainą – nierówną, medialną batalię, w którą się sama wpakowała, przyjmując nowelizację ustawy o IPN w znanym brzmieniu, Niemcy wydali zgodę na budowę i eksploatację Nord Stream 2. Czyli gazociągu, który razem z Nord Stream 1 dokończy dzieła zaciskania niemiecko-rosyjskiej gazowej pętli na krajach Europy Środkowej, w szczególności na Polsce, Ukrainie, Litwie, Łotwie i Estonii.

Niemcy bez skrupułów skorzystały z okazji podarowanej im przez Polskę. Widząc, że ich wschodni sąsiad ledwo trzyma się na nogach, osłabiony prowadzeniem niesłychanie ostrej, medialnej szarpaniny z Izraelem, więc nie będzie w tym czasie w stanie – w sprawie Nord Stream 2, i pewnie zresztą jakiegokolwiek innej – stanowczo zaprotestować, bez wahania zrealizowały własny interes. Tym bardziej że mocno poturbowana starciem z Izraelem Polska bardzo potrzebowała wówczas pomocy... Niemiec. Pomocy, która miała polegać na publicznym przypomnieniu przez Niemcy, że to one podczas II wojny stworzyły obozy zagłady. I Polska się tego wsparcia doczekała – wszelako dopiero 3 lutego, a więc po siedmiu dniach awantury, i w dodatku z ust „zaledwie” szefa niemieckiego MSZ. Po tygodniu grillowania Polski Sigmar Gabriel był łaskaw przyznać, że to rzeczywiście

„Niemcy biorą na siebie pełną odpowiedzialność za Holocaust”. (Dopiero po kolejnym tygodniu powtórzyła to kancelarz Merkel).

Cóż, gdyby nie doszło do starcia Polski z Izraelem, Niemcy zapewne i tak wydałyby zgodę na poprowadzenie nitek gazociągu Nord Stream 2 przez ich wody terytorialne i w miejscu wyjścia na ląd. Jednak w takim przypadku Polska mogłaby się temu ostro sprzeciwić. Mogłaby zdecydowanie zaprotestować, po raz kolejny wskazując na oczywiste antyunijny charakter tego projektu, podobnie jak już zbudowanego Nord Stream 1. Przy czym oddanie do użytku Nord Stream 2 będzie o tyle groźniejsze, że oznacza dla Rosji możliwość niemal wyeliminowania Polski, a zwłaszcza Ukrainy z tranzytu gazu do Europy Zachodniej, bowiem łączna przepustowość Nord Stream 1 i 2 pozwoli w większości przesyłać go tą drogą. A więc otworzy przed Moskwą (i Berlinem?) drogę do szantażowania Polski i Ukrainy (oraz krajów nadbałtyckich) groźbą zakręcenia im – czyli nam! – kurka z gazem.

No, a czy teraz – po tylu dniach zwłoki, do której doszło, bo zafundowaliśmy sobie wszechświatową, osłabiającą nas awanturę – zrobienie wielkiej afery z tego arcyantyunijnego i arcyantypolskiego posunięcia Niemiec ma jeszcze szansę powodzenia? Zostanie dostrzeżone i potraktowane z należytą uwagą? Przyniesie Polsce dobry skutek? Obawiam się, że już nie. Jednak nie wolno nam nie próbować. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Pokolenie FIG

Otrzymałem od córki SMS o treści: „Poszliśmy na późniejszy seans, będę trochę później w domu”. Odpisuję: „Ale bądź przed 23.”. Mija dłuższa chwila i przychodzi kolejny SMS: „No dobrze, ale nie musiałeś stawiać tej kropki”.

Nic z tego nie zrozumiałem, potem córka mi wyjaśniła, że jeśli się stawia kropkę, to oznacza niechęć do danej osoby lub coś niemiłego. Już się nawet nie pytałem, co oznacza, jeśli się SMS zaczyna wielką literą. Mamy takie czasy, że gdy ktoś pisze zgodnie z zasadami interpunkcji i ortografii, to wychodzi na buca.

Nastolatki na Fejsie mają średnio 300 „przyjaciół”

Gdy czekam na autobus, często jestem sam na przystanku. Nagle w ciągu minuty gromadzi się grupa młodych ludzi i chwilę później przyjeżdża autobus. Młodzież wie, kiedy będzie autobus, mają do tego specjalne apki. Ja też mogłbym z nich korzystać, ale nie mam takich nawyków.

Kiedyś kobiety przeglądały się w podręcznych lusterkach, żeby poprawić makijaż. Teraz widzę, jak nastolatki przeglądają się w smartfonach i gdy się sobie podobają, to – cyk – i fotka łąduje na Instagramie. W innej aplikacji nastolatki widzą wszystkich swoich znajomych, gdzie są, co robią, w jakim są nastroju.

Podobno małpy utrzymują relacje z 50 innymi małpami, a człowiek ze 150 innymi osobami. Badania Pew Research Center pokazały, że nastolatki na Fejsie mają średnio 300 „przyjaciół”. Jesteśmy więc trzykrotnie bardziej społecznymi od małp, a młodzież – dwa razy bardziej od nas.

Przypuszczam, że gdyby nagle wyłączyli Google i Fejsa, to wielu młodych ludzi nie potrafiłoby odrobić większości lekcji. Zresztą prawdopodobnie byłoby to też przyczyną ogólnoswiatowej recesji. Dzisiaj trzeba uczyć młodzież nie tego, jak odpowiadać na pytania, ale jak zadawać właściwe pytania, czyli myśleć krytycznie. Jeżeli odpowiedź na pytanie na eg-zaminie można wygooglować, to znaczy, że profesor zadał złe pytanie. Albo je wygooglował. Zresztą w czasach Google powiedzenie: „Jak przepisał z jednej pracy, to plagiat, jak z 30, to magisterka, a jak z 100, to doktorat”, nabrało nowego znaczenia.

Przez minioną dekadę pracowałem ze studentami z kilkudziesięciu krajów jako wykładowca i rektor. I mimo że studentów z różnych krajów dzielą różnice kulturowe wynikające z tradycji, geografii czy religii, to Fejs, Instagram i Google łączą wszystkich. Chociaż Rosjanie i Chińczycy próbują rozwijać własne sieci społecznościowe i wyszukiwarki. Czasami się zastanawiam, dokąd nas zaprowadzi ta globalna cyfryzacja młodego pokolenia. I tu postawię kropkę. ©©

Autor jest profesorem data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.



Maciej Pieczyński

Telewizja przegrywa z Internetem. Dzisiaj punktem odniesienia dla twórców seriali są produkcje Netflix, takie jak „House of Cards” czy „Stranger Things”. Serwis notuje rekordowe zyski

Pierwszy raz w historii wartość Netflix osiągnęła poziom 100 mld dol. Przychody spółki rosną co roku średnio o 32 proc. I, według analityków, będą nadal rosnąć. Zgodnie z wynikami badań VideoTrack, cytowanymi przez portal Wirtualnemedia.pl, Netflix jest w Polsce marką bardziej rozpoznawalną niż jej bezpośredni konkurenci – HBO GO i Showmax. Bije rekordy popularności wśród internautów niemal na całym świecie. Ma już 117,5 mln widzów, z czego 110,6 mln to płacący subskrybenci serwisu. Netflix jako internetowa wypożyczalnia dostępny jest niemal we wszystkich krajach świata. Ze względu na obostrzenia ze strony amerykańskiego rządu wyjątkami są okupowany przez Rosjan Krym, Syria oraz Korea Północna. Przy czym w totalitarnym państwie Kimów i tak generalnie dostęp do Internetu jest bardzo mocno ograniczony. Netflix przez kilka lat walczył też o żyłę złota, którą jest rynek chiński. Usługi streamingowe podlegają w Państwie Środka surowym przepisom dotyczącym przechowywania danych, a zagraniczne filmy poddawane są rutynowej cenzurze. Ostatecznie Netflixowi nie udało się bezpośrednio i samodzielnie wejść na tamtejszy rynek. Nie oznacza to jednak, że internauci najludniejszego kraju świata nie mają możliwości oglądania bijących rekordy popularności amerykańskich produkcji. Netflix najpierw sprzedał chińskiej platformie internetowej Sohu serial „House of Cards”. Umowa była już podpisana. Okazało się jednak, że flagowy produkt Netflix nie przeszedł cenzury. Uznano, że serial obraża działaczy Komunistycznej Partii Chin, dlatego szybko wyłączono możliwość jego oglądania. Wreszcie, w kwietniu ubiegłego roku, Netflix sprzedał swoje programy w formie licencji dostawcy streamingu iQIYI, należącego



Netflix, czyli globalny fenomen

do chińskiego potentata Baidu. Oczywiście licencja nie obejmuje zakazanego „House of Cards”. O sile iQIYI na chińskim rynku świadczy to, że firma ta pośredniczy w transmisji przez Internet m.in. przekazu telewizji BBC czy wytwórni Paramount Pictures i Lionsgate.

ZAGUBIONY VHS

Netflix jest uważany za jeden z najbardziej udanych start-upów w historii światowego biznesu. Zaczynał jako wypożyczalnia kaset oferująca korzystniejsze niż konkurencja warunki. Dzisiaj jest światowym potentatem branży rozrywkowej, marką rozpoznawalną na całym świecie. To opowieść o spełnieniu się amerykańskiego snu. Jeśli wierzyć legendzie, to narodziny pomysłu były wręcz anegdotyczne.

Koniec lat 90. Reed Hastings, założyciel Netflix, zgubił kasę z filmem „Apollo 13”. Musiał zapłacić 40 dol. kary. Właśnie wtedy ponoć przyszedł mu do głowy genialny pomysł na oryginalny biznes, który otworzył wspólnie z Markiem Randolphem. Postanowili stworzyć alternatywę dla tradycyjnych wypoży-

czalni dyscyplinujących swoich klientów wysokimi karami za opóźnienia, nie mówiąc już o zgubieniu kaset. Postawili przy tym na wchodzący właśnie na rynek nowy typ nośnika – płyty DVD. Utworzyli katalog internetowy dostępnych filmów, które można było zamówić z dostawą do domu za pośrednictwem poczty. Wypożyczone płyty można było przetrzymywać tydzień. Przez dwa pierwsze lata funkcjonowania firma nieszczerze wyróżniała się na rynku wypożyczalni filmów. Przełom nastąpił w 1999 r., kiedy to wprowadzono system abonamentowy czy też może – mówiąc bardziej zasadnym dla Netflix językiem Internetu – system subskrypcji. Stali klienci mogli wypożyczać dowolną liczbę filmów. Co najważniejsze – nie było terminu zwrotu. Tym samym Netflix zawstydził tradycyjne wypożyczalnie. Abonentom przetrzymującym miesiącami udostępnione filmy postawiono jeden tylko warunek – jednorazowo mogli zabrać do domu tylko jedną płytę. Nowy system się sprawdził. W 2002 r. z usług założonej przez Hastingsa i Randolpha wypożyczalni korzystało 600 tys. osób.



PHOTO: PASCAL SEGRETTI/GETTY IMAGES

Blockbustera w 2010 r. bankructwo było symbolicznym końcem epoki tradycyjnych wypożyczalni. W tym samym roku Netflix miał już 20 mln abonentów, których grono co roku powiększało się o ok. 60 proc.

KLIENT W SIECI

Prawdziwy podbój sieci rozpoczął się w 2007 r. Wtedy to Netflix zaczął przechodzić – w skrócie – z ery DVD do ery VOD. Oferta ewoluowała od fizycznych wypożyczeń płyt w stronę streamingu (strumieniowania), czyli udostępniania filmów w formie internetowej transmisji. Hastings i Randolph znów udowodnili refleks biznesowy. Sprzedaż płyt spadała, dystrybucja filmów przenosiła się do sieci. Jeszcze przez kilka lat Netflix zachował dwutorową ofertę. Usługa streamingowa funkcjonowała równolegle z fizyczną wypożyczalnią, którą zajęła się specjalnie utworzona (i szybko zlikwidowana) spółka Qwikster. Do 2010 r. Netflix stał się największym generatorem wieczornego ruchu w Internecie w całej Ameryce Północnej. Zagraniczną ekspansję rozpoczął od Kanady. Na początku 2016 r. Hastings uroczyście ogłosił wejście na rynki internetowe kolejnych 130 krajów, w tym Polski.

Kolejnym przełomem w historii Netflix'a było wyemitowanie serialu własnej produkcji, który z miejsca okazał się wielkim sukcesem. „House of Cards” zebrał bardzo pochlebne recenzje krytyków, wciąż cieszy się wielką popularnością widzów. Serial z gatunku political fiction to ekranizacja powieści pod tym samym tytułem, napisanej przez Michaela Dobbsa, polityka brytyjskiej Partii Konserwatywnej. „Dom z kart” po raz pierwszy na małym ekranie pojawił się już w 1990 r. jako miniserial BBC. Cieszył się na Wyspach został bowiem w czasie, gdy z polityki odchodziła Margaret Thatcher, której Dobbs był doradcą, zanim jeszcze objęła tękę premiera. Fabuła nakreślona przez brytyjskiego pisarza porwała miliony internetowych widzów na całym świecie, gdy została adaptowana do realiów amerykańskiej sceny politycznej.

Trzy lata po „House of Cards” ruszyła premiera kolejnego megahitu Netflix'a. „Stranger Things” to serial, którego nie da się zmieścić w jednej szufladzie gatunkowej. Ten „familijski” horror science fiction w stylu retro spełnia wszystkie

warunki udanej produkcji rozrywkowej – trzyma w napięciu i sprawia, że widz od pierwszej do ostatniej minuty utożsamia się z bohaterami i ich przeżyciami. Jednak początki serialu wcale nie były łatwe. Scenariusz autorstwa braci Duffer (którzy wcześniej współpracowali m.in. z reżyserem i ze scenarzystą „Szóstego zmysłu”), zaproponowany do realizacji 20 stacjom telewizyjnym, był kolejno odrzucany. Tym samym Netflix znów udowodnił swoje rynkowe wyczucie, z niechcianej przez innych opowieści tworząc globalny fenomen.

NETFLIX O POLSCE

Netflix wyprodukował już kilkadziesiąt seriali dramatycznych, komediowych, familijnych. Część z nich to ekranizacje popularnych komiksów Marvela. Zaczyna też stawiać na produkcje lokalne. „Jesteśmy jednymi z najszybciej rozwijających się i finansujących produkcje europejskie. A ponieważ operujemy jedynie w Internecie, możemy sobie pozwolić na produkowanie rzeczy niemieszczących się w głównym nurcie i wciąż odnosić sukcesy” – mówił Reed Hastings w wywiadzie dla „Financial Times”. Zainwestował m.in. w brazylijski serial „3%”, który odniósł sukces także np. wśród niemieckich internautów.

Ruszyły też zdjęcia do pierwszego polskiego serialu Netflix'a. To ma być zimnowojenny thriller, przedstawiający alternatywną historię najnowszej Polski. „W 2002 r., dwadzieścia lat po strasliwym ataku terrorystycznym z 1982 r., który pogrzebał polskie nadzieje na wyzwolenie i zapobiegł upadkowi Związku Radzieckiego, student prawa z ideałami i skompromitowany oficer śledczy odkrywają spisek, który pozwolił utrzymać żelazną kurtynę i represyjne państwo policyjne w Polsce. Po dwóch dekadach pokoju i dobrobytu przywódca reżimu wcielają w życie tajny plan obmyślony wspólnie z nieoczekiwanym przeciwnikiem jeszcze w latach 80. Spisek radykalnie odmieni Polskę i wpłynie na życie wszystkich mieszkańców kraju – i całego świata. Intryga odkryta przez bohaterów może wzniesić rewolucję, a rządzący nie cofną się przed niczym, żeby zachować ją w tajemnicy” – czytamy w opisie. W ośmioodcinkowym serialu w reżyserii Agnieszki Holland i Katarzyny Adamik wystąpić mają m.in. Andrzej Chyra, Maciej Musiał i Robert Więckiewicz.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



STEFAN SĘKOWSKI: Sejm uchwalił pakiet ustaw zwany Konstytucją Biznesu. Czy zasługują one na to miano?

PROF. ROBERT GWIAZDOWSKI: Gdyby sądy strzegły konstytucyjnych praw obywatelskich, nie trzeba by wprowadzać zasady rozstrzygania wątpliwości na korzyść podatnika. Tymczasem sądy zmieniły się w zbrojne ramię fiskusa. Przedsiębiorcy mieli z czasem coraz trudniej, teraz mają mieć łatwiej.

Będą mieli? Cezary Kaźmierczak ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców twierdzi, że ktoś, kto powołałby się w urzędzie na Konstytucję, mógłby zostać oskarżony o próbę zabicia urzędnika śmiechem. W sądach też tak sprawa wygląda?

Zdecydowanie. Zasadę in dubio pro tributario (rozstrzyganie wątpliwości na korzyść podatnika) można było od zawsze wyinterpretować z art. 217 konstytucji, tylko że nikt tego nie robił. W tej sytuacji zrobiono prawnego

by-passa i wpisano ją do ustawy. I co? I nic! Jednak rzeczywiście dostrzegam pewne zmiany na poziomie sądów administracyjnych i Trybunału Konstytucyjnego. W grudniu 2017 r. zapadł wyrok, w którym TK skrytykował NSA za wyroki, które absolutnie nie stosowały zasady in dubio pro tributario. To miód na serce podatnika. Jeśli Konstytucja Biznesu wzmocni nową linię orzecznictwa NSA, to będzie dobrze.



Z prof. Robertem Gwiazdowskim, prawnikiem
rozmawia Stefan Sękowski

Konstytucja Biznesu niewiele zmieni

Jednak Konstytucja Biznesu to nie tylko ta kwestia. To także wiele innych rozwiązań: przykładowo powołanie rzecznika praw małych i średnich przedsiębiorców...

Potrzeba zmiany podejścia sądów i urzędników do przedsiębiorców. Jednak ono nie zmienia się poprzez zapisanie czegoś w ustawie. Jeśli potrzebujemy rzecznika praw przedsiębiorców, to znaczy, że rzecznik praw obywatelskich nie funkcjonuje tak, jak powinien, jeśli chodzi o ochronę praw przedsiębiorców.

Nie funkcjonuje dlatego, że obecny RPO Adam Bodnar niewiele robi w takich sprawach czy dlatego że nie ma odpowiednich narzędzi?

Jakby chciał, toby mógł, choć z drugiej strony dysponuje takim budżetem, jakim dysponuje, i nie miał wsparcia ze strony sądów. Przykład: mam sprawę w NSA na początku 2016 r. Sąd oddala skargę, nie patrząc na konsekwencje niszczące firmę, wyciągając przepis, który jest najbardziej niekorzystny dla przedsiębiorcy. Ten już po sprawie, za drzwiami, mówi przez łyzy:

„Niech tu przyjdzie ten Kaczyński i zrobi z wami porządek”. Ten człowiek nie odróżnia NSA od Sądu Najwyższego, ale czuje się skrzywdzony przez sądy – i stąd się bierze poparcie dla PiS, nie tylko z „500+”. Ludzie mają nadzieję, że PiS zmieni takie sprawy na lepsze.

I przyszedł Kaczyński, i „zrobił porządek” z sądami. Jest lepiej?

Nie, bo naprawa nie polega na tym, że „nienaszych” sędziów zamienia się na „naszych”. Ani na tym, że każe im się wpisywać do oświadczeń majątkowych, skąd mają nowe zegarki. Jeśli kogoś powinno to interesować, to służby specjalne, ale robienie z tego sprawy publicznej to dowód albo na to, że władza nie rozumie, na czym polega problem sądownictwa, albo właśnie rozumie i robi rzeczy populistyczne, które przesłaniają prawdziwe problemy.

A jakie są prawdziwe problemy?

Procedury. Na sali rozpraw jest strona, ale nie ma jej pełnomocnika, nie wiemy, czy został poinformowany o rozprawie. To jeden ze sposobów utracania terminów. Inna kwestia to przeciążenie sędziów liczbą spraw. Jeśli sędzia ma na wokandzie ich kilkadziesiąt, to trudno, by rozpatrzył je szybko. Wiele spraw się ślimaczy nie przez lenistwo sędziów, ale przez to, że gdy już sędzia ma czas na rozprawę, to wszystkie sale w sądzie są zajęte, a gdy jakaś jest wolna, to znów nie ma czasu, bo zajmuje się inną sprawą. I tak to się miesiącami ciągnie.

To nie są kwestie, które da się umieścić hasłowo na transparencie.

Poza tym nikt nie słucha praktyków, bo asystent posła wie lepiej, jakie są problemy polskiego sądownictwa niż adwokat czy sędzia. W efekcie tak naprawdę większość reform jest pozorowanych. I to się nie zmienia, bez względu na tematykę. Pamiętam, jak będąc prezesem rady nadzorczej Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, tłumaczyłem decydom: w 1955 r. urodziło się 780 tys. dzieci. Połowa to faceci. Większość z nich osiągnie wiek emerytalny w 2020 r. W 2000 r. urodziło się 330 tys. dzieci. Jak najwyżej 160 tys. chłopców ma zastąpić w 2020 r. na rynku pracy 230 tys. mężczyzn, którzy przejdą na emeryturę? Odpowiedzieli mi: niech się martwią ci, co będą wtedy rządzić. Akurat tak się złożyło, że teraz rządzią ci, którzy rządzili wtedy (śmiech).

■ I ich sposób myślenia się nie zmienił. Przykładowo, obniżyli wiek emerytalny, bo przecież musieli zrealizować obietnice wyborcze...

... ale dzięki realizacji tych obietnic cieszą się ogromnym poparciem. I wcale nie wychodzimy na tym najgorzej – mamy dobre wyniki, jeśli chodzi o wzrost gospodarczy, względnie niski deficyt, niskie bezrobocie...

PiS ma sporo szczęścia, bo mamy dobrą koniunkturę wszędzie, mimo że PiS wszędzie nie rządzi. Zrobił też parę dobrych rzeczy, jak choćby wdrożenie pakietu paliwowego. Trzymam kciuki za rząd walczący z mafią paliwową. Z drugiej strony stosuje zasadę, że jak nie ma winnych, to dobierze się z niewinnych. Przykładowo urzędnicy najpierw uderzają w firmy, które ich zdaniem uczestniczyły w łańcuszku karuzeli VAT-owskiej, choć nie przedstawiają na to żadnych dowodów, mimo możliwości technicznych. Mamy przecież narzędzia do inwigilacji podatników podejrzewanych o przekręty, ale ich się nie wykorzystuje. Za to mówi się do podatnika: Co prawda ty sam nie występowałeś ani o zwrot VAT, ani nie eksportowałeś ze stawką zerową, ale sprzedałeś Iksowi, a Iks sprzedał Igrekowi, a Igrek oszukał. A ty powinienes wiedzieć, z kim współpracujesz. Oczywiście są tacy, którzy wykorzystywali mechanizmy normalnego biznesu do budowania struktur wyłudzaających VAT, przy czym ci, którzy dostali zwrot VAT, już dawno firmy zlikwidowali. Organ podatkowy czepia się ludzi, którzy byli pomiędzy. Oni nie mogą wyjechać na Kajmany, bo nie ukradli żadnych pieniędzy, ale najpierw trzepie się firmę, po czym zwała odpowiedzialność na jej członków zarządu. To do niczego nie prowadzi, bo oni musieliby pracować dziesiątki lat, by je zwrócić. Ani Skarb Państwa, ani podatnik nie zobaczą tych milionów. W ostatnich miesiącach to się nawet nasiliło. Tutaj żadna Konstytucja Biznesu nie pomoże, jeśli nie zmieni się podejście. Wiem to z własnej praktyki i kolegów z branży, bo przecież my ze sobą o tym rozmawiamy. Ostatnio jeden z wojewódzkich sądów administracyjnych wydał wyrok mówiący, że organy podatkowe muszą udowodnić, iż dany przedsiębiorca brał udział w karuzeli. Jednak na przepisach dotyczących odpowiedzialności solidarnej może polegać każdy. Tutaj działa reguła prok. Wyszyńskiego: „Dajcie mi człowieka, a ja znajdę paragraf”. Nie ma uczciwych podatników, są tylko niewłaściwie skontrolowani.

Nie przesadza pan? To jednak sugeruje, że to jest działanie intencjonalne.

Z jednej strony czasami jest tak, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Jednak z drugiej strony lepiej jest wypuścić 10 winnych niż skazać jednego niewinnego. To jest podstawa naszej cywilizacji, dorobek myśli oświeceniowej. Część działań jest intencjonalna – to ta sama zasada, w myśl której państwo żąda pieniędzy od podatnika, gdy ten wystawi fakturę, ale nie dostanie pieniędzy. Urzędnicy mówią: trudno, żeby państwo zakładało za nieuczciwych podatników. Jednak dlaczego podatnik ma ponosić surową odpowiedzialność za kontrahenta, który nie tylko nie zapłacił VAT, lecz także wręcz go wyłudził, a urzędnik, który podpisał tę decyzję – nie? To sytuacje, które się powtarzają bez względu na to, kto rządzi. Niestety nadal obowiązuje narracja, że podatnicy to oszuści, których należy ścigać. Znowu: bez zmiany tego stanu rzeczy Konstytucja Biznesu niewiele pomoże. Nigdy nie miałem pretensji do PiS, że jest socjalistyczny, bo on

mu nawet do 25 proc. A potem wziął na pokład narodowców... A Nowoczesna wyrosła w kontrze do reformy OFE. Jeśli ktoś uważa, że Otwarte, inaczej: Obowiązkowe Fundusze Emerytalne były liberalne, to jak my możemy przebić się z liberalizmem? Jak możemy mówić o jakimkolwiek liberalizmie w Polsce w ostatnich 28 latach, skoro 9 z 10 największych firm to są firmy państwowe, a z 20 – 13? Jak możemy mówić o liberalizmie przy tylu regulacjach, progresywnym podatku dochodowym czy wysokim opodatkowaniu pracy?

Może tak właśnie wygląda realny kapitalizm? Za PRL emigracyjni pogrobowcy PPS czy z drugiej strony Kazimierz Mijal mówili, że w Polsce wcale nie buduje się żadnego socjalizmu. Może taki musiał ten nasz kapitalizm wyjść, a pan jest Kazimierzem Mijalem polskiego liberalizmu?

Nie jestem (śmiech). Parę rzeczy mogliśmy zrobić kompletnie inaczej. Leszek Balcerowicz był w latach 1989 i 1990 prezentowany jako monetarysta. Do Polski

Mamy narzędzia do inwigilacji podatników podejrzewanych o przekręty, ale ich się nie wykorzystuje. Za to mówi się do podatnika: Co prawda ty sam nie występowałeś o zwrot VAT, ale sprzedałeś Iksowi, Iks – Igrekowi, Igrek oszukał, a ty powinienes wiedzieć, z kim współpracujesz

to zawsze mówił, ale miałem pretensję do PO, która kłamała, że jest liberalna.

Dojście do władzy kogoś bardziej liberalnego mogłoby to odmienić?

Pytanie, czy ktoś taki – prawdziwy liberał, nie jakiś łże-liberał – chciałby wystartować w wyborach. Po drugie, czy miałby szansę je wygrać.

Polityków powołujących się na liberalne hasła jest sporo – chociażby przedstawiciele Nowoczesnej, Paweł Kukiz, nieustająco Janusz Korwin-Mikke. Wiąże pan z nimi jakieś nadzieje?

Korwin-Mikke bardzo wiele zrobił dla popularyzacji myśli liberalnej w stanie wojennym, ale po 1989 r. dla politycznego ruchu liberalnego zrobił wiele złego. Liberalizm jest w Polsce kojarzony z bardzo wieloma jego kontrowersyjnymi wypowiedziami, z którymi liberałowie się często nie zgadzają. To happening polityczny, a nie działalność polityczna. Z kolei Paweł Kukiz miał kilkanaście procent poparcia, a gdy ogłosił, że najbliższemu mu do poglądów Centrum im. Adama Smitha, to skoczyło

przyjechał Milton Friedman i Korwin-Mikke zrobił z nim spotkanie w siedzibie Unii Polityki Realnej. Gdy Friedmanowi powiedziano, co to jest popiwek, to on powiedział: „Jeśli to jest monetarizm, to ja jestem keynesistą”.

Bo trochę był, sam tak mówił.

Prawdą jest, że Friedman reprezentował ilościową teorię pieniądza, tak jak Keynes, i gospodarkę popytową, a nie podażową, jak ekonomiści ze szkoły austriackiej, ale to szczegóły. Te reformy prezentowane jako liberalne wcale takie nie były. Przykładowo: podstawową ówczesną gałąź gospodarki, taką jak górnictwo, pozostawiono w okowach socjalizmu – to tak, jakby w Wielkiej Brytanii zmienić ruch lewostronny na prawostronny, ale ciężarówki dalej jeździłyby lewą stroną.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Robert Gwiazdowski – adwokat, profesor Uczelni Łazarskiego i szef rady Warsaw Enterprise Institute. Były prezes rady nadzorczej ZUS.

TEST „DO RZECZY”: SŁUCHAWKI SENNHEISER MOMENTUM FREE M2 IEBT SW

Bardzo dobra jakość dźwięku, niewielka waga oraz stabilna łączność bezprzewodowa – to główne zalety bezprzewodowych, dousznych słuchawek firmy Sennheiser. Mimo wysokiej ceny nie są to jednak słuchawki idealne.

Coraz więcej producentów smartfonów rezygnuje z tradycyjnych wejść słuchawkowych. Coraz więcej audiofilów musi więc szukać modeli bezprzewodowych. Na szczęście czołowi producenci zauważyli zwiększony popyt i na rynku jest już w czym wybierać.

Największym plusem testowanego gadżetu jest zrównoważone brzmienie. Dzięki szerokiej scenie muzycznej i wysokiej dynamice gadżet ten świetnie nadaje się zarówno do rocka, popu czy jazzu, jak i muzyki klasycznej. W tym modelu basy nie dominują, dzięki czemu wyraźniej mogą wybrzmieć tony średnie i wysokie. Czyste i precyzyjne brzmienie sprawia również, że testowane słuchawki świetnie nadają się do prowadzenia rozmów telefonicznych.

Słuchawki są lekkie (ważą 40 g). Ich końcówki mają wbudowany magnes, dzięki czemu można je łatwo



połączyć i nosić bez obawy o utratę podczas noszenia na szyi. Minimalistyczny design sprawia, że bez problemu można ich używać w autobusie, przy biurku w dużej korporacji czy też na siłowni. Miłośnicy biegania na świeżym powietrzu muszą jednak pamiętać, że ten model nie jest wodo-odporny. Podczas ćwiczeń douszne słuchawki trzeba też wkładać do ucha nieco głębiej niż inne produkty tego typu – inaczej mają tendencję do regularnego wypadania.

Akumulator jest wystarczający, aby słuchawki ładować raz dziennie. Producent deklaruje, że na jednym ładowaniu powinny działać sześć godzin – podczas testów działały nawet nieco dłużej. Niektórzy konkurenci Sennheisera oferują jednak dłuższy czas pracy na jednym ładowaniu.

Moduł Bluetooth 4.2 wykorzystywany w słuchawkach sprawia, że łączność bezprzewodowa działa idealnie. Podczas testu nie miałem żadnych problemów ze streamowaniem dźwięku wysokiej jakości.

Po stronie plusów trzeba też zapisać dołączany w zestawie solidnie wykonany, skórzany pokrowiec. Minusem jest wysoka cena, która wynosi 719 zł. © © **Jacek Przybylski**

FUTURYSTYCZNY ROWER

Nie przepadam za rowerami, jeszcze mniej za rowerzystami, a już zupełnie nic a nic za rowerzystami na chodniku. Jednak zupełnie szczerze muszę przyznać, że jazda na takim bicyklu, jak przygotowali konstruktorzy Bell Labs, wymaga doskonałej koordynacji całego ciała, zręczności i... sporej odwagi. Choćby dlatego, że napęd, czyli – niepoprawnie politycznie mówiąc – pedały, znajduje się na przednim kole, kierownicę umieszczono trochę z boku, za siedzeniem, a urządzeniem o nazwie Bellcycle kieruje się, trzymając ręce swobodnie spuszczone wzdłuż ciała. Całe urządzenie reklamowane jest jako kompaktowe, przenośne i do samodzielnego montażu, co ma ułatwić przewożenie np. w środkach komunikacji z jednej strony, a z drugiej – „przemodelowywanie” wehikułu w inne napędzane siłą mięśni urządzenia, np. pług śnieżny albo wózek z przyczepką. Warto przy tym zwrócić uwagę, że Bellcycle ma podwójną konstrukcję obrotową, druga tylna oś umieszczona pod kierownicą zwiększa stabilność i szybkość reakcji kierującego pojazdem.

Bellcycle zamawiać można na Kickstarterze, płacąc za niego ok. 1100 zł plus koszty przesyłki.



I RÓWNIE FUTURYSTYCZNY KASK

Jeżeli już zdecydujecie się na kupno tego czy jakiegokolwiek innego roweru, to warto zaopatrzyć się także w kask ochronny. Bezwzględnie. LID Helmet wygląda jak standardowy kask, ale ma pewną niespotykaną dotąd konstrukcyjną zaletę. Można go złożyć w małą paczuszkę i schować do torby tak, by w pracy czy podczas wykładów nie zawadzał na biurku. A po drugie – choć może właśnie to powinienem wymienić jako pierwsze – jego konstrukcja umożliwia ściśle dopasowanie do głowy nosiciela, dzięki czemu chroni ją lepiej, dokładniej, minimalizując ryzyko, że spadnie przy gwałtownym ruchu. Reszta w dobrym standardzie, czyli otwory chłodzące głowę w czasie jazdy, a całość wykonana z materiałów certyfikowanych pod względem bezpieczeństwa.

Jeżeli już zaczęliście się logować na portal Indiegogo, by zamówić LID Helmet, to oczywiście możecie to zrobić, ale musicie też pamiętać, że zapłacicie za niego ok. 360 zł, a dostawa będzie miała miejsce dopiero w maju. Przy czym producent zastrzega, że ci, którzy zamówią go dopiero wtedy, być może będą musieli zapłacić za niego nawet o 50 proc. więcej. © ©

Wojciech Wybranowski



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

Z Faustyną Malik, sędzią skoków narciarskich rozmawia Łukasz Majchrzyk

Życie sędziów nie jest łatwe

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Sędziowie to najbardziej krytykowane osoby w świecie skoków narciarskich? Chyba nie ma konkursu, po którym ktoś nie zgłaszałby zarzutów.

FAUSTYNA MALIK: Wiadomo, że życie sędziów w żadnym sporcie nie jest łatwe. Często z perspektywy kibica, który nie jest w trakcie zawodów na trybunach, łatwo jest oceniać, czy ktoś dał dobrą, czy złą notę. Pamiętajmy jednak, że na mistrzostwa świata i igrzyska olimpijskie wybierani są najlepsi fachowcy na świecie. Władze Międzynarodowej Federacji Narciarskiej (FIS) wskazują kraje, które będą miały swoich przedstawicieli, a krajowe związki delegują konkretne osoby.

Na jakiej podstawie FIS wskazuje kraje?

Każde zawody są oceniane przez komisję sędziowską. Na tej podstawie typuje się kraje, które mają najlepszych sędziów orzekających, czyli przyznających noty za styl. Nie muszą to być ludzie

pochodzący z krajów, które mają najlepszych skoczków.

Sędziowie mówią, że jeśli ich wyniki za bardzo odbiegają od średniej przyznawanej przez pozostałych arbitrów, to budzi to podejrzenia. Czy to prawda?

Przyjmuje się, że odchylenia od średniej pozostałych not sędziowskich w granicach jednego punktu nie budzą podejrzeń. Jeśli różnice są większe, to komisja sędziowska FIS poddaje pracę takiego arbitra analizie. Szczególną uwagę zwraca się na „sędziowanie narodowe”. Jeśli sędzia da rodakowi wysoką notę, odbiegającą od ogólnej opinii, to może zostać ukarany rocznym odsunięciem od pełnienia funkcji. Każdy konkurs jest sędziowany przez pięciu arbitrów na obiekcie, ale oprócz nich są obserwatorzy, którzy mają obowiązek oceniać skoki, siedząc przed telewizorem w domu. Ich oceny są punktem odnie-

sienia do weryfikacji pracy sędziów na zawodach.

Obserwatorzy, którzy oglądają skoki w domu, mogą korzystać z powtórek?

Siadając przed telewizorem, muszą się starać wczuć w sytuację sędziego na zawodach. Wiadomo, że mają trochę inny obraz, ale jednocześnie nie powinni się sugerować powtórkami. Ich praca ma być jak najbardziej zbliżona do tej wykonywanej podczas zawodów.

Jak jest z widocznością podczas konkursów skoków? Czytałem, że ocena fazy odjazdu po wylądowaniu może sprawiać problemy, bo wszystko dzieje się w znacznej odległości od wieży sędziowskiej.

Oczywiście są przepisy normujące, w którym miejscu ma się znajdować wieża sędziowska, ale na różnych obiektach wygląda to różnie. Do dyspozycji arbitry mają tylko gołe oko, nie używają

lornetek. Pojawiały się pomysły, żeby wprowadzić ekrany z powtórkami, ale jest to nierealne, bo ocena skoku musi się odbyć błyskawicznie.

Jak od strony technicznej wygląda przyznawanie noty za skok?

Sędzia ma do dyspozycji maszynkę, na której nie wpisuje konkretnej liczby, ale od maksymalnej noty 20 pkt z każdej fazy skoku, czyli lotu, lądowania i odjazdu, odejmuje określoną liczbę za wychwycone uchybienia. Za każdą fazę można stracić określoną liczbę punktów: za lot i lądowanie – po pięć, a za fazę odjazdu – nawet siedem.

Za co najczęściej odejmuje się punkty?

Na zawodach Pucharu Świata najczęściej zawodnicy tracą 0,5–1 pkt za sam lot, jeśli nie mają idealnie ułożonej sylwetki. Tutaj bierze się pod uwagę również tzw. dynamikę lotu. Jeśli zawodnik doleci do punktu konstrukcyjnego skoczni lub dalej, to raczej nie dostanie mniej niż 17,5–18 pkt, bo oznacza to, że lot był wystarczająco dynamiczny. Jeśli skoczy tylko 90 m, to straci więcej punktów, bo widocznie dynamika nie była odpowiednia.

A jeśli zawodnik ma pecha, przydusi go wiatr i wyląduje na 105. metrze, to może dostać wysokie noty od sędziów, jeśli wszystkie elementy wykonał poprawnie?

Oczywiście, że tak. Kiedyś obowiązywały wytyczne, że jeśli skoczek doleciał do punktu konstrukcyjnego, to dostawał maksymalnie 18 pkt, a im dalej wylądował, tym wyższą notę mógł uzyskać. Od jakiegoś czasu unika się takich ocen. Nota sędziowska to nota za styl, w którym skok został oddany. Jeśli lot jest piękny, ale krótki, bo na więcej nie pozwiliły warunki, to nie powinno się skoczka podwójnie karać.

W którym momencie sędziowie zaczynają oceniać skok, a w którym kończą?

Ocena skoku zaczyna się w momencie wyjścia z progu, a kończy za tzw. linią upadku. Jeśli zawodnik minie tę linię, to nawet jeśli się wywróci, sędziowie nie mają możliwości odjęcia mu punktów.

Niektórzy zawodnicy skakali z głową niemal między czubkami nart. To ma wpływ na ocenę skoku?

Tego akurat nie bierze się pod uwagę. Ważne jest, by narty nie krzyżowały się

po wyjściu z progu, żeby nie falowały, ważna jest też sama sylwetka zawodnika. To, jak bardzo zawodnik się „położy” na nartach, jest akurat bez znaczenia.

Wiadomo, że na skoczni są zmienne warunki, mogą być boczne podmuchy wiatru i wtedy nie da się zapanować nad sylwetką oraz ułożeniem nart. Co wtedy?

Jeśli kogoś buja w powietrzu, to muszą mu odjąć punkty, bo ważne jest też, na ile zawodnik potrafi się obronić przed podmuchami. Tutaj wkracza indywidualna wrażliwość każdego sędziego. Jeden arbiter odejmie w tej sytuacji punkt, a inny pół punktu. Stąd się biorą rozbieżności.

Styl to jedno, ale od pewnego czasu w skokach dodaje się lub odejmuje punkty w zależności od warunków, w jakich oddano skok. Jak próbuje się znaleźć optymalne przeliczniki?

Czujników na skoczni jest 14, ustawione są one naprzemiennie. Systemy są cały czas doskonalone, ale zdarzają się sytuacje, w których przeliczniki budzą poważne wątpliwości. Osobiście uważam, że żaden automatyczny system nie jest bezpieczny. Jeśli dopuszczamy maszyny, które decydują bez jakiegokolwiek kontroli ze strony człowieka, to prędzej czy później wkradnie się błąd. Przeliczniki wiatru to wyższa matematyka, w której chodzi o usprawnienie konkursów. Kiedyś zawody mogły trwać godzinami, bo zmieniały się warunki, trzeba było skracać lub wydłużać rozbieg, powtarzać próby. Na początku liczone tylko wiatr przedni i tylny, potem zaczęto uwzględniać również podmuchy boczne.

Na każde zawody ustala się tzw. korytarz powietrzny. Co to jest, bo przeciętnemu kibicowi to pojęcie niewiele mówi?

Korytarz jest ustalany przez jury konkursu, w porozumieniu z Borkiem Sedlákiem, który zapala skoczkom zielone światło do skoku. Jest to przedział, który ma określać optymalne warunki dla skoczków w danym dniu, biorąc pod uwagę szczegółowe prognozy pogody. Jeśli wiemy, że będzie mocny wiatr pod narty, to odpowiednio ustala się korytarz powietrzny i skraca rozbieg, żeby skoki nie stały się niebezpieczne. Jeśli któryś z czujników pokaże wartość przekraczającą ustalony korytarz, to nie można puścić zawodnika z belki startowej. Nie pozwoli na to komputer, nie można tego

zmienić ręcznie. Następnego dnia zawodów kierunek wiatru może się zmienić, więc i korytarz będzie inny. Korytarz powietrzny nie ma nic wspólnego z dodawaniem lub odejmowaniem punktów za siłę wiatru – te dwie wartości są zupełnie niezależne.

Będąc dyrektorem konkursów Pucharu Świata w Wiśle, bierze pani również udział w naradach nad ewentualnym przerwaniem konkursu. Jak wyglądają takie narady? Podczas zawodów olimpijskich Simon Ammann pięć razy siadał na belce startowej, a konkurs nie został przerwany.

Na platformie, między trenerami, jest obecny cały czas asystent delegata FIS, a kierownik zawodów i delegat techniczny są w wieży sędziowskiej. Tam mają stały podgląd sytuacji na skoczni i jednocześnie kontaktują się z asystentem delegata. Czasami zdarza się tak, że zawodnicy siadają po kilka razy na belce startowej. Być może szkoleniowcy w Pjongczangu mieli jakieś zastrzeżenia. Co można by zrobić inaczej? Być może warto byłoby zrobić 10 minut przerwy, podczas której zawodnicy mogliby się rozgrzać w pomieszczeniu. Można snuć wiele wariantów alternatywnych. Takie decyzje podjęło jury, a trzeba pamiętać, że to są najbardziej wykwalifikowani ludzie na świecie. Nie ma ścisłych regulacji dotyczących tego, jak długo zawodnik może czekać na oddanie skoku. Zawsze decyzje podejmuje się na miejscu, w trakcie zawodów.

A są regulacje określające, jak długo może trwać konkurs?

Nie ma ścisłych przepisów. Decyzja zawsze należy do jury, które ma się kierować zdrowym rozsądkiem. Dlatego jest nieparzysta liczba członków jury, bo czasami trzeba podjąć decyzję o przerwaniu zawodów w drodze głosowania. Zdanie trenerów jest brane pod uwagę, ale ostateczną decyzję podejmuje kierownictwo zawodów, czyli przedstawiciele FIS: Walter Hofer, Sepp Grazer, Horst Huettel i Borek Sedlák oraz trzy osoby jury. Każdy trener może złożyć protest, ale on musi być dobrze uargumentowany. © ©



Faustyna Malik – sędzia skoków narciarskich PZN i kierownik biura zawodów Pucharu Świata w Wiśle.



Austriak Thomas Morgenstern przeżył dwa ciężkie upadki. Po tym w Kulm w 2014 r. (na zdjęciu) postanowił zakończyć karierę FOT. IMAGO/EIBNER/EAST NEWS

Twarde lądowanie



Łukasz Zboralski

Ciężki upadek na skoczni to czasem śmierć, kalectwo, a w najlepszym przypadku koniec kariery. Są jednak skoczkowie, którzy czekali tylko na koniec rehabilitacji, by znów zasiąść na belce

Od czasów Cesarstwa Rzymskiego lud krzyczał: „Chleba i igrzysk!” – czyli domagał się rozrywki budzącej emocje, pozwalającej coś przeżyć. Na szczęście dla współczesnych sportowców widzowie nie oglądają już zmagania na śmierć i życie. Choć

krewni widują. I to wcale nie tak rzadko, jakby się mogło wydawać. Na przykład w skokach narciarskich. Wśród zajmujących się tym sportem krąży nawet powiedzenie, że po ślubie skoczkowi skracają się skoki – bo nie chce już tak ryzykować życia i zdrowia jak przedtem.

OD POČĄTKU Z EMOCJAMI

Od kiedy szaleni Norwegowie wpadli na pomysł, żeby na nartach nie tylko się przemieszczać, lecz także zjeżdżać dla przyjemności oraz dla emocji wyskakiwać na nich w powietrze, istnieje dyscyplina równie widowiskowa co niebezpieczna. Początki – czyli pierwsze norweskie zawody pod koniec XIX w. – nie przyprawiły jeszcze o takie emocje. Skakano po 20 m. Jednak już na I Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Chamonix w 1924 r. długości były ponad dwukrotnie większe.

Pierwszym mistrzem olimpijskim został tam Norweg Jacob Tullin Thams, który skoczył dwa razy na odległość 49 m.

Nic dziwnego, że na kolejnych igrzyskach w szwajcarskim Sankt Moritz był pretendentem do złota. Przy podniesionym rozbiegu zaryzykował bardziej niż inni i poleciał najdalej, przekraczając swój osobisty rekord i lądując w okolicach 73 m. Niestety, tego skoku nie ustał i doznał poważnej kontuzji, łamiąc narty oraz zrywając wiązania. Można powiedzieć, że od tego czasu oficjalnie rozpoczęła się historia narciarskich upadków, choć oczywiście w latach 20. upadanie na skoczniach nie było niczym rzadkim. W tym samym konkursie co Thams upadło wielu zawodników, także ci, którzy jak on oddawali najdłuższe skoki i walczyli o medalowe miejsca. Wśród upadających był tam m.in. Polak Bronisław Czech, który dwa razy

skoczył daleko (56,5 oraz 62,5 m), ale obu skoków nie ustał (a potem z podobnymi odległościami ustanowił rekord polskiej Wielkiej Krokwi).

Ostatecznie Thams ze skoków przerzucił się na żeglarstwo, w którym też święcił olimpijskie triumfy. A Czech zajmował się narciarstwem i skokami do końca, czyli do momentu, w którym podczas II wojny światowej został aresztowany przez gestapo i wysłany do niemieckiego obozu w Auschwitz. Tam działał w ruchu oporu organizowanym przez rtm. Witolda Pileckiego. Zmarł z wycieńczenia w obozowym szpitalu w 1944 r.

OSTATNI SKOK „DZIDKA”

Jednym z najtragiczniejszych upadków w historii polskich skoków narciarskich – nie licząc przypadku Jana Kwaka, który w konkursie w NRD sunął po zeskoku, uderzył głową w drzewo i zmarł – był ten, który wydarzył się w 1960 r. na skoczni w Wiśle Malince. To był ostatni trening polskich skoczków na dwa dni przed wyjazdem na igrzyska olimpijskie. Trenowali dwaj przyjaciele ze Śląska, obaj w znakomitej formie: Władysław Tajner i Zdzisław Hryniewiecki. Ten drugi, uznawany za największy talent polskich skoków od czasów Marusarza, miał już na koncie m.in. mistrzostwo kraju. W pierwszej serii Hryniewiecki skoczył 78 m, zaledwie pół metra mniej od własnego rekordu na tej skoczni. Chociaż kolega proponował obniżenie belki, Hryniewiecki postanowił skakać dalej z tej samej wysokości. Przy drugim skoku za szybko wyszedł z progu, wykonał salto w powietrzu, spadł i uderzył o twardy zeskok.

„Zdziwiło mnie, że nie próbował się ratować. On spadał bezwładnie, jak pozbawiony sterowności samolot. Trwało to sekundy. Wylądował, uderzając o zamrożone podłoże...” – wspominał Władysław Tajner („Skoki”, magazyn narciarski 2002 r.). „Po upadku rzuciłem nartami i pobiegłem do niego. Dzidek był jeszcze świadomy. Mówił, że nie czuje ani rąk, ani nóg. Nie dostrzegłem jednak żadnych obrażeń. Sądziłem, że bezwład stanowi jedynie efekt szoku. Nie zdawałem sobie sprawy, że to tragiczny koniec jego wspaniałej, lecz jakże krótkiej kariery”.

Pretendent do olimpijskiego złota od tego dnia został przykuty do inwalidzkiego wózka. Nie poruszał nogami i miał częściowo sparaliżowane ręce. Mimo nieszczęścia początkowo dzielnie

stawiał czoła życiu. Ożenił się, próbował pozbierać. Małżeństwo jednak się rozpadło, a pojawiły się gorycz i alkohol. Sportowiec, który został legendą już za życia, odszedł w 1981 r.

UPADAĆ BEZPIECZNIEJ

Skoki, jak każda dyscyplina, przez lata bardzo się zmieniały. Dzisiaj już przecież nawet nie wygrywa ten, który skoczy najdalej, ale ten, kto w określonych warunkach, komputerowo przeliczanych, osiąga najlepszy skok. Zmieniała się więc i historia upadków.

Wpływ na to miało na pewno zmienienie stylu skoków na „V”, który pozwala lepiej lecieć. Wprowadzenie tego sposobu przypisano Szwedowi. Jan Boklöv skakał tak w latach 80. Chociaż wcześniej, bo jeszcze na początku lat 70.



Tuż przed olimpiadą w 1960 r. znakomity młody skoczek Zdzisław Hryniewiecki złamał kręgosłup na treningu. Do końca życia był przykuty do wózka inwalidzkiego. FOT. TADEUSZ OLSZEWSKI/CAF/PAP

takim sposobem skakał Polak – Mirosław Graf. Przydarzyła mu się kontuzja, przez którą musiał inaczej układać nogi. I już Graf skakał wówczas dalej niż inni, choć sędziowie odejmowali mu (jak Boklówowi na początku) punkty za styl, więc zawodów nie wygrywał.

Do stylu doszły też kaski, coraz lepsze wiązania i w końcu kombinezony, które zamieniają skoczków w coś przypominającego szybowiec.

Ryzyko upadku nadal istnieje, ale jego konsekwencje nie bywają już na szczęście tak tragiczne jak przed laty. Jednak na skoczniach mamucich i w ostatnich latach przytrafiały się zatrważające wypadki.

W 1999 r. publiczność zgromadzona w Planicy wstrzymała oddech, gdy Walerij Kobielow wykonał w powietrzu salto i uderzył plecami o zeskok. Jego

ciało koziołkowało, a potem sunęło zupełnie bezwładnie. Rosjanin trafił w ciężkim stanie do szpitala. Rokowania nie były optymistyczne. Rehabilitacja trwała wiele miesięcy (finansową pomoc w leczeniu zapewnił mu inny skoczek, znany z rywalizacji z Adamem Małyszem – Martin Schmitt). Już dwa lata po ciężkim wypadku Kobielow znów zasiadł na belce i zaczął jeden ze swoich najlepszych sezonów, wiele razy łapiąc się do najlepszej dziesiątki.

Podobnie jak Rosjanin po groźnych wypadkach – i to dwóch – podnosił się Austriak Thomas Morgenstern. Jako 17-latek występował w Pucharze Świata w fińskim Kuusamo w 2003 r., gdzie w pierwszym konkursie zajął dziewiąte miejsce. Następnego dnia przy silnym wietrze na skoczni źle wyszedł z progu i po koziołku ponad bullą upadł. Przewieziono go do szpitala z podejrzeniem wstrząśnienia mózgu. Zakończyło się na szczęście jedynie złamanym palcem. Jeszcze w tym samym sezonie wystartował w Turnieju Czterech Skoczni i zajął drugie miejsce.

Trochę mniej szczęścia miał dekadę później. Najpierw w grudniu 2013 r. miał wypadek w Titisee-Neustadt i stracił przytomność, a potem w styczniu podczas treningu na skoczni Kulm w Austrii spadł po wyjściu z progu i uderzył głową oraz barkiem w zeskok. Miał uraz czaszki, doznawał zaników pamięci. Przez tydzień przebywał w szpitalu, a potem długo się rehabilitował. Próbował wrócić do skakania latem 2014 r., ale jesienią ogłosił zakończenie kariery.

Polscy kibice mają też pewnie jeszcze w pamięci zatrważający upadek młodego Czecha na Wielkiej Krokwi w styczniu 2007 r. 22-letni Jan Mazoch stracił równowagę w locie i mocno uderzył o zeskok. Do szpitala w Krakowie trafił w stanie krytycznym. Wprowadzono go nawet w stan śpiączki farmakologicznej. Na szczęście po sześciu dniach można było go wybudzić i przewieźć na dalsze leczenie do szpitala w Pradze. Dwa miesiące po zakończeniu leczenia wrócił do skakania w konkursach. Nie osiągał jednak już dobrych wyników i rok później sam zdecydował, że kończy karierę. Nie ukrywał, że nie mógł już wyżyć się wspomnienia o upadku. I chociaż na początku górę wzięły ambicja i motywacja do uprawiania sportu, to potem przyznał dziennikarzom, że silniejszy okazał się jednak strach.

Podczas zawodów wiernie towarzyszą naszym skoczkom, przyczyniając się do ich sukcesów. Same również robią jednak kariery

Jedną z najbardziej lubianych par w polskim sporcie jest małżeństwo 31-letniego Kamila Stocha oraz dwa lata od niego starszej **Ewy Bilan-Stoch**. Chociaż oboje pochodzą z Zakopanego, to dwukrotny mistrz olimpijski i obecnie najlepszy polski skoczek narciarski swoją przyszłą żonę poznał dopiero na zawodach w słoweńskiej Planicy.

Ewa Bilan przyleciała na nie, aby robić zdjęcia polskiej reprezentacji w skokach. Ona miała 21 lat, on 19. Skoczek i pani fotograf zachowali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Pobraли się w sierpniu 2010 r.

Ewa Bilan-Stoch pracuje nie tylko jako fotograf – robienie zdjęć od dawna jest jej pasją – ale jest również menedżerką polskich skoczków. Założycielka Eve-nement Team współpracuje z przedstawicielami mediów i dba o wizerunek oraz kontrakty marketingowe swojego męża.

Swoich sił w zarządzaniu próbuje również **żona Stefana Huli: Marcelina**. Ekspertka w dziedzinie włókiennictwa – ukończyła Akademię Techniczno-Humanistyczną w Bielsku-Białej – prowadzi wspólnie z mężem pracownię krawiecką HULIGAN'S, która zajmuje się szyciem kombinezonów dla skoczków narciarskich i nie tylko. Gdy Marcelina Hula nie zajmuje się rodzinnym biznesem, poświęca czas na wychowywanie dwóch córek. Para chętnie publikuje swoje zdjęcia na portalach społecznościowych.



Ewa Bilan-Stoch
z mężem
FOT. GRZEGORZ MOMOT/PAP

Partnerka Macieja Kota – **Agnieszka Lewkowicz** – przed laty próbowała sił w biegu na 400 m przez płotki. Niestety, koszmarna kontuzja i operacja kostki zmusiła ją do przedwczesnego zakończenia kariery. Agnieszka Lewkowicz wciąż jednak bardzo aktywnie dba o swoją formę. Prowadzi bowiem zajęcia fitness i pracuje jako trenerka personalna. Na Instagramie, gdzie ma niemal 17 tys. obserwujących, publikuje za wiele zdjęć, które pokazują jej doskonałą, wysportowaną sylwetkę.

Fotografie swoje i całej rodziny chętnie na Instagramie publikuje również Justyna Żyła. Jedno ze zdjęć – w skąpym bikini – wywołało nawet internetową burzę, kiedy wśród komentarzy swoją krytyczną opinię opublikowała żona naszego legendarnego skoczka. „Pięknie się prezentujesz, ale widziałabym Cię raczej w subtelniejszym bikini” – napisała wówczas Iza Małysz.

Żona Adama Małysza nie bez przyczyny interesuje się życiem prywatnym Justyny Żyły. Wybranka Piotra Żyły jest bowiem siostrą ciotecznią legendarnego Orła z Wisły.

Piotr i **Justyna Łazarz** pobraли się bardzo wcześnie. Oboje mieli wówczas (w 2006 r.) zaledwie 19 lat! Na co dzień żona wiecznie uśmiechniętego Piotra Żyły zajmuje się wychowaniem dwójki dzieci: jedenastoletniego Kubę oraz sześciolletniej Karolinę.

Partnerką Dawida Kubackiego jest **Marta Majcher**. Mimo zgrabnej figury pochodząca z Katowic studentka AWF unika światła jupiterów.

Ukochane polskich skoczków mają więc coraz większe szanse, aby zdobyć popularność na miarę Anny Lewandowskiej.

(jap)

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Uskrzydlają polskie orły



Marcelina Hula FOT. ARCHIWUM M. HULI



Agnieszka Lewkowicz FOT. FACEBOOK



Justyna Żyła FOT. FACEBOOK



Marta Majcher FOT. M. JAGIELSKI/EAST NEWS



JESTEŚMY PALIWEM DLA POLSKIEGO SPORTU

GRUPA LOTOS – ZAŁOŻYCIEL NARODOWEGO
PROGRAMU ROZWOJU SKOKÓW I BIEGÓW
NARCIARSKICH



www.lotos.pl





Katarzyna Pinkosz

Na wizytę do psychiatry dziecięcego czeka się nawet rok. Sytuacja jest trudna, bo coraz więcej dzieci nie radzi sobie z wymaganiami, jakie stawia im świat

Gdy ponad 20 lat temu zaczynałam pracę w psychiatrii dzieci i młodzieży, głównymi pacjentami były nastolatki. Obecnie pierwsze epizody ciężkich zaburzeń psychiatrycznych mają miejsce u dzieci w wieku 12–13 lat. Zdarzają się 11-latkowie z poważnymi zaburzeniami odżywiania i sześcio-, siedmiolatkowie z depresją – mówi prof. Małgorzata Janas-Kozik z Katedry Psychiatrii i Psychoterapii Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

Nie ma danych, które pokazywałyby dokładnie, jak wiele dzieci i młodzieży w Polsce ma zaburzenia psychiczne, które wymagają profesjonalnej pomocy. Ostrożne szacunki mówią o 10 proc. osób poniżej 18. roku życia, co oznacza, że doradztwa i pomocy psychiatrycznej oraz psychologicznej wymagałoby ponad 750 tys. dzieci i młodzieży. Zdaniem dr hab. Barbary Rebermk, krajowej konsultant w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży, zaburzenia lękowe, autoagresja, natręctwa, zespół nadpobudliwości ruchowej występują aż u 10–25 proc. osób poniżej 18. roku życia. Około 8–10 proc. z nich wymaga szybkiej pomocy.

RODZINY NUKLEARNE

Potrzebują pomocy nie tylko dzieci z rodzin zaniedbanych, patologicznych, w których występuje problem przemocy domowej i nadużywania alkoholu, lecz także z takich, w których rodzice są zapracowani i zajęci robieniem kariery. – Zmieniły się tempo życia, wymagania stawiane dzieciom, model rodziny: z wielopokoleniowej na nuklearną, złożoną tylko z rodziców i dziecka. Brakuje wsparcia dziadków i innych osób bliskich, jak to było kiedyś – mówi prof. Janas-Kozik.

Młodzi rodzice nie potrafią stawiać granic, radzić sobie z frustracją dziecka, z odmawianiem mu czegośkolwiek, obawiając się jego płaczu, niezadowolenia, gniewu. Nie są w stanie odmówić

kupna zabawki, ograniczyć dostępu do Internetu czy smartfona, bojąc się krzyku i złości. – Może to wynikać z ich braku wiary w rodzicielskie kompetencje, a także z przesuwania odpowiedzialności za wychowanie na szkołę, nauczyciela, psychologa. Jednak to rodzic jest na pierwszej linii, to on powinien zmierzyć się z różnymi uczuciami dziecka: radością, lękiem, gniewem – dodaje prof. Janas-Kozik. Dziecko od małego przyzwyczajone, że nie zawsze wszystko dzieje się po jego myśli, łatwiej poradziłoby sobie później z tym problemem w szkole czy relacjami z rówieśnikami.

Kilkulatki nie są też w stanie sprostać „wyścigowi szczurów” już od przedszkola i coraz wyżej stawianym wymaganiom. Psychologowie coraz częściej zwracają uwagę, że rodzice potrafią świetnie zorganizować dzieciom czas, niemal każda chwila jest przeznaczona na rozwijanie umiejętności: poznawczych, artystycznych, poprawianie pamięci, rozwijanie talentów. Brakuje natomiast czasu na zwykłą zabawę, rozmowę.

Większość rodziców popełnia też taki błąd, że zaczyna mocniej interesować się dzieckiem dopiero wtedy, gdy sprawia ono problemy. – Reagujemy, gdy źle się zachowuje, angażuje uwagę. Zaczyna się błędne koło, bo w dziecku tworzy się podświadome przekonanie, że może zyskać naszą uwagę wtedy, kiedy zrobi

coś złego. Powiela więc nieprawidłowe zachowania, bo wtedy zyskuje nas – dodaje psychiatra.

PRZEDSZKOLAK Z DEPRESJĄ

Niepokoi fakt, że obniża się wiek dzieci, u których można zauważyć klasyczne objawy depresji. Bywają nieco inne niż u dorosłego: zamiast smutku, apatii i niemożności podjęcia jakiegokolwiek aktywności u najmłodszych często pojawiają się dolegliwości somatyczne, takie jak przewlekłe bóle brzucha, głowy. Małe dziecko nie potrafi jeszcze nazwać swoich emocji. – Prezentuje więc takie objawy, na jakie je stać, w zależności od wieku, rozwoju emocjonalnego i intelektualnego. Może być rozdrażnione, niegrzeczne, agresywne. W miarę dorastania te objawy będą bliższe kryteriom depresji u dorosłych: pojawiają się smutek, apatia, niechęć do jedzenia. Są dzieci, które często płaczą lub odwrotnie, pokrywają smutek śmiechem, wzruszeniem ramion, obojętnością – opowiada prof. Janas-Kozik.

Sześcio-, siedmiolatek z depresją nie chce się bawić, jeść lub je bardzo dużo, głównie słodczy, jest wycofany, ma zaburzenia snu. – Zachowanie dziecka zwykle jest odzwierciedleniem pewnych konfliktów w rodzinie. Dziecko odbiera wszystkie nasze napięcia, lęki, obawy – dodaje psychiatra.

Krucha psyche przed osiemnastką



FOT. FOTOLIA

Depresję trzeba leczyć, i to już u dzieci. Stosuje się wtedy głównie psychoterapię i terapię rodzinną. Jednak u najmłodszych depresja wciąż jest rzadko diagnozowana. Panuje przekonanie, że to domena dorosłych, ewentualnie nastolatków.

PO CO ŻYĆ

14-letni Dominik, 13-letnia Wiktoria, 14-letnia Ania przez kilka tygodni byli bohaterami mediów po tym, jak popełnili samobójstwo z powodu dręczenia przez rówieśników. Odbieranie sobie życia przez nastolatki to wciąż temat tabu, choć problem w ostatnich latach znów zaczął rosnąć. Co roku w Polsce ponad 100 osób poniżej 18. roku życia popełnia samobójstwo, a kilka tysięcy dokonuje prób samobójczych. Dokładnych statystyk nie ma, gdyż takie dane nie występują w rejestrach policji. Powodem targania się na życie zwykle jest depresja, której przyczynami są niskie poczucie własnej wartości, upokorzenia w szkole, na forach społecznościowych (cyberprzemoc), złe relacje z nauczycielami, z rodziną. Młodsze dziecko, poniżej 12 lat, nie zdaje sobie sprawy z nieodwracalności tego, co robi. Często działa impulsywnie, chcąc np. ukarać rodziców za to, że na coś się nie zgadzają.

Wielu tragediom można by zapobiec, gdyby dorośli zwracali większą uwagę na zmiany zachowania nastolatków:

zamykanie się w sobie, spędzanie długich godzin w Internecie, porzucanie dawnych pasji, rezygnowanie z przyjemności, słabe kontakty z rówieśnikami, deklarowanie, że życie nie ma sensu, i narzekanie na brak przyszłości. Zdarza się nawet, że młody człowiek wydaje dyspozycje dotyczące rozdawania jego rzeczy albo zaczyna sam pozbywać się cennych dla siebie rzeczy, np. gromadzonych przez lata kolekcji pojazdów, naklejek. Zwykle przemyka się na to oczy, uważając, że to „dorastanie” albo fanaberia, która „sama przejdzie”.

Liczba młodych osób popełniających samobójstwo rośnie nie tylko w Polsce. Z raportu opublikowanego w piśmie „Clinical Psychological Science”, opracowanego na podstawie danych z federalnych ośrodków zwalczania i prewencji chorób (Centers for Disease Control and Prevention) wynika, że w latach 2010–2015 w USA wzrosła liczba samobójstw wśród młodzieży. Autorzy raportu powiązali to z rosnącym problemem cyberprzemocy wśród młodych ludzi oraz ze wzrastającą popularnością mediów społecznościowych i kreowaniem w nich obrazu wyidealizowanego życia, któremu mało kto jest w stanie dorównać. Stwierdzono też, że prawdopodobieństwo pojawienia się myśli samobójczych było aż o 70 proc. wyższe u nastolatków, którzy korzystali z urządzeń elektro-

nicznych typu smartfon powyżej pięciu godzin dziennie, niż u ich rówieśników, którzy tego typu urządzenia użytkowali dziennie około godziny.

BRAK POMOCY

Zdaniem dr hab. Barbary Rebmerk w Polsce pomoc psychologiczno-psychiatryczną uzyskuje zaledwie 10 proc. spośród tych osób poniżej 18 lat, które tego potrzebują. Przyczyną jest nie tylko brak świadomości problemów, lecz także od wielu lat niedoinwestowanie psychiatrii, zwłaszcza dziecięcej. W całym kraju jest tylko 402 psychiatrów dziecięcych, podczas gdy powinno ich być dwa razy więcej. W województwie podkarpackim jest zaledwie sześciu psychiatrów dziecięcych, w świętokrzyskim, warmińsko-mazurskim, zachodniopomorskim, opolskim – po czterech, a w lubuskim – trzech. Nic dziwnego, że na wizytę w ramach NFZ czeka się kilka miesięcy, rok, a do niektórych poradni nawet dwa lata. Do oddziałów szpitalnych często są przyjmowane tylko dzieci i młodzież, które zagrażają innym lub sobie. Oddziały szpitalne są przeciążone, a w niektórych rejonach Polski w ogóle nie ma całodobowej opieki psychiatrycznej dla dzieci. Brakuje miejsc na oddziałach dziennych, zespołów leczenia środowiskowego, które powinny być podstawą psychiatrii dziecięco-młodzieżowej.

Rodzice często szukają pomocy u psychiatrów dla dorosłych. – Psychiatria dziecięca to zupełnie inna dziedzina medycyny, wymagająca kompleksowego działania. Dzieckiem powinien zająć się cały zespół, złożony z psychiatry, psychologa, terapeuty. Trzeba leczyć nie tylko dziecko, lecz także całą rodzinę, i dbać o pomoc środowiska szkolnego – mówi prof. Anna Szulc, prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Przy Ministerstwie Zdrowia działa od ponad pół roku specjalny zespół, który ma zmienić psychiatrię dzieci i młodzieży. Trzeba mieć nadzieję, że pomysł, jak to zrobić, zostanie nie tylko szybko opracowany, lecz także wprowadzony w życie, bo dziecko z zaburzeniami lękowymi, depresją, anoreksją czy myślami samobójczymi nie może czekać kilku miesięcy na wizytę u lekarza. Zwłaszcza że młodzieży uzależnionej od Internetu, smartfonów czy dopalaczy nie ubywa i trzeba nauczyć się skuteczniej temu zapobiegać.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Pan hetman – koniec Polski

W postaci Stanisława Koniecpolskiego herbu Pobóg zawierają się tragizm, irracjonalizm i wyjątkowość historii naszego kraju. Jeden z największych hetmanów koronnych, uczeń i powiernik Stanisława Żółkiewskiego, zwycięzca spod Kłuszyna i zdobywca Moskwy. Młody wódz, który buławą polną otrzymał w 1618 r. w wieku ok. 26 lat, przeszedł drogę od rotmistrza i dowódcy jazdy do senatora, był w życiu i jeńcem, i dowódcą: zwycięskim, przegranym, czasem zdradzonym, aby zakończyć jako wielki magnat Rzeczypospolitej, właściciel ponad 200 wsi i 16 miast w Koronie, kasztelan krakowski, pogromca królów, chanów i bojarów. Kiedy zmarł, Polska i Litwa zaczęły staczać się ku klęsce, nigdy nie odzyskały dawnej chwały.

Dzieje Koniecpolskiego zaczęły się od cierpienia. Jako młody hetman polny dostał się w 1620 r. do niewoli tatarskiej po klęsce pod Mohylewem, po nieudanej wyprawie cecorskiej, w której zginął jego promotor – Stanisław Żółkiewski.

Koniecpolski został zdradzony przez Mołdawian i wydany Tatarom, uwięziony w Białogrodzie na zamku, zakuty w łańcuchy, dopiero po kilku tygodniach przeniesiony do lepszej celi. Kilkakrotnie chciał się wykupić, nie przyznając się, że jest hetmanem, w czym jednak przeszkodziła śmierć Iskandera Paszy, po której przeniesiono go do Stambułu. Do Yedikule Hisari, Zamku Siedmiu Wież, gdzie przetrzymywano najważniejszych więźniów i wrogów sułtana. To właśnie tutaj poznał pewnego polskiego magnata, którym okazał się... zwykły chłopiec spod Sieradza, który udawał wielkiego pana tak skutecznie, że Turcy ubierali go w kosztowne kaftany i grywali z nim karty.

Hetman wykupiony został dopiero w 1622 r., przez poselstwo Krzysztofa Zbaraskiego. Wróciwszy, pomścił niewolę, rozbijając w 1624 r. pod Martynowem tatarską ordę Kantymira Murzy zwanego Krwawym Mieczem, zakamieniałego wroga Polaków. Koniecpolski oskrzydlił jego ordy i przypadł do Dniestru, gdzie żołnierze „jako kaczki po wodzie pływające, pogaństwo strzelali”. W wojnie o ujście Wisły pobił pod Czarnem wydzielone siły przeciwnika, a pod Tczewem w 1627 r. obronił Gdańsk przed atakiem Gustawa Adolfa, króla Szwecji, zwanego później Lwem Północy. Bitwa była dramatyczna, omal nie skończyła się klęską, bo wycofująca się tylna straż jazdy polskiej została niespodziewanie zaatakowana i wpędzona w bagna, gdzie hetman mało nie zginął. W ostatnim dniu bitwy to jednak Gustaw Adolf otrzymał ciężki postrzał i Szwedzi wycofali się, nie próbując zdobyć szaniców z polską piechotą. Hetman pobił go dwa lata później pod Trzcianą, gdzie Lew Północy omal nie dostał się do niewoli.

Koniecpolski znany był jako bardzo ludzki dowódca; świadczy

o tym choćby to, że wielu żołnierzy powierzało mu w testamentach opiekę nad rodziną. Karol Ogier, który spotkał go w obozie w Prusach w 1635 r., pisał, że słynął jako pobożny człowiek, a na chorągwi miał wizerunek Najświętszej Marii Panny. Jednak i hetman miał mroczne strony. W 1630 r., tłumiąc na Ukrainie powstanie Tarasa Fedorowicza, rozkazywał ogniem i mieczem znosić siedziby kozackie oraz krwawo rozprawiać się z buntownikami. W 1637 r. wydał uniwersał: „Jeżelibyście też ich [Kozaków] dostać nie mogli, abyście waszmościowie ich na żonach, dzieciach karali i domy ich wniwecz obrócili, gdyż lepsza jest rzecz, żeby pokrzywa na tym miejscu rośla, aniżeli żeby się zdrajcy Rzeczypospolitej tam mnożyli”, od którego zaczęły się coraz okrutniejsze pacyfikacje Ukrainy nakręcające spiralę zbrodni i odwetów.

W 1633 r. odparł pod Kamieńcem najazd Turków, którzy wspólnie z Moskwą próbowali wziąć Rzeczpospolitą w dwa ognie. Z kolei w 1644 r. stoczył ostatnią bitwę, rozbijając pod Ochmatowem ordę Tuhaj-beja. Było to jego ostatnie zwycięstwo. Stanisław Koniecpolski zmarł w 1646 r., w okolicznościach zdumiewających. Odszedł – jak napisał Joachim Jerlicz – „w kilka niedziel po ożenieniu się od konfortatywy, którą zażywał dla młodej żony, a którą przesadzono, bo mu aptekarz na kilka razy dał, co on razem zażył i tak swego życia wiek dokonał”. Hetman liczący ok. 54 lat poślubił 26-letnią Zofię Opalińską i aby odnieść kolejne zwycięstwo, tym razem w łóżnicy, zażył zbyt dużo afrodyzjaków. Dwa lata przed wybuchem powstania Chmielnickiego zabrakło największego pogromcy Tatarów i Kozaków. Słusznie ludzie z XVII w. parafrazowali nazwisko hetmana, twierdząc, że jego śmierć oznaczała prawdziwy... koniec Polski. ©



FOT. WIKIPEDIA

DOMINIK TARCZYŃSKI PIECZE KACZKĘ I RZUCA RĘKAWICĘ

Nie będę silił się na fałszywą skromność, bo o ile wiem, to jestem najlepiej gotującym parlamentarzystą tej kadencji. Zawdzięczam to mojej babci, która nauczyła mnie gotować. Jeśli któryś z parlamentarzystów chciałby zmierzyć się ze mną w kuchni, to absolutnie jestem na to gotowy. Ciekawe, jak poradziłby sobie z tradycyjną, staropolską kuchnią. Ja właśnie na taką kuchnię stawiam, żadne tam ośmiorniczki i tym podobne...

Proszę nie doszukiwać się w tym podtekstu politycznego, ale najlepszym daniem, jakie przyrządzam i które jest znane w całej mojej rodzinie oraz wśród znajomych, jest kaczka. Mięso z kaczki jest moim zdaniem niedoceniane, znacznie częściej sięga się np. po kurczaka, ale to kaczka, jako staropolska potrawa, jest najlepsza. I mimo że wymaga długiego przygotowywania, warta jest poświęconego czasu. Ja swoich znajomych podejmuję kaczką, które przygotowanie trwa ok. 7 godz. Przepis jest sprawdzony, a dobrze przyrządzona w ten sposób kaczka jest po prostu genialna.

Składniki:

- cała kaczka
- ok. 1 szklanki suszonych śliwek
- 1–2 gruszki
- 2 jabłka
- miód
- czosnek
- cynamon

Przygotowanie:

Wypatroszoną, oczyszczoną, umytą kaczkę wkładamy w całości do garnka z wodą i gotujemy na bardzo małym ogniu 3,5 godz. Musi być mięciutka, ale nie może się rozpadać. Po tym czasie bardzo delikatnie, najlepiej z pomocą drugiej osoby, wyciągamy kaczkę, uważając, by się nie rozpadła. Zarówno od zewnątrz, jak i wewnątrz nacieramy ją miodem. Kroimy gruszki, namaczamy je w miodzie i obsypujemy cynamonem. To samo robimy ze śliwkami. Tak przygotowanymi gruszkami i śliwkami nadziewamy kaczkę i zszywamy. Jabłka przygotowujemy podobnie jak gruszki i obkładamy nimi kaczkę. Dla przełamania smaku między jabłkami układamy

też kawałki czosnku, ale niezbyt dużo. Tak przygotowaną kaczkę pieczemy – znów na małym ogniu

– co najmniej trzy godziny. Uważamy, by czosnek na kaczce się nie przypiekl, bo będzie gorzki.

Taką kaczkę podaję z ziemniakami, które po ugotowaniu przetrzucam do naczynia i od razu posypuję odrobiną majeranku. Przykrywam na minutę. Suchy majeranek rozmiękczy się pod wpływem pary i doda ziemniakom specyficznego aromatu. ©©

*oprac. raw
Dominik Tarczyński
jest posłem PiS.*



FOT. STEFAN KACZEWSKI/REPORTER



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wszystko przemija...

Kolejność jest taka: na firmamencie kulinarnym pojawia się nowy obiekt emanujący potężnym blaskiem. Jego działalność jest powiązana z aktualnymi odkryciami, objawieniami dotyczącymi zdrowego jedzenia. Następne kroki: gwiazda publikuje książki kucharskie, objężdża świat z występami, juroruje w programach telewizyjnych. Zakłada sieć restauracji, wypuszcza serię kuchennych przyborów i przypraw.

Przeglądając kilka ostatnich lat, mam przed oczami najpierw Michela Montignaca. Opracowana przez niego ponad 20 lat temu metoda odchudzania polegała na eliminowaniu z diety produktów o wysokim indeksie glikemicznym. Kiedy jednak Montignac zmarł, wszyscy o nim zapomnieli.

Nie znałam nikogo, kto nie odchudzałby się dietą Dukana. Znajomi przez dwa tygodnie jedli na śniadanie, obiad i kolację suchą pierś indyka, popijając wodą. Następny etapem był lekarz nefrolog, ale o tym już było ciszej... A dr Dukan odszedł w infamii, wyklęty przez lekarzy i dietetyków.

Następnie świat oniebiał z zachwytu na widok seksownej Nigelli Lawson (na zdjęciu), która ubrana w kaszmirowe sweterki z dekolantami seksownie obliżywała paluszki... Potem pojawiły

się informacje o narkotykach i Nigella przestała być tak kusząca.

Waurze jarzynowo-fasolowej euforii pojawił się Izraelczyk Ottolenghi. Ten intelektualista, doktor filozofii, parę lat temu znalazł się na topie

kulinarnych idoli. Autor pięciu książek kucharskich, które sprzedały się na świecie w liczbie 2 mln egzemplarzy, właściciel słynnych londyńskich restauracji. Autor felietonów kulinarnych

w „Guardianie”, bohater filmów BBC...

Kogo nie zwiódł swym czarem Jamie Oliver? Sama nie mogłam oderwać oczu, oglądając jego akcje nad patelnią. Wdzięk, spontaniczność oraz 15 książek kucharskich zaskarbiły mu sympatię widzów i rodziców uczniów brytyjskich szkół, których menu zreformował, wprowadzając do niego jarzyny oraz ryby. Jamie zdyskontował sukcesy, zakładając sieć restauracji i wypuszczając kolekcję utensyliów kuchennych oraz przypraw.

I oto właśnie rozniosła się wieść, że kolejne z restauracji Olivera się zamykają, a do tych jeszcze otwartych nie można wprowadzać wózków dziecięcych, co wywołało oburzenie publiczności.

No proszę, wszystko przemija, tylko Magda Gessler jest niezniszczalna. ©©



FOT. BOB/BACKGRID/FORUM

NASZ TEST: VOLVO XC60

Bezpieczny, komfortowy i naszpikowany nowoczesnymi gadżetami. Nowa wersja jednego z najpopularniejszych luksusowych SUV-ów w Polsce ma w sobie dużo cech większego i droższego modelu XC90. Z zewnątrz wygląda jednak bardziej dynamicznie.

W KABINIE

Wnętrze utrzymane jest w minimalistycznym, skandynawskim stylu. W kabinie próżno szukać zbędnych przycisków czy przełączników. Większość funkcji kontrolujemy za pomocą dużego, kolorowego ekranu, który znajduje się w centralnej części deski rozdzielczej. To dość wygodne rozwiązanie, choć przyzwyczajenie się do tego, gdzie czym się steruje, wymaga trochę czasu.

Fotele są bardzo wygodne. Ani z przodu, ani z tyłu nie brakuje też miejsca na nogi. Czworo dorosłych może więc w XC60 podróżować bardzo wygodnie. Na pochwałę zasługuje również jakość materiałów użytych do wykończenia kabiny, a także sposób ich spasowania. Pod tym względem Volvo nie goni już innych konkurentów, lecz zaczyna wyznaczać standardy w klasie premium.

Kufer o pojemności 505 l ma regularny kształt, co ułatwia załadunek i rozładunek bagaży.

JAZDA

Ten model jest stworzony dla osób, które potrzebują samochodu do dalekich, rodzinnych podróży. Kabina jest świetnie wyciszona – w środku możemy więc swobodnie rozmawiać, nawet jeśli jadąc autostradą, bardzo się spieszymy nad morze lub w góry. Układ kierowniczy jest precyzyjny, a zawieszenie miękkie i komfortowe. Auto jest bowiem skrojone pod spokojnego ojca rodziny, a nie rajdowca. Jeśli więc ktoś szuka modelu, który sprawi, że oszaleje z emocji, to powinien sprawdzić ofertę konkurencji lub dopłacić do wersji sportowej z benzynowym silnikiem o mocy 310 KM – wówczas XC60 od 0 do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 5,9 s. XC60 w tańszej wersji –



z dwulitrową jednostką wysokoprężną o mocy 250 KM – od 0 do 100 km/godz. przyspiesza w 7,2 s.

Średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym w modelu z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 250 KM wynosi ok. 9 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP model XC60 nie tylko zdobył komplet pięciu gwiazdek. Otrzymał również bardzo wysoką ocenę – aż 98 proc. punktów – za ochronę dorosłego pasażera i tytuł najbezpieczniejszego samochodu w testach tej prestiżowej organizacji. Auto w praktyce może poruszać się niemal autonomicznie. Elektroniczni asystenci sprawiają, że samochód trzyma się pasa ruchu, ostrzegając przed innymi pojazdami w martwym polu lusterka, w razie zagrożenia samodzielnie zatrzymując

auto (rozpoznając ryzyko zderzenia nie tylko z innymi samochodami, lecz także z pieszymi i z dużymi zwierzętami). Komputer pokładowy XC60 – jeśli sobie tego życzymy – może go też samodzielnie zaparkować.

CENA

Volvo XC60 w najtańszej wersji wyposażenia z dwulitrowym silnikiem Diesla (190 KM) kosztuje 184,5 tys. zł, a z dwulitrową jednostką benzynową o mocy 250 KM 199 tys. zł. Za najlepiej wyposażoną opcję z silnikiem benzynowym o mocy 310 KM trzeba zapłacić 239 tys. zł, a faktura za hybrydę z silnikami o mocy 320 KM + 87 KM wynosi ok. 280 tys. zł.

KONKURENCJI

Alfa Romeo Stelvio, Audi Q5, BMW X3, Jaguar F-Pace, Mercedes GLC, Lexus NX. ©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zacznij zdrowo Nowy Rok!

PODARUNEK LUTY 2018
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

**EASY SMOOTHIE BLENDER
MANTA 350W SBL920**

Cena: 149 zł
Oszczędność: 135 zł

 **MANTA**
Polska firma rodzinna.



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII,
WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI,
LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289 zł

 **MANTA**
Polska firma rodzinna.

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl a8343d283b



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Realny sojusz

MARCIN MAKOWSKI: Nie jest tajemnicą, że rozmowę nagrywamy w Miami, podczas Polsko-Amerykańskiego Szczytu Przywództwa. Bez słodzenia – jak oceniasz to przedsięwzięcie?

MATTHEW TYRMAND: Konferencje, na których spotykają się przedstawiciele polityki i biznesu organizowane w Stanach, to absolutna podstawa, jeśli chce się coś ugrać z USA. Tak działają największe międzynarodowe think tanki, lobbyści oraz przemysłowcy. Nie da się za oceanem skutecznie zabiegać o interesy, jeśli nie ma się osobistych relacji z rozdającymi karty. Dobrze, że Michał Lisiecki stara się iść w tym kierunku, według mojej wiedzy to była największa konferencja tego typu zorganizowana w Ameryce. Niestety, pierwsza edycja była zbyt mocno obsadzona Polakami, a żeby przynosiła realne efekty, te proporcje muszą w kolejnych latach się wyrównać. Jest nad czym pracować – zarówno od strony logistycznej, jak i zagranicznej obstawy medialnej. Jednak to się zmieni. Jest realna szansa, że idea konferencji i jej skład zostaną poszerzone o państwa Grupy Wyszehradzkiej. Dywersyfikacja źródeł energii i amerykańska obecność mi-

litarna to w końcu wspólny interes całego regionu Europy Środkowo-Wschodniej.

Jednym z mówców pierwszego dnia był Corey Lewandowski, były menedżer kampanii Donalda Trumpa. Człowiek z polskimi korzeniami, podobnie jak wiele osób w otoczeniu prezydenta, o których często nawet nie wiemy. To chyba nasz niewykorzystany potencjał.

I o tym w dużej mierze mówił Corey – jak wielką rolę w ukonstytuowaniu się obecnej administracji Białego Domu odegrała nie tylko Polonia, która przechyliła szalę zwycięstwa w centralnych stanach, lecz także ludzie z zaplecza Trumpa, którzy robili z nim interesy i nadal mają duży wpływ na to, co myśli. To ogromne wyzwanie dla polskiej dyplomacji, o którym mówiłem również podczas swojego przemówienia poprzedzającego wręczenie nagród PALS – Orłów.

Bardzo ciekawa rzecz, szczególnie w kontekście kryzysu polsko-izraelskiego i ciągłego kompleksu „liczenia na Amerykę”, powiedział również George Friedman. „Polska zaczęła być zauważana na świecie, musi komunikować się bardziej świadomie

niż dotychczas i zamiast na sojuszników, liczyć w pierwszej kolejności na siebie”.

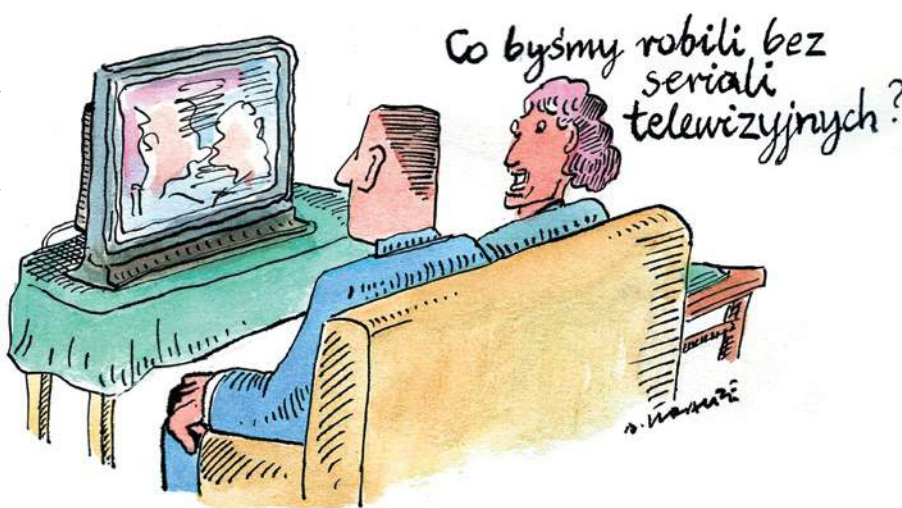
Czyli dokładnie to, co mówię od ponad dwóch lat na tej kolumnie. I jak mi te słowa wytniesz, to cię znajdę i zniszczę.

Miałbym cenzurować taki umysł? Wolne żarty.

Dobra, dobra. Wracając do tematu, to, co również wybrzmiało w wykładzie Friedmana, można streścić jako wezwanie do otwarcia oczu oraz pochwałę geopolitycznego pragmatyzmu. Polska nie może być uzależniona od Unii ani od żadnego innego partnera, nawet gdyby był tak potężny i strategiczny jak Ameryka. W dyplomacji nie ma przyjaciół, Paryż ani Berlin nie rzucą się w ogień za Warszawę, jeśli ta sama nie będzie umiała o siebie zaważyć, choćby poprzez zdefiniowanie własnej racji stanu. Udało się to w przypadku polityki migracyjnej, w jakiejś mierze udało w przypadku Nord Stream 2, a gdyby przyjąć optykę PO – obie te sprawy wygenerowały kryzysy wizerunkowe i napięcie pomiędzy „naszymi partnerami na Zachodzie”. Kto uważnie słuchał w Miami głosu konserwatywnej Ameryki, ten zrozumie, że i w biznesie, i w polityce sukces leży w mądrym połączeniu siły oraz skuteczności w walce o swój interes. Co w takim razie stanowi o potencjale i wadze relacji ze Stanami? Nie sympatia Polaków, ale długofalowy interes NATO oraz Waszyngtonu w posiadaniu stabilnego gracza w centralnej Europie, który może stopować regionalne zakusy Rosji. Stąd nie tylko złoty okres w kwestii dostaw zbrojeniowych, lecz także energetycznych. Wreszcie coś się ruszyło, bo poza emocjami na stół zostały wyłożone interesy. Polska musi być temu stanowisku wierna, niezależniąc się od Unii, pozostając przy złotówce, rozwijając obronność. ©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Zmieniamy się dla Państwa



Wtorek 20:00



**PILNUJMY
POLSKI!**

zadaj pytanie! #ZapytajMacierewicza

Oglądaj Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl/a8343a283b



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Absurdalny argument z płci

ERYK MISTEWICZ: Najciekawsze, że Ewę Bugałę na Twitterze atakują głównie kobiety. Nie wchodząc w meritum ataku, zastanawiam się, jaka jest tego przyczyna. Ktoś ma jakiś pomysł?

Gdyby ktoś wpadł na pomysł, żeby dyskusję o Ewie Bugale skwitować komentarzem: „Najciekawsze, że Ewy Bugały na Twitterze bronią głównie mężczyźni. Nie wchodząc w meritum obrony, zastanawiam się, jaka jest tego przyczyna. Ktoś ma jakiś pomysł?”, zostałby słusznie uznany za obleśnego seksistę. Sam pan Mistewicz zapewne mocno by się obruszył, gdyby ktoś

trochę żał, to właśnie ten, kiedy nawet Eryk Mistewicz się poddał z szukaniem merytorycznych argumentów za jej orlenowskim awansem i postanowił „bronić” jej, obrażając hurtem wszystkie wypowiadające się na jej temat kobiety sugestią, że nie są w stanie ocenić Bugały inaczej niż przez pryzmat jej płci. A przecież akurat w tym konkretnym przypadku osiągnięcia i kompetencje Ewy Bugały są wszystkim doskonale znane, a materiał do merytorycznej oceny jej zawodowego kunsztu – przebogaty.

Merytoryczna obrona Ewy Bugały, zwłaszcza po tym, jak w swoim pierwszym tweecie w roli rzeczniczki Orlenu zagroziła wszystkim procesami za „podważanie jej wizerunku”, to mission impossible nawet dla kogoś, kto się bardzo stara, a sam argument z płci to chwyt nienowowy, chętnie sięgają po niego feministki, dzisiaj okazuje się, że równie użyteczny bywa dla prawicy. „Atak rozwścieczonych samców na bardzo ładną kobietę, która miała czelność zająć stanowisko, które oni oznaczyli jako należące do jednego z ich stada” – tak Waldemar Kuczyński bronił Joanny Muchy po tym, jak jej nieudolności na stanowisku

ministra sportu nie mógł już znieść Donald Tusk i ją odwołał. Sama zresztą Mucha broniła się podobnie, opowiadając w wywiadach, że jej nie zaakceptowano, bo nie piła wódki z działaczami. W końcu okazało się, że skompromitowanej minister w ogóle nie dało się krytykować, bo jeśli krytykowała kobietę, to można było zbyć, że to zazdrość, a jeśli krytykował mężczyzna, to wiadomo – „rozwścieczony samiec”. Wygodne, prawda?

Są przypadki, kiedy kobiety są rzeczywiście dyskryminowane, ale zdecydowanie nie był to przypadek Joanny Muchy, która ministerstwo dostała mimo braku kompetencji. Nie jest to też przypadek Ewy Bugały. Jeśli kobiety mają być traktowane poważnie w życiu publicznym, to nie mogą używać płci jako immunitetu przed krytyką, bo jest to krzywdzące dla nich samych. Tak jak krzywdzące dla kobiet – w tym dla samej Ewy Bugały – są komentarze takie jak ten Mistewicza, sugerujące, że jako kobiety jesteśmy gorszą płcią, bo genetycznie niezdolną do merytorycznej oceny innych kobiet. A skoro tak, to dlaczego się w ogóle z naszą opinią liczyć? ©©

Akurat w tym konkretnym przypadku osiągnięcia i kompetencje Ewy Bugały są wszystkim doskonale znane

mu zasugerował, że broni Ewy Bugały wyłącznie dlatego, iż jest młoda i ładna, a on jest mężczyzną. Dlaczego zatem zdaje się uważać, że w przeciwieństwie do niego i innych mężczyzn kobiety są pozbawione zdolności do merytorycznej oceny innych kobiet?

Jeśli był jakiś moment, w którym zrobiło mi się Ewy Bugały

PODSŁUCHANE

Perfidna perfidia

Władek? Halo! Lechu mówi.

Dzwoniem, żeby spytać, jak ty się trzymasz.

W miarę, Leszku. W szoku jestem ciągle.

Ja siem nie dziwiem. Jak bandytem jakiegoś cię potraktowali.

No właśnie ich cała, rozumiesz, perfidia w tym, że nie do końca.

Nie rozumiem. W kajdankach przecież...

No niby tak, ale zaraz mnie tam zaczęli pytać, czy nie za ciasno. I jeszcze się tłumaczyli, że takie procedury mają. Od razu wiedziałem, że coś nie gra.

Rozmięknąć cię chcieli, bandyty!

To był dopiero początek. Przywożąc mnie do prokuratury, a tam prokurator oczywiście każe zdjąć kajdanki, pyta, czy kawy się napiję...

Odmówiłeś oczywiście?

No właśnie nie. Tak mnie zmylili, że nie odmówiłem. I ten prokurator ze mną jak z jajkiem, rozumiesz: „Panie

Władysławie, bardzo mi przykro, musimy wykonać czynności, czy panu nie za ciepło, nie za zimno”...

A to wredota!

Żebyś wiedział, Lechu, żebyś wiedział.

Żeby chociaż jakąś pałką przyłożyli.

Ba, żeby chociaż mieć obtarcia od kajdanek. Żeby prokurator wrzasnął.

Ale nic, jasna cholera! Nic! A wiesz, kiedy się kompletnie załamalem?

No?

Jak ten prokurator mnie zapytał: „A może do kawy rogalika świeżego, maślanego?”. I tak mnie skołowali, że wziąłem. I zjadłem. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Moja sprawa to kolejny dowód, że w Polsce nastały czasy bezprawia”.

WŁADYSŁAW FRASYNIUK

działacz opozycyjny w PRL, przedsiębiorca, w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”



fot. Jerzy Gumowski

Paweł Lisicki (gdyby ktoś, choćby w Izraelu, nie wiedział: RedNacz „Do Rzeczy”) poświęcił zeszytygodniowy swój felieton—wstępniak we własnym organie bezczelnemu zdaniu, które premier Izraela, Benjamin Netanjahu (aktualnie skarżony przez rodaków o korupcję), wygłosił podczas rozmowy z naszym premierem, Mateuszem Morawieckim: „ — *Polacy w sposób systemowy uczestniczyli w Holocaustcie*”. Ja zaś na zamknięciu tego samego numeru „Tygodnika Lisickiego” mruknąłem, że systemowo wspierali Holocaust nie Polacy, lecz Żydzi. Ale to było tylko jedno zdanie, bez szczegółów, gdyż wtedy zabrakło miejsca. Szczegóły są dzisiaj, niżej:

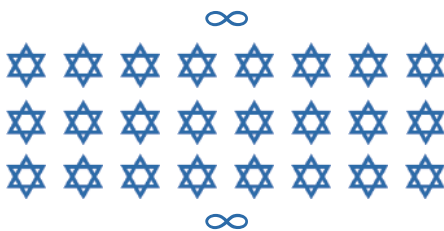
Systemową kolaborację z niemieckim przemysłem Zagłady Żydów, który hitlerowcy zwali „*Ostatecznym rozwiązaniem*” (Żydzi używają terminu „*Shoah*”, cały świat terminu „*Holocaust*”) praktykowali np. Francuzi (rządowo via Vichy, i społecznie via Paryż), jednak — o ile dobrze pamiętam — premier Netanjahu nie wypominał tego ani Sarkozy’emu, ani Hollande’owi, ani Macronowi, nikomu spośród Francuzów. Ze strony polskiej Holocaust wspierały zarobkowo nieliczne szumowiny zwane „*szmalcownikami*”, a Polskie Państwo Podziemne tępiło ów proceder bez zmiłowania — AK regularnie rozwalala „*szmalcowników*”. Świat o tych polskich kryminalistach nie słyszał póki europoseł PiS, Ryszard Czarnecki, nie pałnął o nich bezrozumnie — teraz już cały glob wie, iż Polacy sprzedawali ukrywających się Żydów Niemcom. Jakkolwiek ohydne — w najmniejszym stopniu nie było to przecież „*uczestnictwo systemowe*” (premier Netanjahu zwyczajnie łże, kokietując tym swój nienawidzący polskich gojów elektorat), lecz indywidualne, tak samo zresztą antypolskie, jak antyżydowskie, bo „*szmalcownicy*” łowili i wydawali Gestapo Polaków mających żydowską krew, czym hańbili dobre imię narodu polskiego. Co nie znaczy, że systemowe „*szmalcownictwo*” nie istniało w Polsce okupowanej przez Niemców. Owszem, było, zwłaszcza w dużych miastach (Warszawa, Łódź, Lwów, itd.), a systemowość polegała na tym, że uprawiały tę działalność duże, świetnie zorganizowane, współpracujące codziennie z Gestapo żydowskie gangi — szajki „*szmalcownicze*” złożone z samych Żydów i parające się wyłącznie jednym: polowaniem na innych Żydów, aby Niemcy mogli wytropionych zagazować.

Znowu ten sam (tradycyjny) problem: felieton daje zbyt mało miejsca dla szerokiego przedstawienia tematu, zmusza do selek-

Tropiciel Żydów

cji. Weźmy więc — jako symptomatyczny przykład — gang Lolka Skosowskiego. Nie dlatego, że był rekordzistą (niektórzy jego pobratymcy kierujący żydowskimi zespołami „*szmalcowników*” mieli osiągać liczbowo lepsze), tylko dlatego, że wyciął starozakonnym chcącym uniknąć Zagłady najbliższymi żydowski „*numer*”, zwany wtedy „*trikiem*” „*Hotelu Polskiego*” vel „*pulapkę*” „*Hotelu Polskiego*” vel „*afery*” „*Hotelu Polskiego*”. Najpierw jednak personalia:

Lejb Skosowski (zwany Lolką i przedstawiający się jako Lolek, bo nie mógłby z imieniem Lejb publicznie funkcjonować na zewnątrz getta) był łódzkim Żydem, którego Gestapo w Łodzi aresztowało, zwerbowało i przerzuciło do Warszawy. Zainkasował od Niemców pożydowski lokal przy ulicy Nowogrodzkiej i stworzył dwudziestoosobową grupę „*łowców głów*”, werbując samych Żydów. Zdołali namierzyć wielu uciekinierów z getta ukrywających się po aryjskiej stronie miasta, lecz wywiad AK zdobył informacje o tym, sąd Państwa Podziemnego wydał wyrok śmierci i akowska komórka egzekucyjna strzelała do Lolki, trafiając, raniąc, myśląc, że nie żyje, bo padł



i udawał martwego. Jednak przeżył. I zmontował przy pomocy funkcjonariuszy Gestapo swój „*złoty interes*” takiej klasy, że obrósł on legendą w półświatkach europejskich tamtego czasu:

Celem było namierzenie już nie jakichkolwiek ukrywających się poza gettem Żydów — chodziło tym razem o czołówkę najbogatszych, żydowską elitę finansową. Żydowscy kolaboranci Gestapo rozpuszcili szepetaną wieść, iż każdy Żyd posiadający cudzoziemski paszport, oraz każdy Żyd, którego stać na perfekcyjną, bardzo drogą podróbkę takiego paszportu, zostanie przez Niemców wywieziony etapami via zachodnie Niemcy, Szwajcaria i Portugalia bądź Włochy do Anglii lub Ameryki, a konkretnie: wymieniony z aliantami na niemieckich obywateli internowanych w USA, dzięki właśnie zawartej umowie pomiędzy Anglią i Ameryką a III Rzeszą. Właściciele paszportów mieli się zgłaszać (ze wszystkimi bagażami) do „*Hotelu Polskiego*” przy ul. Długiej. Pierwszą, niewielką grupę Żydów, którzy zaryzykowali i zgłosili się — rzeczywiście wyekspediowano na Zachód, do miasta Wittel, a przysyłane z Wittel listy tych szczęśliwców upewniły kolejnych kandydatów, że jest

to prawdziwa szansa ocalenia. Przed „*Hotelem Polskim*” stanęły kolejki targających bagażem Żydów, którzy opuścili kryjówki w mieszkaniach Polaków ryzykujących egzystencję swoje i swoich bliskich (jedynie na terytorium okupowanej Polski systemowo życiem płaciła cała ukrywająca Żydów rodzina, niemowląt nie wyłączając). Lecz następne transporty z „*Hotelu Polskiego*” szły już do komór gazowych Sobiboru. Łącznie 800 bogatych Żydów (co najmniej — mówiono nawet o 1200–1300), których majątki zagarnęła Rzesza. Lolek także się tu zdrowo utuczył. Ten brylantowy „*skok*” szajki „*szmalcowniczych*” żydowskich zbirów — to właśnie ewidentny przejaw „*systemowego uczestnictwa*” żydowskich gangów w Holocaustcie, panie Netanjahu.

Dla zakończenia tej historii trzeba dodać, że kontrwywiadowi AK, który obserwował „*Hotel Polski*” z restauracji na pierwszym piętrze budynku przy placu Krasińskich (to piętro było dawnym magazynem futrzarskim żydowskiej firmy „*Karmazyn*”), udało się definitywnie rozpracować grupę Skosowskiego inwigilując młodą Żydówkę o nazwisku Jezusek (!), sekretarkę w biurze handlowo-transportowym. Do tego biura wprowadzono członkinię kontrwywiadu, Alicję Hübner (miała kryptonim: „*Lilka*”), siostrę znanego później dyrektora teatru. W listopadzie 1943 zespoły egzekucyjne Kontrwywiadu Okręgu Warszawskiego AK rozwały całą tę systemową grupę żydowskich Judaszów—Kainów. Samego Lolka S. zastrzelono wewnątrz restauracji przy rogu Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej, a resztę bandy w gestapowskim lokalu przy ulicy Solec. Ponieważ zabito wszystkich tam zebranych — zginęła również, z rąk swych kolegów, dzielna agentka Oddziału III Komendy Głównej AK, która właśnie penetrowała szajkę, a egzekutorów nikt o tym nie poinformował. Ot, bałagan wojenny, bolesny pech! Ale ta egzekucja to dowód, jeden z wielu, panie Netanjahu, że reprezentowana przez swe podziemne władze Polska ogniem i mieczem zwalczała systemowo wszelkie praktykowane formy wspierania Holocaustu. O czym pan dobrze wie, dlatego dedykuję panu, prócz całego tego felietonu, dwa cytaty z waszej świętej księgi. „*Talmud*” bowiem rzecze:

„*Ten, kto obmawia, ten, kto świadczy fałszywie przeciw drugiemu, godzien jest, aby go rzucić psem na pożarcie, jako powiedziano: «Rzucicie go psu», i tuż obok powiedziano: «Nie będziesz rozgłaszał fałszywych wieści»» („*Pesachim*” 118)*.*

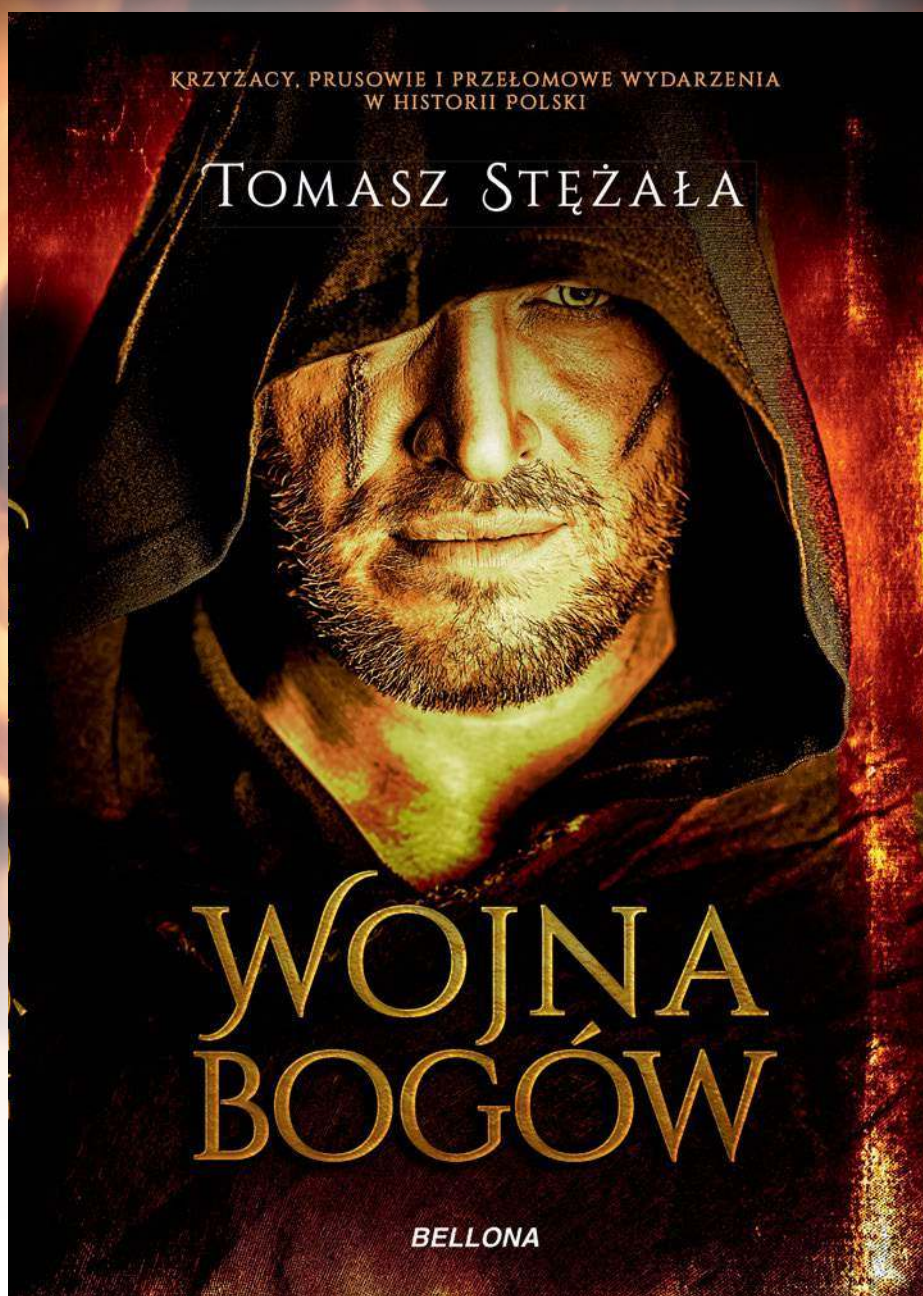
I rzecze „*Talmud*”:

„*Albowiem powiedziano: «Będziesz stronił od kłamstwa»» („*Szewuot*” 30)*.*

©© Waldemar Łysiak

* — Tłum. Szymon Datner i Anna Kamińska.

KRZYŻACY, PRUSOWIE I PRZEŁOMOWE WYDARZENIA W HISTORII POLSKI



Patroni medialni

TVP
HISTORIA

DO
RZECZY

TRUSO.TV

WIELKIBUK.COM

HISTORIA
.ORG.PL

NIESTATYSTYCZNY